

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**Ryszard Sadaj**

**GALICJADA**

TOWER PRESS, GDAŃSK 2001

Kto ty jesteś?  
Polak mały.  
Jaki znak twój?  
Orzeł biały.  
Gdzie ty mieszkasz?  
Między swemi.  
W jakiej ziemi?  
W polskiej ziemi.  
Czym twa ziemia?  
Mą ojczyzną.  
Czym zdobyta?  
Krwią i blizną.  
Czy ją kochasz?  
Kocham szczerze.  
A w co wierzysz?  
W Polskę wierzę.

(Władysław Bełza)

# CZĘŚĆ I

## JÓZEF BARTŁOMIEJ WALICHRAD

Porucznik Józef Bartłomiej Walichrad ranny był w udo. W udzie tkwił odłamek szrapnela. Dwaj żołnierze, którzy szli z porucznikiem, mieli mundury wyblakłe od słońca i tak brudne, że trudno się było nawet zorientować, iż są to mundury polskiego korpusu powstańczego. W czasie przeprawy przez Ran, wykorzystując zamieszanie, jakie wynikło z powodu ostrzału artylerii rosyjskiej, porucznik i żołnierze z łatwością odłączyli się od korpusu. Uciekając byli bardzo ostrożni. Wiedzieli, że na dezertersów czyhają szpice rosyjskie złożone z Kozaków na szybkich koniach i wilki, które licznymi watahami podążały za korpusem.

Porucznik Walichrad mieszkał w Natalinku leżącym siedem mil od miejsca przeprawy przez Ran. Pragnął dojść do domu, żeby zabrać karabiny i z nimi na powrót, przez Wisłę, którą biegła granica Królestwa i Galicji, przepłynąć się do Królestwa Kongresowego.

Karabinów, kupionych tuż przed wybuchem powstania u Żyda galicyjskiego, Walichrad nie zdołał zabrać z sobą, gdy przechodził do powstańców. Austriacy na wieść o powstaniu potroili posterunki nad Wisłą, a celnicy, jeśli chodziło o broń, stali się nieprzekupni. Odbierali nawet noże znajdujące u legalnie przeprowadzających się przez granicę.

W Natalinku karabinów pilnował osiemnastoletni Kuba, którego ojciec i matka spłonęli w czasie pożaru wsi. Kuba nawet synom porucznika nie zdradzając, gdzie jest ukryta broń codziennie wypatrywał wysłanników od swojego gospodarza. Na umówiony znak miał im wydać ładowane od przodu strzelby i dwururki na kule i grube loftki oraz kupione za złoto sztucery Enfielda.

Porucznik Walichrad i strzelcy nakładając drogi szli lasami, żeby ominąć ruchliwy trakt, wiodący przez Kamieniec Podolski do Ziemi Świętej, na którym roilo się od szpiegów rosyjskich, wojska i urzędników austriackich. O świcie, po dwóch nocach marszu i odpoczynku w myśliwskiej chacie w lesie hrabiego Potemkowskiego, stanęli nad niewielką rzeką Kamionką, blisko jej ujścia do Wisły. Stąd było już widać białą wieżę kościoła Dominikanów w Natalinie. Za tym miasteczkiem leżał Natalinek i ziemie należące do Józefa Bartłomieja Walichrada.

Na ostatni etap drogi, najniebezpieczniejszy, gdyż groziło też spotkanie z żołnierzami austriackimi stacjonującymi w natalińskich koszarach, posilili się suszonym mięsem zabranym z taborów korpusu, a porucznik na nowo opatrzył krwawiącą ranę. Walichrad z bólu i wyczerpania mdlał już kilka razy. Przez niego szli coraz wolniej. Starszy ze strzelców, chłop spod Warszawy, Jałocha, z niepokojem obserwował dowódcę. Obaj strzelcy stali się całkowicie zależni od porucznika. Tylko on, dobrze znający te okolice, mógł przeprowadzić przez Wisłę albo ukryć we własnym domu. Strzelcy wiedzieli, że jako dezertersów z bronią w rękach miał prawo zabić ich pierwszy lepszy poddany cesarza Ferdynanda. Drugi strzelec, też

mieszkaniec Królestwa, który w domu zostawił dopiero co poślubioną żonę, niecierpliwił się. Już po kilku godzinach ucieczki zaproponował Jałosze, żeby zostawić porucznika i dalej uciekać bez niego. Z nim i za miesiąc nie dojdziemy, powiedział, kiedy porucznik kolejny raz upadł zemdlony. Poza tym strzelec nie znajdował sensu w przeprowianiu się z powrotem z bronią do Królestwa. Uważał, iż oni we trzech nie wskrzeszą dogorywającego powstania, nawet uzbrojeni w wielostrzałowe sztucery Enfielda.

Brzegi Kamionki łączyły pnie – pozostałości po dawnej kładce. Walichrad i żołnierze ostrożnie weszli na pnie, które pod ich ciężarem nieznacznie zanurzyły się, i zaczęli przechodzić przez rzekę. Byli w połowie, gdy z drugiego brzegu posłyszeli parskanie koni i cicho wydawane komendy w języku rosyjskim. Natychmiast wskoczyli do rzeki. Woda sięgała im do pasa. Strzelcy, unosząc karabiny do góry, przykucnęli za pniami. Porucznik, nie mogąc zgiąć opuchniętych kolan, chwycił się pnia i położył na wodzie na plecach, tak że prąd wody unosił jego ciało. Głową wskazując na brzeg, gdzie przez krzaki wikliny przebijały zarysy koni i żołnierzy w białych mundurach, szepnął: „obserwujcie”. Walichrad był pewien, że to Moskale z pułku Morena, który ze stu działami przez ponad dwieście kilometrów ścigał korpus powstańczy, tylko nie mógł pojąć, co robią na ziemi austriackiej. Czyżby kolejna zdrada po zdradzie generała Potoka, dowódcy powstańców? Generał Potok prowadził korpus na południe mówiąc, że jest to manewr taktyczny w celu odciążenia wojska rosyjskiego spod Warszawy, i że dopiero przy granicy austriackiej zorganizuje zasadzkę. Ale w pobliżu granicy żołnierze otrzymali rozkaz, żeby się przygotować do zdania broni Austriakom. – Zdrada! – rozległy się okrzyki w obozie i żołnierze rozbiegli się w poszukiwaniu zdrajcy. Nie znajdując generała Potoka, w porywie gniewu powiesili na bukowej polanie kilku oficerów z jego sztabu. Więcej nie zdążyli, gdyż salwy kartaczy zaczęły dziesiątkować powstańców. Wtedy także został ranny Józef Bartłomiej Walichrad.

Porucznik, leżąc w wodzie za oślizłymi pniami, po chwili przestał myśleć o Moskalach znajdujących się w odległości nie większej niż sto metrów. Przestał myśleć o czymkolwiek. Ostry ból, który z uda promieniował na całą nogę i biodra ustąpił, kiedy Walichrad wskoczył do zimnej wody. Równocześnie zelżał ucisk w skroniach i ustało głucho dudnienie w głowie i w uszach. Porucznika ogarnęło zdumienie, że może być tak cicho i nic nie boleć. Poczł się rozluźniony jak po wypiciu kilku kieliszków wódki. Ze spokojem patrzył na wodę przelewającą się nad jego piersiami, która w fałdach munduru pozostawiała drobiny ziemi i złote ziarenka piachu. Naraz w ciszę wtargnął szept:

– Co robimy?

Porucznik w pierwszej chwili nie mógł się zorientować, czyj to głos.

– Panie poruczniku, co robimy? – głośniejszy zapytał Jałocha. Dopiero wtedy Walichrad uzmysłowił sobie, gdzie i z kim jest, i przeklinając siebie za chwilę zapomnienia, która mogła kosztować życie jego i dwóch strzelców, spojrzł na błotnisty brzeg Kamionki, wypatrując śladów kopyt końskich. To powinien zrobić najwcześniej, myślał, bo jeżeli Moskale nie napoili jeszcze koni, mogą je poić w każdej chwili, wtedy zobaczą ich i wysieką jak żaby w wodzie. Jednocześnie rozważał, co Rosjanie robią na terytorium Austrii: albo Mikołaj I wypowiedział wojnę monarchii austriackiej, i to może właśnie z powodu udzielenia zgody na przejście polskich powstańców do Galicji, albo car i cesarz dogadali się. W obu wypadkach groziło im śmiertelne niebezpieczeństwo, im i pozostałym polskim żołnierzom, którzy za Ranem mieli zdać broń.

– Wracamy. Ty pierwszy – rozkazał Walichrad patrząc na młodszego ze strzelców.

Powoli, żeby nie chlupotać, ukryci za pniami posuwali się do brzegu. Tuż przed wydstaniem się na brzeg, kiedy musieli wyjść zza pni, Jałocha powiedział:

– Wychodźcie, będę was osłaniał.

Do zarośli było kilka metrów po grząskim błocie. Młodszy strzelec szybko pokonał tę odległość i znikł w wiklinie. Zostało po nim kilka śladów głęboko odcisniętych w błocie.

Walichrad, nie będąc pewien, czy zdoła iść na zranionej nodze, złościąc w błocie głęboką brudę przeczołgał się do zarośli. Dysząc ze zmęczenia zwalił się obok strzelca. Po chwili, gdy i Jałocha dołączył do nich, odeszli od Kamionki na odległość kilkudziesięciu kroków, w najgłębszą wiklinę.

– I co teraz? – ze złością zapytał młodszy żołnierz. – Pański dom zamiast bliżej, to coraz dalej.

Ale Walichrad już nie myślał o dojściu do Natalinka. Obecność Moskali w tym miejscu niepokoiła go. Zastanawiał się, czy nie powinien o nich dać znać powstańcom, może jeszcze nierozbrojonym. Powinien, ale czy tym strzelcom ma prawo wydać rozkaz, żeby wrócili do korpusu i ostrzegli o niebezpieczeństwie? Jałocha myślał o tym samym, gdyż zaproponował, że podczołga się do Rosjan i spróbuje wywiedzieć się, po co tutaj przyjechali, co robią tak daleko od granicy?

– Tak. Zachowują się nazbyt pewnie – powiedział porucznik. – Nawet straży nie wystawili.

I Walichrad wyjawiał strzelcom swe wątpliwości. Na końcu, nie patrząc na nich, rzekł:

– Wy dwaj powinniście ostrzec żołnierzy z naszego korpusu.

– Ja tam nigdy nie wrócę – sprzeciwił się młodszy strzelec. – Niech pan porucznik sam idzie.

– To duże ryzyko – zastanawiał się Jałocha – bo nawet jak zdołamy dojść do korpusu, a podejrzenia pana porucznika nie sprawdzą się, możemy zadyndać jako dezertyrzy.

– Najpewniej – potwierdził młodszy strzelec.

– Wiem. Dlatego nie mogę wam rozkazać. Sam, gdyby nie ta cholerna noga...

Jałocha spojrział na porucznika. Razem z nim służył od pół roku, od bitwy pod Boremlem, wtedy jeszcze pod dowództwem generała Dwernickiego, i wiedział, że porucznik mówi prawdę; sam poszedłby, gdyby nie rana w nodze.

– Pójdziemy, panie poruczniku – zdecydował Jałocha.

– Idź sam – rozgniewał się młodszy strzelec. – Nie po to drałowałem taki kawał drogi...

– Nie gadaj tyle – uspokoił go Jałocha. – Nikt ci nie każe iść.

– To moja ostatnia wojna, na jaką się wybrałem. Jak mamy iść, to chodźmy. Ostatni raz. Już na żadną wojnę nie dam się namówić, niech się inni biją, ja będę dupę przy babie grzał.

– Tą samą ścieżką wróćcie do domku myśliwskiego – porucznik pokazał za siebie. – Stamtąd pójdziecie najszerszą z drózek na południe, ona zaprowadzi was do leśniczówki. Gajowemu, tylko jemu, powiedzcie, że ja was przysyłam, to da wam konie.

– To nie mogliśmy od razu do niego?

– Wtedy nie – odrzekł Walichrad. – Teraz to co innego. Idźcie z Bogiem.

– A pan, panie poruczniku?

– Poradzę sobie, mój dom blisko. Wy też, w razie czego, szukajcie Natalinka.

Jałocha pierwszy wyszedł z wikliny na ścieżkę. Po chwili drugi strzelec, klnąc i obrzucając porucznika nienawistnym spojrzeniem, poszedł za Jałochą. Za dwie godziny na tę samą ścieżkę wjechało sześciu Rosjan. Wówczas i porucznik Walichrad, uzmysławiając sobie, że jego strzelcom grozi jeszcze jedno więcej niebezpieczeństwo, ruszył w kierunku domku myśliwskiego. Czuł się winny. Pomyślał, że może być im jednak pomocny.

Z początku, podpierając się grubym kijem, szedł prędko. Ból, który odczuwał przy każdym stąpieniu, starał się znieczulać wymawianiem najordynarniejszych z żołnierskich przekleństw. Po przejściu dwóch kilometrów wypowiedział ich taką ilość, że starczyłoby za cały jego ród do ostatniego pokolenia. Ale w końcu przekleństwa przestały pomagać. Maszerował wolniej i coraz częściej musiał schodzić do Wisły, żeby koić ból zimną wodą. Krwią, która przedostała się przez bandaż, nasiąkła cała nogawka, także w bucie czuł jej ciepło. Kręciło mu się w głowie i wtedy wchodził w zarośla albo wywracał się na wystających z ziemi korzeniach. Lecz bał się spocząć w obawie, że kiedy już usiądzie, nie

będzie miał siły wstać.

Do przodu popychała go ciężąca myśl, że być może wysłał żołnierzy na niepotrzebną śmierć.

Strzelcy leżeli na podłodze w domku myśliwskim. Martwi. Szyja i piersi Jałochy były wielokrotnie przekłute bagnetem. W ustach drugiego strzelca znajdowała się gruda zakrzepłej krwi. Walichrad ostatkiem sił wyciągnął ciała na dwór. Chciał ich pochować, ale tylko dwa razy wbił łopatę w ziemię i stracił przytomność. Wówczas z lasu wyszedł basior i dwie wadery, które już od Kamionki szły za zapachem krwi Walichrada.

## MIESZKAŃCY NATALINKA

Dwór Walichradów – zwany Natalinkiem – z wysokim poddaszem, gdzie mieściły się dwa duże i cztery małe pokoje, z czterema alkowami doczepionymi do narożników niby jaskółcze gniazda, stał w rozległym polu pomiędzy dawnym murem obronnym Natalina, a cmentarzyskiem zmarłych na cholere. Dwór widać było z daleka. Rósł przed nim wysoki orzech, a od strony miasta kilkadziesiąt jabłoni. Pole dokoła Natalinka, nieuprawiane, odkąd Józef Bartłomiej przyłączył się do powstania, zarosło wysoką trawą, ostami i łopianem tak, że w niektórych miejscach nie dało się przejść bez kosy. Żyło tam pełno zajęcy, ale synowie Walichrada nikomu nie pozwalali na nie polować. Do chłopaków z miasta, którzy zakładali wnyki na zajęce, strzelali drobnym śrutem z dwururek.

W kilka miesięcy po ostatniej bitwie powstańców z Moskalami, która rozegrała się nad Ranem, do wspólnego obiadu po raz pierwszy zasiedli wszyscy obecni mieszkańcy Natalinka. Najważniejsze miejsce, na wprost drzwi jadalni, zajął Marcin, najstarszy syn Józefa Bartłomieja. Usiadł na miejscu ojca, choć dotąd nie otrzymali żadnych wiarygodnych wieści o jego śmierci. Naprzeciwko niego siedziała ciotka Zuza, siostra Józefa Bartłomieja i wdowa po poruczniku szwoleżerów, który walcząc pod Napoleonem utopił się w Niemnie. Ciotka Zuza, odkąd w czasie porodu zmarła żona Józefa Bartłomieja, pełniła w Natalinku rolę gospodyni. Po lewej stronie Marcina, plecami zwrócony do trzech okien, które wychodziły na podwórze z orzechem, na miejscu nieobecnego Juliusza siedział dwudziestoletni Józef i dalej, najmłodszy z synów porucznika Walichrada – Antoni. Po drugiej stronie stołu, naprzeciwko Józefa i Antoniego, siedziała Maria, jedyna córka Józefa Bartłomieja, kuzyn Wacław, bezzębny i łysy, który jako członek Bractwa Szkaplerzowego w Natalinie na piersiach i plecach nosił włosiany szkaplerz z wyhaftowanymi inicjałami Matki Boskiej, i milczący zazwyczaj Kuba. Józef Bartłomiej traktował Kubę jak syna, dając mu nawet swoje nazwisko, a tym samym i prawo do zasiadania przy wspólnym stole, choć to nie podobało się ciotce Zuzie. Zresztą ciotce Zuzie nie podobało się także wiele innych rzeczy, między innymi i postępowanie Marcina, który pracował przy stolarce jak zwykły cieśla, dzięki czemu, tak uważała ciotka, odkąd Józef Bartłomiej wyruszył do powstania, sąsiedzi przestali zapraszać ich na obiady i bale.

Kiedy Katarzyna przyniosła zupę, Marcin żegnając się powiedział:

– Panie Boże, dziękujemy ci za te dary, które dzięki twojej dobroci spożywać będziemy.

Po nim przeżegnali się wszyscy domownicy i Marcin pierwszy nabrał zupy z wazy. On też, jak dawniej ojciec, pierwszy zaczął jeść, ale najszybciej skończył Antoni, od urodzenia gruby i od urodzenia nigdy nie mający dość jedzenia; do pierwszego roku życia karmiły go

trzy mamki ze wsi. Józef, dwa lata starszy od Antoniego, śmiał się, że Antoni nawet księdzem nie zostanie, gdyż nie znajdzie się ambona zdolna udźwignąć jego ciężaru. Antoni całkowicie zatracił się przy jedzeniu. Pochylony nad talerzem podnosił łyżkę do ust w rytm wahadła zegara stojącego w kącie jadalni. Kiedy Antoni skończył jeść zupę, ciotka Zuza, hamując gniew, powiedziała:

– Antoni, jeść trzeba powoli, z godnością. W towarzystwie nie uchodzi...

– Kto szybko je, ten szybko pracuje – bez namysłu odrzekł Antoni.

Jego odpowiedź wywołała u braci wybuch śmiechu, gdyż jedynym wysiłkiem, na jaki do niedawna zdobywał się Antoni, było noszenie zeszytów do powozu i z powozu.

Synowie Józefa Bartłomieja Walichrada pobierali nauki razem z dziećmi hrabiego Artura Potemkowskiego. Lekcje odbywały się w Kasztanii, w pałacu Potemkowskich, który stał na wzgórzu po drugiej stronie Natalina. Antoni od kilku miesięcy nie uczył się, gdyż pomiędzy podupadającym na zdrowiu i umyśle hrabią Arturem a Marcinem doszło do kłótni, i Marcin nie zezwolił bratu jeździć do pałacu. Hrabia Potemkowski, zaraz po wybuchu powstania w Królestwie, powiedział, że skoro Walichradowie nie potwierdzili swego szlachectwa w Urzędzie Ziemskim, jak tego życzył sobie cesarz austriacki, to widocznie nie są prawdziwą szlachtą. Zaś Marcin odrzekł w gniewie, że Potemkowsy są hrabiami za dwa tysiące dukatów i że takim sposobem, gdyby tylko było wolno, to co drugi Żyd zostałby hrabią, a oni, Walichradowie, z herbem od sześciu pokoleń, nie muszą potwierdzać polskiego szlachectwa u cesarza Austrii.

Od tej rozmowy rozpoczęła się wojna między rodziną Potemkowskich a Walichradami. Tylko Antoni był z tego zadowolony. Nie musiał się uczyć. Mógł całymi dniami wysiadywać w kuchni u Katarzyny i sprawdzać, czy to, co gotuje Katarzyna, nadaje się do jedzenia.

Pod koniec obiadu, kiedy Antoni obzerał się sernikiem, ciotka Zuza pokłóciła się z kuzynem Waławem. Poszło, jak zwykle między nimi, o księdza Orzechowskiego, proboszcza kościoła Najświętszej Marii Panny w Natalinie.

– Sądzę – rzekł kuzyn Waław z namysłem – że ta jego młoda gosposia to obraza dla wiernych. Dlatego, dopóki ona będzie mieszkać na plebanii, moja noga nie postanie w kościele Orzechowskiego. Będę chodził do Dominikanów.

– Nie obrażaj Boga – odpowiedziała ciotka Zuza z tłumioną złością – bo zobaczysz, że jeszcze cię z ambony wyklnie. Myślisz, że ludzie nie wiedzą, iż to wasze bractwo jest tylko po to, abyście mogli spokojnie w karty grać?

– Bóg nie zabrania grać w karty – roześmiał się kuzyn Waław.

– Waławie! – krzyknęła ciotka Zuza. – Boga i kart nie mieszaj, a poza tym...

– Cociu Zuzo... – nieśmiało, błagalnym tonem wtrąciła Maria.

Maria, mimo sprzeciwu ojca, marzyła o wstąpieniu do zakonu karmelitanek. Uważając się za osobę poświęconą Bogu, nade wszystko nie mogła słuchać kłótni ciotki z kuzynem Waławem. Nie potrafiła się pogodzić z tym, żeby ludzie, którzy nie mają święceń kapłańskich, wymawiali imię Pana Boga jak nazwisko sąsiada i jak o sąsiedzie rozprawiali o nim. A właśnie ciotka Zuza i kuzyn Waław jeśli nie spierali się, który z księży mówi lepsze kazania, czy który kościół jest bardziej napełniony Duchem Świętym, to jedno drugie usiłowało przekonać, że jest bliższe Bogu. Kuzyn Waław na dowód swojej miłości do Boga zdejmował koszulę i pokazywał rany na piersiach i plecach powstałe od szkaplerza. Na ich widok nawet i ciotka Zuza przyznawała, że nikt by sobie tego nie robił dla przyjemności, chyba że – cicho dodawała – ktoś ma pomieszane w głowie. Bracia także kłócili się, ale ich kłótnie nie obchodziły Marii. Najczęściej dochodziło do kłótni między Józefem a Marcinem. Józef oskarżał najstarszego brata, że mu nie pozwolił pójść za ojcem do powstania. Marcin już kilka razy przyłapywał Józefa, kiedy ten ze strzelbą i szablą wsiadał na Bułankę. Wówczas bili się do krwi. Marcin, choć okrzyczany przez brata tchórzem i zdrajcą, nie zdradził, że dał ojcu słowo, iż przed jego powrotem z powstania domu nie opuści ani jeden z



Walichradów. Zakaz ów nie dotyczył tylko dwudziestoletniego Juliusza, który w chwili wybuchu powstania w Królestwie był w Rzymie, razem z najmłodszym synem hrabiego Potemkowskiego.

Maria przypięła sobie nie wstępować w związek małżeński i mimo starań ojca, a potem ciotki Zuzy, która chwyciła się najprzeróżniejszych sposobów, żeby Marię wyswatać, Maria dotąd, do dwudziestego piątego roku życia, wytrwała w swym postanowieniu. Żyła sama, niezbyt obchodziły ją rodzinne sprawy. W małym pokoiku na poddaszu, gdzie najwcześniej wstępowało słońce, przybiła do ściany duży drewniany krzyż i u Jego stóp postawiła klęcznik, tak że pokój upodobił się do celi klasztornej. Miała tam wiele książek i sztychów z postaciami świętych, które przywoził jej Juliusz z dalekich podróży. Z ostatniej wyprawy na Wschód, którą odbył z nieodłącznym przyjacielem hrabią Ignacym Potemkowskim, przywiózł Marii ogromne malowidło: „Pochód Trzech Króli”. Marii obraz bardzo się spodobał, choć była nim zaskoczona. Inaczej niż na obrazie wyobrażała sobie Betlejem – w każdym razie bez gór. Także Melchior, Baltazar i Kacper nie przystawali do jej wcześniejszych wyobrażeń Trzech Króli, którzy z mirrą, kadzidłem i złotem spieszyli do Betlejem, żeby się pokłonić nowo narodzonemu Dzieciątku. Patrzyła na urodziwych młodzieńców o dziewczęcych twarzach okolonych długimi, skręconymi w loki włosami i wołała, że są tacy piękni. Poprosiła Marcina, żeby obraz powiesił pod ramieniem krzyża. Po kilku miesiącach Maria pokochała jasnowłosego Kacpra, jadącego na siwym koniu, i coraz częściej modliła się do niego.

Juliusz z wyprawy na Wschód także dla innych przywiózł podarki. Józef dostał szablę damascenkę, której rękojeść wybita była białymi koralami. Pod względem wielkości i ciężaru jak ulał pasowała dla Józefa. Przez kilka dni ani na chwilę nie rozstał się z nią. Władał nią tak sprawnie, że wydawało się, iż jest przyrośnięta do dłoni. Wypolerowana klinga bezgłośnie przecinała powietrze, kiedy Józef walczył z niewidzialnymi wrogami. Zadawał cięcia, kręcił młynka, cofał się, znowu uderzał, a to wszystko tak prędko, że dokoła Józefa tworzyła się szczelna stalowa ściana.

Antonemu Juliusz przywiózł książki z kolorowymi rysunkami zwierząt z całego świata, żyjących na ziemi i w oceanach, i obiecał, że wyprawi go na studia do Lwowa. Antoni wtedy odrzekł, że chciałby już wyjechać z Natalinka. Nudził się tutaj. Nie umiał i nie lubił jeździć konno jak Józef. Naprawiać uszkodzonych przedmiotów i mechanizmów, jak to robił Marcin, także nie potrafił. Najczęściej, w tajemnicy przed wszystkimi, przestawał ze zwierzętami, chociaż ostatnio i ich miał dosyć. Już wiele lat temu Juliusz spostrzegł, że do Antoniego ciągną różne zwierzęta; konie, psy, koty, myszy, a nawet robactwo. W pokoju Antoniego zawsze najwięcej było pluskiew, pajaków, ciem. Lecz Juliusz nie wiedział, że Antoni mógł gestami i oczami rozkazywać zwierzętom. Tylko Józef coś zaczął podejrzewać, kiedy jego Bułanka kilka razy, w galopie, zatrzymywała się przed Antonim nagle, na nieznaczące uniesienie ręki, i rozdymała przy tym nozdrza, jakby wilka węszyła w pobliżu.

Marcin dostał od Juliusza książki, w których było napisane i narysowane, jak zbudować młyn, tartak, gorzelnię, piec do wypalania cegieł i wapna. Wtedy obaj na kilka godzin zamknęli się w warsztacie, na który Marcin przerobił dawną izbę dla służby, i rozprawiali o fabrykach i maszynach, jakie Juliusz widział w swych podróżach po całym świecie. I tego dnia Juliusz namówił brata, żeby zbudował cegielnię. Lecz Marcin długo nie zabierał się do budowy. Bał się. Już wcześniej, gdy urządził sobie warsztat, sąsiedzi z okolicznych dworów śmiali się, że Walichrad pracuje jak zwykły cieśla. Poza tym ojciec i ciotka Zuza byli przeciwni, żeby zarabiał pieniądze jak Żydzi. Prawdziwy pan żyje na swojej ziemi i z ziemi, z tego, co ziemia urodzi – mówiła ciotka Zuza.

## FABRYKA DACHÓWEK

Walichradowie z niepokojem wypatrywali powrotu Józefa Bartłomieja. Minęło kilka miesięcy od zakończenia powstania, a o ojcu nie było żadnych wieści: ani dobrych, ani złych. Myśleli, że uciekł na Węgry albo do Francji, chociaż i w takim wypadku powinien już dać znać o sobie.

Marcin, nie czekając na powrót ojca, żeby zapytać go o pozwolenie, wreszcie zabrał się do budowy. Razem z Kubą wystawił piec do wypalania gliny. Postanowił robić dachówki. Gliny białej było pod dostatkiem w Białym Lesie – lesie poprzecinanym niezliczonymi krętymi wądołami. Nazywano go Białym Lasem, gdyż jesienią, kiedy deszcze wypłukiwały ze zboczy wądołów ziemię i wiały mocne wiatry, pył z białej gliny, która leżała zaraz pod darnią, wzbijał się do góry i osiadał na drzewach i krzakach, tak że z daleka wyglądało, jakby śnieg spadł. Ponadto w Białym Lesie roiło się od ptaków. Wiosną przylatywały stada drozdów, szpaków, siewek, paszkotów, były kobuzy, gadożery, małe czarne muchołówki, które przepowiadały śmierć w rodzinie, w gniazdach drążonych w urwiskach mieszkwały tęczowe kraski, a blisko Wisły, na topielach, żyły karminowe dziwonie, potrzosy, remizy w gniazdach jak kieszenie.

Przez pierwszych kilka tygodni nie udało im się zrobić ani jednej dobrej dachówki. Wyciągali je z pieca tak porowate, że przepuszczały wodę jak przetak, to znowu tak kruche, iż można było w dłoni zgnieść, albo spalone. Dopiero kiedy do gliny dodali piasku zmieszanego z białkiem kurzych jaj, z pieca wyjęli dachówki gładkie jak polewa na talerzu, które lekko uderzone o siebie wydawały dźwięk podobny do dźwięku sygnaturki. Wówczas Marcin zatrudnił paru chłopów i wypalił kilka tysięcy dachówek. Miały one po dwa rowki ułatwiające spływ wody, a między rowkami odcisniętą koniczynę. Kuba był przeciwny koniczynie. Szkoda czasu na robienie dekoracji, powiedział, bo kto będzie patrzył na dach. Lecz Marcin uparł się i koniczyna została. Tylko że długo nikt nie chciał kupować dachówek, nawet Żydzi. Jakby przez to, że robił je herbowy człowiek, miały być gorsze. Dopiero młody hrabia Ignacy, który przyjechał do Kasztanii na kilka dni po pieniądze, namówił ojca, żeby kupił dachówki od Walichrada i pokrył nimi dach zachodniego skrzydła pałacu. Tam już woda lała się do pomieszczeń dla służby, gdyż w dachu, od strzelania do wron i gołębi, było pełno dziur. Hrabia Ignacy w skrytości ducha także marzył o zbudowaniu jakiejś fabryki, o wprowadzeniu na pola płodozmianu zamiast trójpolówki, o kupieniu nowoczesnych maszyn rolniczych, jakie widział na zachodzie Europy, ale stary Potemkowski mówił, że ziemia nie urodzi więcej, niż może, choćby ją nie wiadomo jakie maszyny uprawiały. Jedynie godził się na wybudowanie następnej, czwartej z kolei gorzelnii.

Gdy rozniosło się, że hrabia Potemkowski kupił dachówki od Walichrada (kupił przez pośredników, gdyż ani hrabia Artur, ani Marcin nie chcieli z sobą rozmawiać), do Natalinka zjechało się wielu kupców żydowskich i w ciągu jednego dnia wykupili wszystkie dachówki z placu za piecem. Jeszcze wpłacając zaliczki zamówili pięć razy tyle. Marcin, żeby podołać zamówieniom, zbudował drugi piec i najął więcej chłopów do formowania gliny i wożenia jej z Białego Lasu. Spieszył się, żeby nim wróci ojciec sprzedać jak najwięcej dachówek i udowodnić, że jakkolwiek taka praca jest może niegodna szlachcica, to jednak przynosi duże pieniądze, za które można dokupić ziemi.

Już po miesiącu Marcin z Kubą mogli zobaczyć, ukradkiem i z daleka, swoje dachówki na dachu pałacu Potemkowskich. Ładnie wyglądały. W słońcu odbijały pozłociste promienie, po deszczu skrzyły się srebrem. A staremu hrabiemu najbardziej spodobało się to, że nowy dach

omijały wrony i gołębie, które zniechędził, odkąd mu raz, kiedy był w towarzystwie pięknej hrabiny Leśniewskiej, zapaskudziły czoło.

Z nastaniem pierwszych przymrozków Marcin przestał wyrabiać dachówki. Obmyślał plany rozbudowy fabryki, chcąc w następnym roku wypalać także cegły, ale zaszły wypadki, które obróciły wniwecz plany Walichrada. Z dachu pałacu w Kasztanii obleciała dachówka i zabiła stangreta siedzącego na koźle. Z początku obwiniono o to dekarzy. Lecz po kilku dniach, kiedy nastąpiły większe mrozy, pękło i obleciało z dachu kilkanaście dachówek. Po tygodniu dach zachodniego skrzydła pałacu był goły. Zostały tylko krokwie. Okazało się, że dachówki, nieodporne na mróz, szybko pękały.

Hrabia Potemkowski nazwał Marcina mordercą i oszustem, a całą rodzinę Walichradów kmiotkami, którzy przez przypadek zostali szlachcicami. Zamierzał z uzbrojonymi ludźmi najechać Natalinek, ale córce i zięciom udało się odwieść ojca od tego zamiaru. Marcin przez Kubę zwrócił Potemkowskiemu pieniądze, jakie ten zapłacił za dachówki. Skrupulatnie rozliczył się także z kupcami żydowskimi, którzy pojawili się w Natalinku zaraz po Nowym Roku. Żydzi przywozili na wozach, a niektórzy przydźwigali w walizkach skorupy dachówek z koniczynami na dowód, że stało się z nimi to samo, co z dachówkami na dachu pałacu w Kasztanii. Jednak po roku wyszło na jaw, że Żydzi część dachówek przechowali przez zimę w stodołach pod sianem i sprzedali latem, tak że następnej zimy znowu podniosły się głosy, że Walichradowie nie zaprzestali oszukiwać ludzi.

Ciotka Zuza rozchorowała się z powodu dachówek. Przez sześć tygodni leżała w łóżku, modląc się na trzeźwo i w malignie o rychły powrót Józefa Bartłomieja. Chciała, żeby wreszcie zjawił się i nie dał rodzinie stoczyć się na dno upodlenia, tym bardziej że Marcin, nie zrażony niepowodzeniem w produkcji dachówek, już przymierzał się do wybudowania młyna. Po wyzdrowieniu, kiedy pierwszy raz zeszła na obiad, zapytała Marcina, czy ona zostanie młynarką w jego młynie, na co Marcin spokojnie odrzekł, że nie, gdyż już ma upatrzoną rodzinę młynarzy.

Odkąd zabrakło Józefa Bartłomieja, i po wypadkach z dachówkami, coraz mniej gości przyjeżdżało do Natalinka. Ostatnio to w ogóle nie było ani jednego. Więc ciotka Zuza, przestraszona, że sąsiedzi całkiem o nich zapomną, postanowiła osobiście zadbać o dom. Powiedziała, patrząc wyzywająco na Marcina, że im mniej ludzie ich szanują, to tym bardziej oni sami muszą się szanować, i z pomocą służącej Soni wyjęła z kredensu garnitur stołowy na dwanaście osób – z porcelany saskiej, zdobiony trzygłowymi smokami. Wyjęła na wypadek odwiedzin niespodziewanych gości, żeby dobrze przyjęci, jak najprędzej zapomnieli o plotkach, które z Marcina robiły oszusta.

Od tej chwili obiady w Natalinku stały się udręką dla domowników. Przy najślabszym stuknięciu łyżką o talerz ciotka Zuza odzywała się z przestachem: „O Boże, stłuczone”. Kuzyn Wacław w obawie, żeby nie stłuc czegoś na stole, nawet przestał klócić się z ciotką Zuzą. Zaś Antoni z tego samego powodu najadł się do syta dopiero w kuchni, na zwykłych cynowych talerzach. Z tego wszystkiego najwięcej roboty miała Sonia. Musiała codziennie, pod bacznym okiem ciotki Zuzy, myć i wycierać do sucha dwadzieścia półmisków, dwa tuziny talerzy, wazy, sosjerki, salaterki, noże, łyżki, widelce.

## NOWY POMYSŁ MARCINA

W czasie jednego z obiadów, które od kilku tygodni odbywały się w milczeniu, Marcin, patrząc po kolei na wszystkich siedzących przy stole, powiedział:

– Staliśmy się biedni.

– Jak to: biedni? – zdziwiła się ciotka Zuza. – Co prawda nazbyt bogaci nigdy nie byliśmy, ale żeby biedni? Żeby o nas mówić: biedni?

– Właśnie – kuzyn Waclaw wyprostował się z godnością – tego rodzaju twierdzenie ubliża mi.

– Ty, drogi kuzynie – ciotka Zuza z gniewem spojrzała na kuzyna Waclawa – lepiej nic nie mów na ten temat.

– A to dlaczego?

– Bo człowiek, który wszystko przegrał w karty, jest kimś o wiele gorszym niż nawet biedak.

– W karty i królowie przegrywają – z dumą odrzekł kuzyn Waclaw.

– Ale ty nie jesteś królem! – krzyknęła ciotka Zuza. Kuzyn Waclaw przegrał cały swój majątek jednej nocy, w domu zajezdnym u Punczerta w Tarnopolu. Było to po dniu świętej Anny, kiedy w Tarnopolu odbywał się wielki targ koński, na który nawet Turcy ze Stambułu przyjeżdżali. Kuzyn Waclaw, dobrze sprzedawszy konie, poszedł do Punczerta z dwoma sąsiadami, Szujskim i Lewickim, i Niemcem, któremu właśnie sprzedawał konie. Zaczęli pić i grać w faraona. Kuzynowi Waclawowi od początku nie szła karta, ale nie miał siły wstać od stołu. Cały czas myślał, że z każdym następnym tasowaniem karta się odmieni i odegra się. Tak po kolei przegrywał pieniądze, jakie dostał za konie, konia i faeton, którym przyjechał na targ, staw z rybami, woły, pole i nad ranem dom nad Seretem. Niemiec stał się bogatszy o cały majątek Waclawa. Po przyjeździe do Natalina, niby tylko w odwiedziny, kuzyn Waclaw przez długi czas nie przyznawał się, że wszystko przegrał w karty. Za to że on i wielu innych Polaków z Podola poszło w nędzę, winił sprzedawczyków Polski: Tarnowskich, Potockich, Sapiehów, Koźmianów. „Oj ty, panie Potocki, wojewódzki synu, zaprodaw ty Polszu, Litwu, Ukrainu”, mówił, wspominając swój majątek obłany zewsząd nieprzejrzanym stepem, z widocznymi w oddali dymami koczowisk, gdzie pastuchy pilnowały stad wołów i koni.

Po kłótni z kuzynem Waclawem ciotka Zuza przypomniała sobie, co powiedział Marcin, i nagle zapytała:

– W jakiż to sposób jesteśmy biedni?

– Ojciec, żeby zdobyć pieniądze na karabiny i konie do powstania, zastawił u Żydów Sinice i Krzeszówek – odrzekł Marcin. – Wczoraj dowiedziałem się, że jeśli w ciągu pół roku nie oddamy pieniędzy, zostanie nam tylko ten dom i majątek w Golejówku.

– O Boże, u Żydów? – ciotka Zuza była przerażona.

– Nikt inny nie miał tyle pieniędzy. Potemkowski powiedział, że powstanie w Królestwie nic go nie obchodzi, i nie dał ani grosza.

– Zdrajca – rzekł Józef.

– No proszę – wtrącił kuzyn Waclaw – w karty nie grali i przegrali.

– Zamilcz! – krzyknęła ciotka Zuza.

– Majątek w Golejówku – mówił dalej Marcin – nie daje prawie żadnych pieniędzy, a jeszcze jak Wisła wyleje na pola...

– Żydzi wiedzieli, co robią – cicho odezwał się kuzyn Waclaw.

– To co się z nami stanie? – zapytała ciotka Zuza, poblądła na myśl o nędzy i że synowie

Józefa Bartłomieja mogą być zmuszeni, jak to się stało z synami Dzieduszyckiego, wyrzec się szlachectwa i ożenić z córkami bogatych wójtów.

– Ja wstąpię do klasztoru – powiedziała Maria, która nie rozumiała, jak może zabraknąć pieniędzy; myślała, że pieniądze zawsze się ma.

– To jest myśl – dodał Józef, patrząc na Marię. – Ja pójdę do wojska. Konia i szablę mam.

– Mnie Juliusz obiecał wysłać na studia do Lwowa – powiedział Antoni.

– Nic z tego – Marcin przecząco pokręcił głową. – Obiecałem ojcu, że dopóki on nie wróci, nikt nie wyjedzie z domu.

Wszyscy umilkli. Upłynęło wiele czasu od zakończenia powstania. W innych rodzinach już było wiadomo, kto zginął w powstaniu, a kto uciekł za granicę, tylko o Józefie Bartłomieju żadnych wieści. W Natalinku, w rodzinie Walichrada, każdy bał się powiedzieć pierwszy, że skoro ojciec dotąd nie wrócił, to znaczy, że nie żyje.

– Dlatego, żeby nie pójść z torbami, postanowiłem wybudować młyn i tartak – powiedział Marcin po chwili.

– I skończy się tak samo jak z dachówkami – ciotka Zuza, już bliska omdlenia, oparła głowę na stole.

– Ale do młyna i tartaku potrzebna jest mi Kamionka.

– Należy do hrabiego – przypomniał kuzyn Waclaw.

– Trzeba pojechać do niego – Marcin spojrzał na ciotkę Zuzę – i zapytać, czy pozwoli, za dobrą opłatą oczywiście, postawić młyn na swojej rzece.

– To niby ja mam jechać? – ciotka Zuza wyprostowała się z trudnością.

– Tak. Ciocia musi to zrobić.

– Nigdy – wyszeptala ciotka Zuza i bezgłośnie, nim ją ktokolwiek zdołał pochwycić, osunęła się zemdlona na podłogę.

Ciotka Zuza znowu chorowała, przez dwa miesiące nie wstawała z łóżka. Leżała w dużym pokoju na poddaszu, gdzie stał dębowy kredens, a w nim zastawa z porcelany znakowana trójgłowym smokiem, która nie była wyjmowana w czasie choroby ciotki Zuzy. W pokoju zawsze paliły się gromnice, tak że ksiądz Orzechowski, wzywany co drugi dzień do świętego namaszczenia, aż dusił się od dymu. Ciotka Zuza, pewna, że umrze, zawezwała z Malczyc, rodzinnego majątku za Lwowem, babkę Joannę, której nie widziała od dwudziestu lat. Babka Joanna była głucha. Wszystko trzeba jej było mówić przez trąbkę. Kuzyn Waclaw sarkał na przyjazd babki Joanny, bo żadnego pożytku z niej, a tylko jedna więcej gęba do jedzenia. Ponadto przewidywał, że babka Joanna już nigdy nie wyjedzie z Natalinka.

Po sześciu tygodniach umierania ciotka Zuza zgodziła się, żeby przyszła Smołowasowa z Golejówka, która czarami leczyła ludzi. Ubrana na czarno Smołowasowa zawiesiła pod sufitem pokoju ciotki Zuzy korzeń mistrzownika, który wyrósł pod szubienicą na moczu skazańców, i kazała ciotce pić trzy razy dziennie po kieliszku wódki z kwiecia dziewanny i trzy razy dziennie, na bicie dzwonów w kościele, odmawiać „Zdrowaś Mario” przy otwartym oknie.

Ciotka Zuza zrobiła wszystko, co kazała Smołowasowa, i już po tygodniu przestała wzywać księdza, a po dwóch tygodniach zeszła niespodziewanie na obiad i powiedziała do Marcina:

– Skoro mam jechać do Potemkowskiego, trzeba przygotować karete.

– Oczywiście, ciociu – ucieszył się Marcin.

– Ale w cztery konie pojedę – zastrzegła się ciotka Zuza.

– Czyli w karete – wtrącił kuzyn Waclaw, któremu cztery konie skojarzyły się z pewnym układem kart.

– Dobrze – zgodził się Marcin i szybko spojrzał na Józefa, czy nie napotka jego sprzeciwu.

Odkąd zmarła żona Józefa Bartłomieja, Walichradowie przestali jeździć kareta i sprzedali od niej konie. Zostały im dwa do bryczki, jeden do jazdy wierzchem i Bułanka, której

dosiadał tylko Józef.

– Trzeba, żeby ktoś ze mną pojechał – dodała ciotka Zuza. – Nie wypada mnie samej, kobiecie...

– Ja nie – gwałtownie sprzeciwił się Józef widząc, że Marcin znowu kieruje na niego spojrzenie. – Wystarczy, że konia daję.

– Antoni pojedzie – zdecydował Marcin.

– Jak chcecie – Antoni obojętnie wzruszył ramionami.

## WIZYTA U HRABIEGO

Rozpoczęli przygotowania do złożenia wizyty w pałacu Potemkowskich. Kuba odnowił i oporządził dawno nieużywaną karete, posrebrzane okucia wyczyścił tak, że błyszczały jak nowe. Józef, wykorzystując do tego dwukółkę, przyuczył Bułankę do chodzenia przy dyszlu. Na koniec Marcin wyjaśnił ciotce Zuzie, w którym miejscu na Kamionce chce postawić młyn i tartak, napędzany jednym i tym samym kołem wodnym, i powiedział, jaką sumę ma zaproponować hrabiemu w zamian za użytkowanie rzeki.

W piątek, kiedy już wszystko było gotowe do wizyty, nagle wyszło na jaw, że Antoni nie ma fraka.

– Przecież bez fraka nie może pokazać się w towarzystwie – rozpaczała ciotka Zuza, ale zaraz wysłała Sonię do Maliny, krawca w Natalinie, żeby przyjechał i wziął miarę z Antoniego.

Malina kazał Soni, żeby powiedziała Walichradom, iż on teraz szyje tylko dla rodziny hrabiego.

– Od kiedy to z Maliny zrobił się taki pan?! – rozgniewała się ciotka Zuza, przypominając sobie, że to właściwie dzięki jej zamówieniom Malina zyskał renomę dobrego krawca.

– W takim razie trzeba jechać do Żyda – powiedział Kuba, na co ciotka Zuza ze złością odrzekła:

– Kuba zapomniał, że to ma być frak, nie chałat. Sama uszyję – postanowiła.

Odszukała w szafie frak Józefa Bartłomieja i z pomocą Soni przerobiła go na frak dla Antoniego. Antoni w niedzielę rano wszedł do jadalni w tabaczkowym fraku ze srebrnymi wyłogami na kołnierzu i mankietach, w spodniach w paski. Głowę miał zadartą, gdyż uwierał go kołnierz pod brodą. Katarzyna z zachwytem powiedziała, że Antoni wygląda jak królewskie dziecko. Wszystkim się podobał, tylko kuzyn Waclaw cicho stwierdził, że Antoni bardziej mu przypomina królewskiego stangreta, co znowu wywołało kłótnię między nim a ciotką Zuzą.

Po powrocie z kościoła ciotka Zuza i Antoni wsiedli do karety. Na koźle, ubrany w niebieską liberię, siedział Januszek – chłopak częściej najmowany do rąbania drzewa i noszenia wody niż do powożenia. Januszek ledwie się powstrzymywał, żeby nie strzelić z bata. To mu było jednak surowo wzbronione, gdyż Bułanka, nie przyzwyczajona do świstu bicia, mogła ponieść karete. Na znak Józefa Januszek cmoknął na konie i ostrożnie ruszył.

Przed otwartą na oścież bramą pałacowego parku ciotka Zuza kazała Januszkowi popędzić konie, żeby wjazd wypadł bardziej okazale. Januszek tylko na to czekał. Zapominając o zakazie Józefa zamachnął się szeroko i strzelił z bicia. Konie za przykładem Bułanki w jednej chwili ruszyły galopem. Na pierwszym zakręcie zarzuciło tylne koła i kareta lekko się

przechyliła. Drugi zakręt Januszek ściał, przejeżdżając po różach, i całym pędem wyjechał na dróżkę, która prowadziła do mostu na fosie. Na moście stają grupa ludzi. Januszek z całych sił ściągnął lejce, ale konie tylko łby obracając na boki dalej rwały do przodu. Zatrzymał je dopiero wystrzał ze sztucera. Znieruchomiały na dwa metry przed hrabią Arturem, który w otoczeniu rodziny siedział w fotelu na moście i polował na żaby.

Z mostu, za płaskim jak dywan trawnikiem, widać było pałac Potemkowskich w kształcie litery E, ze skrzydłami wychodzącymi na trawnik, z wysoką wieżą pośrodku, a na niej zegarem słonecznym z czerwonego marmuru. Ów pałac wybudował pradziadek hrabiego Artura, który w tajemniczy sposób, będąc zarządcą dóbr księcia Lubomirskiego, dorobił się ogromnej fortuny. Oprócz pałacu postawił stajnie i ujeżdżalnię, z przepychem godnym królewskiego rodu, i ponadto, żeby zaskarbić sobie przychylność biskupa, ufundował, klasztor dla dominikanów. Pradziadek hrabiego Artura nieprzypadkowo wybrał pod budowę pałacu wzgórze obok Natalina, niewielkiego miasteczka zamieszkanego w połowie przez Żydów i Polaków. Tędy biegł ważny trakt handlowy z Zachodu na Wschód. To między innymi pomogło pradziadkowi hrabiego Artura powiększyć swój majątek na dostawach koni wojskowych do Rosji w czasie wojny krymskiej i prowadzić inne interesy, które w większości skryte były przed oczyma postronnych.

Następcy budowniczego pałacu w Kasztanii (tak zostało nazwane wzgórze zarośnięte przez kasztany) żyli z fortuny, której on się dorobił, i posługiwali się tytułem także przez niego kupionym. Ale hrabia Artur już nawet o tym nie wiedział. Gdy do mostu na fosie podjechała ciotka Zuza, siedział w fotelu z wysokim, zwieńczonym głową gryfa oparciem. Sopy opierał na skórzanej poduszce. Odkąd zaczął chorować na reumatyzm, starał się w ogóle nie dotykać gołej ziemi. Trzymając w rękach bałabanówkę strzelał do żab w fosie. Na żaby polował od trzech lat. Wcześniej był jednym z najlepszych myśliwych w okolicy, nie chybiał ani do żubra, ani do drozda. Przestał polować z dnia na dzień, gdy raz, na zwykłym popołudniowym spacerze ze strzelbą, z odległości kilkunastu kroków nie trafił w lisa. Od tego dnia w ciągu trzech lat z postawnego wysokiego mężczyzny przemienił się w zgarbionego i złośliwego starca. Dręczył rodzinę i rezydentów mieszkających w pałacu oskarżając ich, że chcą go otruć albo okraść z broni, której dalej pozostał namiętnym zbieraczem. W kilku pałacowych pokojach, do których wstęp miał tylko stary hrabia i jego osobisty rusznikarz, wisiały na ścianach albo stały w stojakach setki karabinów, strzelb i pistoletów z najlepszych firm w Europie – flinty, ptaszniczki, wiatrówki na dwadzieścia strzałów, długie na trzy metry karrenbuchse, muszkiety, strzelby skałkowe, rewolwerowe, sztucery z lunetami. Lecz hrabia Artur, pomimo coraz bardziej słabnącego wzroku, całkowicie ze strzelania nie potrafił zrezygnować. Raz, dwa razy w miesiącu, gdy świeciło słońce i było ciepło na dworze, kazał się w fotelu wynosić na most w parku i strzelał do żab. Strzelał na słuch. Ten zmysł, ku utrapieniu rodziny, miał zachowany bardzo dobrze. Pierwszego roku polowania z parku uciekły ptaki, wiewiórki, szczury i udomowiona wydra. Kiedy następnego roku zabrakło i żab, a po strzałach nic oprócz kasztanów nie zlatywało na ziemię, hrabia Artur popadł w wielki gniew. Całymi tygodniami bez powodu bił lokajów, a rodzinę wyzywał od darmozjadów, grożąc, że jednych wyrzuci z pałacu, a drugim ani grosza nie zapisze w testamencie. Wówczas córki i zięciowie hrabiego postarali się, żeby żab nigdy nie zabrakło. Kazali lokajom skupować je od chłopów.

Stary hrabia nie zwrócił uwagi na przyjazd ciotki Zuzy. Członkowie jego rodziny także zachowywali się tak, jakby nikt nie przyjechał. Gdy ciotka Zuza wysiadła z karety i stanęła za fotelem z gryfem, hrabia strzelił drugi raz. Po chwili lokaj w jaskrawoczerwonej liberii przyniósł ropuchę.

- W oko dostała, jaśnie panie – oznajmił lokaj.
- W które? – zapytał hrabia.

Lokaj, patrząc na żabę to z przodu, to z tyłu, nie wiedział, jak odpowiedzieć. Ale szybko

znalazł wyjście: patykiem przebił drugie oko.

– W oba oczy dostała! – wykrzyknął ucieszony.

– Widocznie trafiłem z boku – stwierdził hrabia z zadowoleniem i zaczął przymierzać się do następnego strzału.

Na moście zaległa cisza. Nikt się nie ruszał. Jedna z młodszych kuzynek hrabiego ścisnęła palcami nos, przerażona, że nie wytrzyma i zaraz kichnie. Pozostali widząc, jak kuzynka się męczy, ukradkiem dawali znaki lokajowi schowanemu za drzewem. Lokaj zrozumiał. Już przykładł dłonie do ust, żeby zarechotać, gdy nagle rechot dobiegł z przeciwnej strony mostu. Hrabia Artur momentalnie odwrócił się i wypalił. Szyba w oknie karety, obok której stał Antoni z dłońmi przy wargach, została rozbita.

– Panie hrabio – powiedziała z oburzeniem ciotka Zuza – to mój bratanek.

– Trafiony? – zapytał hrabia.

– Dzięki Bogu, nie.

– Nie może być. Celowałem w sam środek głosu.

– Pan hrabia sam zobaczy – ciotka Zuza przyprowadziła do hrabiego Artura Antoniego. – To jest syn Józefa Bartłomieja z Natalinka.

– Dlaczego ojciec nie przyjechał?

– Dotąd nie wrócił z powstania.

– To oni się tam jeszcze biją? – sennie zapytał hrabia i po kilku sekundach jego głowa opadła na piersi.

Hrabia Artur usnął. Jego rodzina tylko na to czekała.

Z nieukrywaną ulgą zostawili starego hrabiego z lokajami i spieszenie odeszli do pałacu. Do ciotki Zuzy nawet słowem się nie odezwali.

– Hrabia długo będzie spał? – ciotka Zuza zapytała lokaja w czerwonej liberii, który przekładał żaby z kieszeni do płóciennego worka.

– Do obiadu, jaśnie pani.

– Wracamy – powiedziała ciotka Zuza do Antoniego i wsiadła do karety.

## OBERWANIE GÓRY

Kiedy ciotka Zuza i Antoni wracali z Kasztanu, usłyszeli grzmot. Antoni myśląc, że to burza nadchodzi, bezwiednie popatrzył w niebo. Ale niebo było czyste, bez chmur. Nic, poza grzmotem, nie zapowiadało burzy.

Wolno jechali do Natalinka. Ciotka Zuza była pewna, że wszyscy czekają na jej powrót z niepokojem i niecierpliwością, tymczasem po przyjeździe okazało się, że w domu jest tylko babka Joanna. Ciotka Zuza przestraszyła się.

– Marcin! Katarzyna! Sonia! – wołała przechodząc przez pokoje.

Nikt nie odpowiadał. Więc szybko sprawdziła, czy porcelanowa zastawa jest w kredensie, i zbiegła do jadalni, gdzie siedziała babka Joanna.

– Gdzie oni są? – zapytała ciotka Zuza, krzyżąc do ucha babki Joanny.

Babka Joanna obojętnie pokazała na okna, które wychodziły na tył domu – na płynącą w oddali Kamionkę i Kozią Górę. Zuza podeszła do okna. To, co zobaczyła, wprawiło ją w osłupienie. Kozia Góra przesłonięta była obłokiem brunatnego dymu, już powoli opadającego, a Kamionka płynęła o wiele bliżej, nie opodal figury świętego Antoniego,



płynęła łąką, która należała do Walichradów. Ciotka Zuza zobaczyła, że przy świętym Antonim jest Marcin, Józef, Kuba, Maria, Sonia, Katarzyna, kuzyn Wacław. Bliżej miasta stało kilkuset ludzi. Wśród nich starosta Jahl i proboszcz Orzechowski.

Brunatny kurz, opadając niżej, odsłonił zarysy Koziej Góry. Górze brakowało dużego tarasu, który od niepamiętnych lat zwisał nad rzeką. Ziemia, skały i sosny rosnące na tarasie wpadły do Kamionki. Zatarasowały jej koryto tak, że woda przelała się na łąkę Walichradów i tam, jak się można było rozeznac po prądzie, złożyła nowe koryto.

Kamionka dochodziła teraz prawie do murów Natalina, pod którymi ostro zakręcała i starą fosą wracała na swe dawne koryto. Na zakręcie pod murami brunatna woda kłębiąc się, bryzgając, wyrzucała na brzeg pnie sosen, białe korzenie, wymyte z dna kamienie i ziemię z kępami traw. W to miejsce już biegli ludzie z łopatami, żeby usypać wał zabezpieczający miasto przed wtargnięciem rzeki.

Marcin i Kuba uśmiechali się do siebie. Obaj zastanawiali się, czy zator jest wystarczająco mocny, żeby Kamionka co najmniej kilka dni płynęła nowym korytem. Po kilku dniach, gdy wyłobi głębokie koryto, trudno będzie z powrotem zmienić jej bieg. Już wypatrzyli, że największy spad wody jest przed zakrętem, obok murów, i że tam znajduje się najlepsze miejsce na wybudowanie młyna – młyna na ich własnej ziemi.

## OBRONA KASZTANII

Na wieść, że Kamionka zmieniła bieg i na długości dwu wiorst płynie przez ziemie Walichradów, hrabia Potemkowski zwołał rodzinną radę, na której powiedział, że ludzie najęci przez Walichradów nocami podkopywali Kozią Górę, aż ta runęła do rzeki i zagroziła ją, i że w związku z tym oskarży Walichradów w sądzie o przywłaszczenie sobie rzeki. Mieszkańcy pałacu zgodnie przyklasnęli decyzji hrabiego. Tylko Francois Lemaire, zatrudniony w pałacu jako nauczyciel francuskiego, odważył się głośno zwątpić, czy w ogóle jest możliwe umyślne podkopanie góry tak, aby się ona zwała do rzeki. Hrabia Artur nie dostyszał tej uwagi, gdyż zaraz po swojej przemowie do rodziny usnął. Izabela, najstarsza córka hrabiego, odezwała się do Lemaire'a z pretensją, że niepotrzebnie usiłuje zdenerwować starego człowieka.

Mieszkańcy pałacu nie lubili nauczyciela francuskiego. Złościło ich, że Lemaire jest jedyną osobą w Kasztanii, której hrabia Artur regularnie wypłaca pensję, i w gruncie rzeczy jedynym człowiekiem w pałacu, oprócz starego hrabiego, który miał w kieszeni pieniądze i w każdej chwili mógł pojechać do sklepu w Natalinie i kupić sobie cokolwiek. Poza tym Lemaire nazbyt często, zapominając się, naruszał niepisane prawo obowiązujące w pałacu. Polegało ono na tym, żeby w niczym nie sprzeciwiać się staremu hrabiemu, gdyż, jak orzekli lekarze, tylko spokój miał zapewnić długie życie hrabiemu Arturowi. Tymczasem Lemaire, myślami będąc przy „Kandydzie” Woltera, którego tłumaczył na język polski, w czasie obiadu wspominał to o wielkim balu u gubernatora we Lwowie, na który nie zostali zaproszeni Potemkowscy, to, jak ostatnio, mówił o buntach chłopskich w tarnowskim powiecie. Takie wiadomości wprawiały hrabiego w szkodliwe dla zdrowia podniecenie.

Ale rodzina Potemkowskich nie mogła się pozbyć Lemaire'a, gdyż był on ulubionym nauczycielem Ignacego, a z kolei Ignacy był ukochanym dzieckiem hrabiego Artura. Stary hrabia często wspominał, że cały majątek zapisze Ignacemu. Tego wszyscy się bali, a przede

wszystkim dwaj zięciowie hrabiego, których żony dotąd nie dostały obiecane przed ślubem posagu. Nie było pewne, czy kiedy Ignacy zawładnie majątkiem rodzinnym, zechce uznać prawa swoich sióstr do posagu. Ignacy już niejednokrotnie napomykał, że byłoby dobrze, gdyby niektórzy, zamiast kisić się w pałacu, poszli na urzędy albo do wojska. Zięciowie hrabiego wiedzieli, że to o nich mowa. Starzy kuzyni i kuzynki z podupadłych majątków w Królestwie i Galicji także chcieli, żeby hrabia Artur żył jak najdłużej, bo choć złośliwy i porywczy, to szanował stare obyczaje i prawa, i na pewno nie dopuści, aby swoją, nawet dalszą rodzinę pochować gdzie indziej niż w krypcie rodzinnej u księży dominikanów lub pod kaplicą pałacową. Zaś Ignacy, kto wie, może kazałby ich zakopać na natalińskim cmentarzu jak chamów z miasta? Poza tym gdyby Ignacy chciał jeszcze wcielić w życie Kasztanii nowiny, jakie przywoził z wojaży, to byłby już koniec świata.

Hrabia Artur, chcąc się dobrze przygotować do procesu o rzekę, posłał do Lwowa po najlepszego geometrę. Miejscowi, jego zdaniem, byli przekupieni przez Walichradów. Geometra, w niebieskim fraku i z grubym havannos w ustach, przyjechał po kilku dniach. Hrabia kazał mu obliczyć, jakie trzeba będzie ponieść koszty, żeby Kamionka wróciła na swe dawne łożysko. Tymi kosztami postanowił obciążyć w sądzie Walichradów.

Geometra powiedział, że chce natychmiast pojechać nad rzekę. Nie ukrywał, że spieszy się. Na propozycję hrabiego, aby pozostał dłuższy czas w Kasztanii, odrzekł z lękiem, że nie wiadomo, co jutrzejszy czas przyniesie, i że w tych gorących chwilach woli być przy rodzinie. Hrabia Artur nie zwrócił uwagi na jego słowa. Od czasu wielkiego powstania, z którego nie powrócił Józef Bartłomiej, hrabia co kilka miesięcy słyszał o gorących chwilach, kiedy to Polacy gotowali się do walki to przeciwko Moskalom, to Prusakom, to Austriakom.

Ale tym razem zrodziło się inne powstanie i ono nie ominęło pałacu Potemkowskiego. Zabito geometrę. Grupa chłopów uzbrojonych w kosi i siekiery, której przewodził mandatariusz Kicki, przydybała geometrę pod Kozią Górą, gdy w swym wspaniałym błękitnym fraku przyglądał się zatorowi na Kamionce. Obok stał powóz z herbem Potemkowskich, więc chłopci pomyśleli, że to ktoś z rodziny hrabiego. Po zabiciu geometry ucięli jego głowę, za którą, jak i za każdą inną głowę dobrze urodzonego, starosta tarnowski płacił pięć florenów. Stangret, który przywiózł do pałacu ciało geometry bez głowy, powiedział, że buntownicy mieli cały wór napełniony głowami ludzkimi. Wówczas hrabia Artur zażądał od rodziny wyjaśnień. Hrabia Rolicki, mąż Izabeli, wyznał, iż w Krakowie wybuchło powstanie, ale chłopci, nie wiadomo dlaczego, sprzymierzyli się z mandatariuszami i lokajami i napadają na dwory możnych. rabują je, pałą. Nazajutrz po śmierci geometry do Kasztanii zaczęli przyjeżdżać uciekinierzy z dworów od strony Krakowa, i oni potwierdzili to, co powiedział hrabia Rolicki.

Hrabia Artur, nie zwlekając, wysłał Rolickiego do starosty Natalina, a drugiego zięcia, Niedziałka, do dowódcy pułku piechoty, żeby odkomenderował kilku żołnierzy do trzymania straży wokół pałacu. Obaj wrócili z niczym. Starosta wraz z rodziną wyjechał w sprawach służbowych do Wiednia. Osobisty sekretarz starosty, Malitzer, który oprócz tego, że trudnił się przemytem wódki i za dobrą opłatą załatwiał sprawy nie do załatwienia, zazwyczaj miał najszybsze i najdokładniejsze wiadomości, tym razem nie potrafił odpowiedzieć, co się dzieje, ani przeciwko komu się dzieje. Inne wiadomości napływały z Krakowa, inne z Wiednia, jeszcze inne ze Lwowa. Pułkownik Kriegshaber także zachowywał się niezrozumiale. Odmówił prośbie hrabiego Artura, tłumacząc się zagrożeniem koszar.

Po dwóch dniach, kiedy do Kasztanii nadeszła wiadomość, że trzystu chłopów z mandatariuszem Kickim na czele spaliło dwory w Rabczycach i Żeleźniku, i śpiewając:

A kiedy wybije godzina powstania,  
Magnatom lud ucztę zgotuje,  
On miecze i stryczki zaprosi do grania,  
A szlachta niech wtedy tańczy.

podchodzi coraz bliżej Natalina, Potemkowski rozpoczął przygotowania do odparcia ataku buntowników.

Hrabia Artur, w obliczu niebezpieczeństwa nagle odmłodzony tak, że zaczął pewnie chodzić o własnych siłach, ogłosił siebie komendantem obrony i w pierwszym rzędzie, aby nie dopuścić do buntu od wewnątrz, kazał zamknąć w przechowalni owoców wszystkich lokajów, sługi i parobków. Do pilnowania ich wyznaczył dwóch synów Maślnickiego spod Bochni. Następnie zajął się końmi. Najdroższe, wschodnie ogiery kupione w Rankowie nad Dniestrem, ukrył w piwnicy pod pałacem, pozostałe kazał zapędzić w najdalszy kąt parku. Na końcu, pomiędzy setki uciekinierów, którzy przyjechali do Kasztanii, hrabia Artur utworzył cztery oddziały, rozkazując jednocześnie rusznikarzowi, żeby strzelbami i nabojami obdzielił wszystkich mężczyzn zdolnych do noszenia broni. Kilka razy musiał powtórzyć rozkaz rusznikarzowi, gdyż ten nie chciał się zgodzić, żeby strzelby pochodzące z najlepszych manufaktur, o lufach nabijanych srebrem i złotem, kolbach wykładanych kością słoniową, dostały się w ręce ludzi, którzy na co dzień i od święta strzelają z dwururek skleconych w podrzędnych warsztatach Krakowa i Wilna.

– Rozumiem cię, kochasiu – hrabia dobrotliwie poklepał rusznikarza po ramieniu – ale nie ma innego wyjścia. Dobry karabin to jeden więcej żołnierz.

Stali mieszkańcy pałacu nie poznawali hrabiego Artura. Poruszał się ochoczo, śmiał się, nawet jakby wzrok odzyskał. Stał się całkiem inny, aż Izabela odważyła się napomknąć o niewyplaconych posagach. Ojciec, zamiast jak zwykle po takim pytaniu unieść się gniewem, odrzekł z troską w głosie:

– Droga Izabelo, przeżyjemy te dni, to nie omieszkam zaraz dać wam pieniądze, a nie przeżyjemy, to i tak wszystko jedno.

Gdy w południe uzbrojone oddziały zajęły wyznaczone pozycje – w oknach pałacu, przy moście nad fosą, pomiędzy drzewami parku, a hrabia Artur z dwudziestoma zbrojnymi przy głównej bramie – na drodze od Natalina ukazał się oddział piechoty austriackiej z dwoma sześciofuntowymi działami ciągniętymi przez czwórki koni.

Pułkownik Kriegshaber, dostawszy ze Lwowa nowe instrukcje, wysłał żołnierzy do obrony pałacu przed atakiem chłopstwa. Ale hrabia Artur, widząc nadjeżdżających Austriaków, którzy dopiero co odmówili pomocy, pomyślał, że sprzymierzyli się oni ze zbuntowanymi chłopami, i wydał rozkaz:

– Ognia!

Austriacy zaskoczeni strzałami porzucili działa i rozpiechli się po obu stronach drogi. Po chwili, na odgłos trąbki do odwrotu, zawrócili do koszar, gdzie zameldowali pułkownikowi, że zostali przyjęci ostrym ogniem przez znajdujących się w pałacu kilkuset buntowników. Pułkownik natychmiast wysłał depeszę do Lwowa, zawiadamiając, że zlokalizował gniazdo oporu buntowników i czeka na posiłki, gdyż przypuszcza, że do Galicji przedostały się oddziały powstańcze z Królestwa.

Hrabia Artur, w widoczny sposób zyskując siły z godziny na godzinę, działa kazał zatoczyć na most i wykierować je w bramę.

– Z ich ciał usypimy wał obronny – mówił, zacierając dłonie z radości.

Nie przyznawał racji zięciom ani rozważnemu Maślnickiemu, którzy zaraz po odwróceniu Austriaków powzięli podejrzenie, że nie jechali oni do pałacu w złych zamiarach.

– Myślicie, że w umizgi do waszych żon? Z działami? – śmiał się stary hrabia.

– No nie, ale...

– To powstanie – zdecydowanie przerwał hrabia Artur – zorganizowali wolnomularze. Oni są wszędzie, także w armii austriackiej. Jeszcze cesarz będzie nam dziękował, kiedy ich trochę ubijemy.

Po kilku godzinach wyczekiwania na następny atak, pomiędzy domów Natalina

wyjechało trzech oficerów. Jeden z nich trzymał białą flagę.

– Poddają się? – Rolicki był zaskoczony.

– Jeńców nie bierzemy – zastrzegł się hrabia Artur, a gdy Austriacy podjechali bliżej, rozkazał: – Strzelać!

– Panie hrabio! – krzyknął Maślnicki – tak nie można. To parlamentariusze. Chcą się z nami układać.

– Nie będę wchodził w żadne układy. Wojna to wojna. Sami jej chcieli.

– Ale musimy postępować honorowo.

– Dobrze – hrabia Artur zmienił zdanie. – Przyjmę ich w sali balowej. Niech wejdą za kwadrans – powiedział odchodząc do pałacu.

Kapitan i dwaj porucznicy austriaccy podjechali do bramy.

– Chcę rozmawiać z waszym dowódcą – rzekł kapitan, patrząc ze zdziwieniem na starych mężczyzn w tużurkach z aksamitnymi kołnierzami, w kamizelkach, frakach, w tym, w co zdążyli się ubrać uciekając przed chłopstwem żadnym pańskiej krwi.

– Proszę zsiąść z koni i pójść za mną – powiedział hrabia Rolicki.

Zaprowadził oficerów do sali balowej, gdzie stary Potemkowski już się przygotował na przyjęcie parlamentariuszy. Siedząc w fotelu z głową gryfa, otoczony mieszkańcami pałacu, z wyższością patrzył na idącego do niego kapitana.

– Kapitan Knaper z siedemdziesiątego pułku piechoty – przedstawił się kapitan, stając na baczność przed hrabią.

– Słucham, kapitanie.

– W imieniu pana pułkownika Kriegshabera oświadczam, że macie panowie godzinę czasu na wydanie buntowników i poddanie się. Po upływie godziny i niezastosowaniu się do życzenia pana pułkownika – kapitan spojrzał na stojące pod ścianą kobiety – pan pułkownik nie ręczy za życie osób cywilnych.

– Panie kapitanie – odezwał się Rolicki – tu nie ma żadnych...

– Milczeć! – krzyknął hrabia Artur, obrzucając zięcia gniewnym spojrzeniem. Po chwili namysłu zwrócił się do oficera z uprzejmym pytaniem: – Panie kapitanie, czy jesteście dzielnym żołnierzem?

– Wszyscy oficerowie Jego Cesarskiej Mości są dzielnymi żołnierzami.

– W takim razie miejcie odwagę zameldować panu pułkownikowi, że jeśli w ciągu pół godziny nie wyda mi wszystkich wolnomularzy, jacy się znajdują w pułku, wasze koszary z ziemią zrównamy.

– Ojczy? – Izabela podbiegła do starego hrabiego, który w tejże samej chwili głowę opuścił na piersi i usnął.

Zapanowała cisza. Nikt z rodziny nie przerywał jej w obawie, że stary Potemkowski obudzi się. Dopiero gdy posłyszeli chrapanie, mieli pewność, że nie otworzy oczu wcześniej, jak za kilka godzin. Wtedy Rolicki podszedł do Austriaka.

– Panie kapitanie – powiedział – zaszła wielka pomyłka. My nie jesteśmy buntownikami.

– Myśmy myśleli, a właściwie pan hrabia tak myślał – wtrącił Maślnicki, pokazując na śpiącego hrabiego Artura – że to wy przyłączyliście się do zbuntowanego chłopstwa.

– Panowie – kapitan surowo spojrzał na mężczyzn – podejrzenie żołnierzy Jego Cesarskiej Mości o bunt jest przestępstwem.

– W tej sytuacji, kiedy wy nie jesteście... – hrabia Rolicki przerwał i zaraz poprawił – kiedy wy też jesteście przeciwko buntownikom, to nie ma żadnego problemu. Już się poddajemy, jeśli to ma takie znaczenie dla pana pułkownika. Ale buntowników nie możemy wydać, gdyż nie ma ich tutaj. Sami uzbroiliśmy się przeciwko nim.

– Nie, panowie – sprzeciwił się kapitan – rozkaz pana pułkownika nie może być spełniony w połowie. Buntowników także musicie wydać.

– Przecież powiedziałem, że nie ma ich tutaj – zniecierpliwił się Rolicki.

– Buntownicy są wszędzie – spokojnie odrzekł kapitan, choć sam gorączkowo zastanawiał się, jak wybrnąć z tej przykrej dla pułku sytuacji: dowództwo armii zostało powiadomione o wielkich siłach powstańczych, z którymi pułk stoczył nierówną walkę, tracąc dwa działa, a teraz okazuje się, że to kupa starców,

– Panie kapitanie – odezwał się z namysłem Rolicki – czy gdy wydamy buntowników, nie będzie nam nic groziło ze strony wojska i urzędu Jego Cesarskiej Mości?

Kapitan odpowiedział z przekonaniem:

– To gwarantuję w imieniu pana pułkownika.

– To proszę za mną – rzekł Rolicki i ku zdumieniu stałych i nowo przybyłych mieszkańców pałacu zaprowadził kapitana i poruczników do przechowalni owoców, gdzie synowie Maślnickiego pilnowali kilkunastu lokajów i parobków. – Oto oni, panie kapitanie – Rolicki wskazał na wystraszoną służbę.

## WIELKIE ZAMIERZENIE

Do procesu Kamionkę nie doszło. Hrabia Artur zapomniał, że Kamionka zmieniła bieg, a jego córki i zięciowie mieli ważniejsze sprawy na głowie. Przede wszystkim musieli wyjaśnić, jak doszło do napaści na żołnierzy Jego Cesarskiej Mości i zawładnięcia dwoma sześciofuntowymi działami, gdyż mimo obietnicy pułkownika Kriegshabera Wiedeń był bardzo zainteresowany wypadkami w Kasztanii. Cała rodzina brała udział w układaniu listów do sekretariatu kanclerza Austrii, a hrabia Rolicki i Izabela trzy razy jeździli do Wiednia, nim wreszcie po dwóch latach kanclerz uznał Potemkowskich za niewinnych. Potem wybuchło następne powstanie, które objęło wszystkie ludy monarchii: Austriaków, Polaków, Włochów w Lombardii i Wenecji, Czechów, Węgrów, Kroatów, Serbów. Gdy młody Franciszek Józef I nowy cesarz Austrii, pokonał Włochów i Polaków, stłumił powstanie we Wiedniu i Pradze i z pomocą stu pięćdziesiąt tysięcy armii cara Mikołaja I pobił Węgrów, stare koryto Kamionki zarosło wysoką trawą, krzewami i olchami, że obcemu trudno byłoby uwierzyć, iż tamtędy kiedykolwiek płynęła rzeka. Nowe koryto Kamionki zostało oznaczone na mapach sztabowych austriackiej armii i teraz najmniejsza zmiana koryta rzeki wymagałaby zezwolenia wielu urzędników, tak że nikt z Potemkowskich już nie myślał o procesie o Kamionkę, na której tymczasem Marcin Walichrad postawił młyn i tartak.

Marcin po kamieniu do młyna pojechał do Piekar na Śląsku. Podczas tej podróży obejrzał zakłady hutnicze w Niwce i wielkie piece i walcownie w Hucie Bankowej. Tam po raz pierwszy zobaczył maszynę parową. Zamarzyły mu się takie wielkie zakłady z maszynami parowymi i już wtedy zaczął snuć plany zbudowania dużej fabryki. Ale nie miał pieniędzy. Żeby zarobić więcej, wybudował, po młynie i tartaku, cegielnię. Wydał na to wszystkie oszczędności rodzinne i znowu, jak wcześniej ojciec, pod zastaw Sinic i Krzeszówka pożyczył pieniądze od Żydów. Myślał, że dzięki młynowi, tartakowi i cegielni szybko dorobi się i odda długi. Tymczasem nie. Właściciele okolicznych i dalszych dworów, namówieni przez hrabiego Rolickiego, uważali, aby nie dać zarobić Marcinowi Walichradowi, który tym, czym się zajmował, kłał dobre imię szlachty. Do jego młyna nie pozwalali wozić mąki. Z tej samej przyczyny także traki stały nieruchome, a na wypalonych ceglach, stojących na ogromnej połaci ziemi wokół cegielni, wyrosła trawa.

W miarę jak zbliżał się termin spłaty nowych długów, coraz więcej Żydów przyjeżdżało

do Natalinka. Chcieli wykupić od Walichradów majątki, wraz z młynem, tartakiem i cegielnią.

Na kilka tygodni przed ostatecznym terminem spłaty do Natalinka wrócił Juliusz ze swej kolejnej podróży po świecie. Juliusz wybawił rodowy majątek od wyprzedazy. Poświęcił na to kilka wielkich malowideł ze swojej kolekcji obrazów, które od lat gromadził w pokoju na piętrze, pod jego nieobecność zawsze zamkniętym. Prawie nikomu ich nie pokazywał, i dotąd cała rodzina nawet nie zdawała sobie sprawy, jakiej wartości były to obrazy. Cztery z nich Juliusz sprzedał Czartoryskiemu, który mieszkał pod Wiedniem, i to wystarczyło na pokrycie wszystkich długów. Marcin obiecał Juliuszowi, że za kilka lat odkupi obrazy od Czartoryskiego, gdyż – jak cicho wyznał – zamierza zbudować piec do wytopu żelaza i duże zakłady metalowe. To musi przynieść pieniądze – stanowczo oświadczył Juliuszowi.

Przez kilka dni Juliusz chodził zamyślony i milczący. Z Marcinem prawie nie rozmawiał. Po tygodniu Juliusz poprosił, aby mu przygotować karetę. Chcąc zawieźć obrazy do Wiednia, powiedział. Marcin pomyślał, że Juliusz zabiera obrazy z Natalinka, aby ich wszystkich nie stracić.

Juliusz cały dzień pakował płótna. Długo każdemu się przyglądał, przypominając sobie, gdzie je kupił albo od kogo dostał. Dzięki temu jeszcze raz, w myślach, wędrował po przetartych przez siebie szlakach. Jako ostatni włożył do kufra swój najulubieńszy obraz: „Wieża Babel”. Kiedyś doliczył się na nim trzech tysięcy czterystu robotników pracujących przy budowie wieży. Znajdowali się oni na ośmiu ukończonych piętrach, na trzech piętrach w budowie, na galeriach płynących kanałem, na skałach, skąd wyrąbywali bloki, na wozach z materiałami budowlanymi i beczkami wody, w lesie, gdzie ścinali drzewa, i na placach widocznego w oddali miasteczka z szesnastoma wieżami kościelnymi. Gdy Juliusz patrzył na obraz, wszystko tam ożywało. Czasami dziwił się, że wieża nie rośnie, że wciąż ma tylko osiem pięter. Słyszał nawoływania robotników i majstrów, skrzypienia osi wozów i stukot kopyt końskich na drewnianym moście nad kanałem. Słyszał plusk wiosel i uderzenie batem w plecy galerników. Z kuźni dobiegały dźwięczne odgłosy młotów, a z marmurowego tarasu na zboczu góry wesoly śmiech książęcych dzieci. Bicia dzwonów w kościele zlewały się z szumem fal oceanu, który widać było po lewej stronie.

Juliusz, sprzedawszy we Wiedniu wszystkie obrazy, przyjechał do Natalinka z dukatami i pięćdziesięcioletnim inżynierem Leopoldem Hulką – pół Czechem, pół Niemcem, mówiącym we wszystkich językach świata. Hulka niedawno wrócił z Moskwy, gdzie tamtejszych inżynierów uczył budowania umocnień warownych, i Juliuszowi udało się go uprosić, żeby pomógł Marciniowi przy budowie zakładów. Hulka zgodził się przyjechać do Natalinka, ale tylko na kilka miesięcy, gdyż był już zaproszony przez Lessepsa i Compagnie Universelle du Canal Maritime de Suez do pracy przy budowie wielkiego kanału, który miał połączyć Morze Śródziemne z Morzem Czerwonym.

Leopold Hulka był obdarzony niezwykłymi zdolnościami. Wiele bogatych dworów w Europie chciałoby go zatrzymać na stałe. Oprócz tego, że był jednym z najlepszych budowniczych fortyfikacji, potrafił przepowiadać pogodę i zbiory zbóż. Jego niepospolite zdolności techniczne zadziwiały uczonych i konstruktorów. Wystarczyło, że tylko przysłuchał się pracy jakiegoś skomplikowanego urządzenia, i mógł odpowiedzieć, gdzie tkwi błąd w konstrukcji albo uszkodzenie. Przed laty, kiedy po dwu wielkich rewolucjach zabrakło we Francji ślimaków, Karol Ludwik Napoleon Bonaparte, późniejszy Napoleon III, zapytał Hulkę, czy zdoła dokonać, żeby na jego ziemi nad Saoną rozmnożyły się ślimaki. Hulka powiedział, że tak, i po trzech latach doprowadził do tego, że Karol Ludwik Napoleon Bonaparte musiał się znowu zwracać o pomoc do niego, tym razem, aby powstrzymał populację ślimaków, które doszczętnie objadły zbiory na polach. Namnożyło się ich tyle, że po drogach trudno było jeździć; koła wozów oblepiały się pogniecionymi ślimakami jak błotem.

Zakłady metalowe miały być wybudowane na wyspie – obszarze pomiędzy starym korytem Kamionki, gdzie teraz ledwie się sączył przefiltrowany przez ziemię strumyczek czystej wody, a nowym korytem, biegnącym obok figury świętego Antoniego. Juliusz zaprowadził tam Hulkę, który uznał, że to miejsce nadaje się pod budowę zakładów. Hulka pojechał także nad Ran, aby się osobiście przekonać o jakości tamtejszej rudy żelaza, z której Marcin chciał wytapiać żelazo. Ruda nie była nazbyt bogata, ale że znajdowała się płytko, bo zaraz pod darnią, opłacało się ją wydobywać i przetapiać. Hulka z takim przekonaniem odbył pierwszą rozmowę z Marcinem.

– Co pan właściwie chcesz produkować? – zapytał.

– Wszystko, co z żelaza – zdecydowanie odrzekł Marcin.

– Doskonale. To lubię – Hulkę zadowolila odpowiedź Marcina. – A więc zabieramy się do rzeczy – Hulka pochylił się nad sporządzonym przez Marcina planem wyspy i okolicy z błyszczącymi oczami, skupiony, niby czarodziej ustawiał na powierzchni ziemi piece do wytopu żelaza, pudlingarnie, walcownie, kuźnie, ślusarnie, w których miały na początek powstawać pługi, brony, kosy, siekiery, gwoździe, łyżki, garnki, a później statki parowe. – Co pan na to? – zapytał Hulka, odrywając się od mapy.

– Brakuje portu – powiedział Marcin.

– Wybornie – Hulka, coraz bardziej rozpalony, przystąpił do wyznaczania miejsca pod port i dróg do niego.

Obecny przy tej rozmowie Juliusz obawiał się, że to, co proponuje Hulka, może przerastać Marcina. Już teraz, spoglądając na brata, który z uwagą i spokojem wysłuchiwał Hulki, odnosił wrażenie, iż jest to spokój człowieka niewierzącego w realizację proponowanego zamierzenia, albo któremu nie starcza wyobraźni, żeby zrozumieć jego ogrom. Sam Juliusz był oszołomiony planami Hulki i chwilami uważał je za nedorzeczne, już od dłuższej chwili nie panował nad znakami na mapie. Toteż zaskoczyło go, gdy Marcin przerwał Hulce:

– Zapomniał pan o jeszcze jednym spiętrzeniu wody na Kamionce.

– Nie zapomniałem. Czekałem, aż pan to zauważy.

– A ponadto – Marcin wziął ołówek od Hulki i przekreślił na mapie kilka znaków – z uwagi na transport będzie lepiej, jeśli składowisko węgla zrobić tutaj, a rudy tutaj.

– Rzeczywiście, tak lepiej – przyznał Hulka i z wyrzutem spojrział na Juliusza, mówiąc: – Właściwie to nie wiem, czy jestem w ogóle pańskiemu bratu potrzebny. Radzi sobie doskonale.

Twoje szczęście jest potrzebne, pomyślał Juliusz, zdając sobie sprawę, że jeżeli Marcinowi i tym razem nie powiedzie się, nic już nie uchroni rodziny od bankructwa. O siebie Juliusz nie martwił się. Już podczas ostatniego pobytu na Patmos, w klasztorze Świętego Jana, postanowił wybudować sobie chatę gdzieś na odludziu i żyć jak pustelnik. Znudziły go podróże, kiedy przekonał się, że wszędzie, w każdym państwie i zakątku ziemi jest tak samo, tylko ludzie inaczej się ubierają i mówią innymi językami, że wszędzie rządzi jeden i ten sam cesarz nad cesarze: strach. Strach kieruje rozkazami carów, królów, maharadzów, szejków, chanów, banów, postępowaniem mieszczan i kmiotków. Ze strachu ludzie krzywdzili się i zabijali. Juliusz stwierdził, że jeśli przeliczyć wielkość strachu na liczbę ofiar, to ci, których bało się najwięcej ludzi, byli ogarnięci strachem największym.

## ELDORADO

Po kilku miesiącach, gdy wyspa przemieniła się w ruchliwy i zgiełkliwy plac budowy i ponad ziemię wyrosły fundamenty pieców, hal fabrycznych, magazynów, kiedy nad Kamionką stanął most z gazowymi latarniami, a chłopskie wozy z rudą żelaza ciągnęły drogą od Ranu jak niemający końca różaniec, do Natalina przyjechał generalny inspektor zaopatrzenia armii, książe Ernest. Towarzyszyło mu trzech generałów, kilkudziesięciu wyższych oficerów i dla ochrony stu żołnierzy na białych koniach z jego doborowego pułku huzarów.

Książe Ernest po dwugodzinnym pobycie w koszarach piechoty, gdzie w imieniu Jego Cesarsko-Królewskiej Mości Franciszka Józefa I naprędce odebrał przysięgę rekrutów, pojechał z oficerami pod Kozią Górę.

W tym czasie Hulka zdołał się wywiedzieć, jaki jest cel przyjazdu księcia Ernesta. Otóż ministerstwo wojny zamierzało wybudować w Natalinie jeden z szeregu fortów, które miały utworzyć linię obronną na północno-wschodniej rubieży monarchii, a książe Ernest chciał w tym forcie umieścić swoich huzarów. Hulka natychmiast zrozumiał, jak wielkie niebezpieczeństwo zagraża powstającym na wyspie zakładom. Sam zaraz po przyjeździe do Natalinka zauważył, że obszar wyspy i Koziej Góry doskonale nadają się pod budowę twierdzy warownej. Z tego miejsca, mając kilkanaście dalekosiężnych dział, można było panować nad całą okolicą, a nawet kontrolować teren po drugiej stronie Wisły. Istniała tylko jedna przeszkoda. Hulka w czasie budowy zakładów zorientował się, że pod wyspą jest dużo wody i jest ona za blisko powierzchni, żeby się dało wykopać głębokie doły pod fundamenty umocnień warownych. Hulka nic o wodzie nie mówił Marcinowi, mimo że czasami nachodziło go z wątplenie, czy kiedyś woda nie podejdzie wyżej i nie zagrozi zakładom. Postanowił jednak spotkać się z księciem Ernestem i powiadamiając o wodzie, odwieść go od zamiaru budowania fortu w Natalinie. Księciu Ernestowi był już raz przedstawiony we Wiedniu i książe, gdy zobaczył Hulkę, od razu go rozpoznał i ucieszył się, że będzie miał przy sobie tak dobrego doradcę do spraw budowli wojskowych.

Hulka, mówiąc dlaczego, odradził budować fort w tym miejscu. Książe posłuchał i jeszcze podziękował Hulce, że uchronił skarb Austrii od wyrzucenia pieniędzy w błoto.

Po trzech latach od dnia rozpoczęcia budowy dla Marcina pracowało ponad cztery tysiące ludzi. Natalin stał się Ziemią Obiecaną, drugą Ameryką dla bezrobotnych z całej Galicji. Do rozbudowy zakładów przyczynił się książe Ernest i sam hrabia Rolicki.

Książe nie zrezygnował z umieszczenia swoich huzarów w Natalinie, tylko już nie w forcie, ale w przebudowanych i powiększonych koszarach piechoty. Według teorii generalnego inspektora zaopatrzenia armii najprzydatniejsze do obrony granic były wojska konne i książe dążył do obsadzenia wszystkich nadgranicznych garnizonów huzarami i dragonami. Piechota, jego zdaniem, powinna znajdować się wewnątrz kraju, w sieci stałych umocnień, gdyż w polu nie potrafiła szybko uderzyć na nieprzyjaciela ani umknąć, kiedy przeciwnik naciera przeważającymi siłami.

Hulka przed wyjazdem do Suezu narysował dla księcia Ernesta projekt koszar, które poniekąd spełniały także rolę warowni. Można się było bronić w nich kilka dni. Księciu spodobał się projekt Hulki.

– Tak właśnie winno się budować dla wojska. Koszary to nie dom schadzek – powiedział, pokazując Hulce projekty koszar sporządzone przez inżynierów ze sztabu armii, gdzie były bramy zwieńczone posągami Ateny i dziedzińce z wodotryskami.

Koszary Hulki jawiły się zewnątrz jako prostokątna bryła z wysokimi na trzy piętra



murami bez okien. Wewnątrz znajdował się rozległy dziedziniec, a dokoła niego kwatery dla żołnierzy i oficerów, stajnie, magazyny, kuchnia. Nad dwiema bramami – jedna od strony miasta, druga od błonia nad Wisłą – wznosiły się wieże strażnicze. Od wież, po dachu, skryty przed oczami spoza koszar, biegł korytarz.

Dzięki wstawiennictwu Hulki Marcin Walichrad stał się głównym dostawcą materiałów budowlanych do rozbudowy koszar. Tak więc z placu przy cegielni szybko zniknęły stopy cegieł, pomiędzy którymi od lat mieszkwały myszy, jaszczurki i ptaki wily gniazda. Także pierwsze wyroby z zakładów na wyspie zostały przeznaczone dla koszar w Natalinie. Były to ciężkie kuloodporne bramy, łóżka, miski, wiadra, zamki i klamki, żelazne szafy i dziesiątki innych przedmiotów, wśród których znajdowały się i bączki do czaka z inicjałami cesarza Franciszka Józefa I.

Kiedy przebudowywano koszary, umarł hrabia Artur. Po jego śmierci Rolicki jako pierwszy w Kasztanii pojął, że oto pod ich nosem rodzi się wielkie bogactwo, bogactwo i wraz z nim nieodstępna władza, i że zrobiłby błąd nie przystępując do udziału w tym bogactwie. Sprzedał część ziemi i lasu i pokonując w sobie dumę przyjechał do Marcina, prosząc go o przyjęcie pożyczki na dalszą rozbudowę zakładów. W zamian chciał, aby Marcin wstawił się za nim u księcia Ernesta, by Rolicki mógł zostać jedynym dostawcą koni dla pułku huzarów.

Złoto zaczęło płynąć nieprzerwaną strugą do kufrów Marcina i do banków na jego nazwisko. Przy Walichradzie bogacił się także Natalin, w którym zamieszkali inżynierowie, majstrzy i robotnicy z zakładów na wyspie, a swoje biura założyli przyjezdni dostawcy, kupcy i pośrednicy.

Kamienice dokoła rynku rozbierano i budowano od nowa. Na kolorowych frontowych ścianach pojawiły się rzeźby lwów, krokodyli, słoni, aniołów i świętych, wśród których najwięcej było świętych Józefów i Antonich.

Zarabiali pieniądze biedujący dotychczas mieszkańcy Natalina i ci, którym bieda kazała przyjechać do tego miasta. Dla wszystkich starczyło pracy: dla szewców, krawców, waciarzy, mydlarzy, tkaczy, kaligrafów rodałów, rzeźników, dorożkarzy, flisaków, rybaków, kowali, złotników, białoskórników, przemysłowców, akuserek, stolarzy, fryzjerów, rzeźników, znachorów, lekarzy. Bardzo dobrze się mieli straganiarze, sprzedawcy dewocjonalii i relikwii świętych, księża, właściciele zakładów pogrzebowych. Więcej niż kiedykolwiek zarabiali sędziowie, policjanci, kopiści i rachmistrze, także redaktorzy „Głosu Ziemi Natalińskiej” i pisma satyrycznego „Kropka do Góry Nogami”. Podwórkowi poeci układali tylko wesołe wiersze i pieśni. Największe jednak dochody mieli szynkarze, którzy swoje zakłady trzymali cały dzień i noc otwarte, i właściciele domów publicznych.

W Natalinie trwało nieustannie huczne święto. Ale sprawca tego święta, Marcin Walichrad nie brał w nim udziału. Marcin nawet nie podejrzewał, że o jego zdrowie modlą się w kościołach i knajpach, wymawiając nazwisko Walichrad zaraz po Panu Bogu, a przed imieniem Jego Cesarsko-Królewskiej Mości.

Marcin cały czas rozbudowywał swoje zakłady. Po ukończeniu portu, do którego zawijały dwa parowce z węglem i drzewem, wybudował tory kolejowe do kopalni rud żelaza nad Ranem. Już nie musiał liczyć się z pieniędzmi. One go nie ograniczały. Od księcia Czartoryskiego chciał odkupić obrazy Juliusza, i nadto kupić kilka drogich płócien włoskich mistrzów, ale Juliusza już nie zajmowały obrazy. Marcin zastanawiał się także, w jaki sposób odwdziżyć się Hulce, który nauczył go nie bać się śmiałych i z pozoru szalonych przedsięwzięć. Tymczasem co pół roku wysyłał list do Suezu ze sprawozdaniem, jak się spisują urządzenia wymyślone przez Hulkę – na przykład tłok-maszyna do szybkiego wyrobu misek i łyżek. O tym, że nie otrzymuje odpowiedzi od Hulki, zapominał.

Korespondencję w imieniu Marcina prowadził Juliusz. On pierwszy otwierał listy, które przychodziły do Marcina ze wszystkich krajów Europy – od szaleńców, którzy prosili o

sfinansowanie budowy machin latających, od udzielnych książąt z propozycjami wykupienia części ich księstw, od kobiet, które pragnęły poślubić Marcina, i od setek innych ludzi domagających się protekcji i pieniędzy. Także co pół roku miał w ręku list Marcina odsyłany z Suezu z napisem na kopercie, że adresat nie żyje, a później, że adresat nieznan. Juliusz, nie mówiąc bratu o śmierci Hulki, domyślił się, że szczęście Hulki przeniosło się na Marcina.

W Natalinku zrobiło się pusto. Rzadko dochodziło do wspólnych rodzinnych obiadów. Maria, która prawie wcale nie wychodziła z domu, najczęściej obiad jadła sama albo w towarzystwie głuchej babki Joanny. Antoni studiował we Lwowie. Józef wyprowadził się z Natalinka. Marcin, który na wyspie miał drugą kucharkę, wychodził z Natalinka jeszcze przed śniadaniem i wracał późno w nocy. Ciotka Zuza i kuzyn Waclaw także nie mieli czasu, żeby siedzieć w domu.

Ciotka Zuza zajmowała się z początku dobroczynnością. Obdarowywała pieniędzmi ludzi, którzy przychodzili do kościoła w łachmanach. W czasie kiedy to ciotka Zuza robiła, z dnia na dzień przybywało do kościoła coraz więcej biedaków w tak poszarpanych ubraniach, że ledwie zakryte były wstydlive części ciała, aż ciotkę Zuzę naszło podejrzenie, iż ci biedacy nie są prawdziwymi biedakami. I odkryła, że niedaleko kościoła jeden z Żydów otworzył wypożyczalnię łachmanów znalezionych na śmietnikach; kilka grajcarów kosztowało wypożyczenie. Od tej chwili przestała dawać pieniądze, obmyślając, jak inaczej przysłużyć się ludziom. Nie odnawiała dawnych znajomości, choć teraz wszyscy sąsiedzi napraszali się z odwiedzinami, a najwięcej ci, którzy mieli córki na wydaniu. Teraz ona mogła pogardzać nimi i śmiać się, że jeśli ją najdzie ochota, to wszystkich w okolicy puści z torbami. To, że bali się, było jej zemstą za znoszone dawniej upokorzenia. Z kuzynem Waclawem przestała się kłócić. Widując się rzadko poprzestawali jedynie na porównywaniu swego życia przed zbudowaniem zakładów na wyspie z obecnym. Nowe życie przyniosło im przede wszystkim wolność snucia przeogromnych planów na przyszłość. Gdy raz ciotka Zuza powiedziała, że Marcin dlatego buduje coraz to coś nowego, gdyż pragnie zebrać tyle złota, aby mógł wykupić Galicję od Franciszka Józefa I, w głowie kuzyna Waclawa zrodził się podobny pomysł, tyle że dotyczący wykupienia Podola. Już mu dawny majątek nad Seretem nie wystarczał. Był w stanie wykupić go w każdej chwili, i to za pieniądze wygrane w karty, bo wreszcie i dla niego zabłysła pomyślna gwiazda. Dla Bractwa Szkaplerzowego, którego stał się prezesem, kupił dwupiętrową kamienicę w Natalinie. W kamienicy, na parterze, znajdował się ołtarz poświęcony Najświętszej Marii Pannie, na pierwszym piętrze stoły do gry w bilard i kości oraz ruletka. Na drugim były dwie sale do gry w karty. Kuzyn Waclaw grał tylko w karty. Ruletka nie pociągała go. Przy niej wszystko toczyło się tak szybko, że trudno w ogóle było mówić o jakiegokolwiek grze. Karty to walka myśli, oczu, całego ciała. Grając w karty można było wycofać się, poczekać, powiększyć stawkę, był czas na strach i na radość, na to wszystko, co dawało kuzynowi Waclawowi radość gry nawet w wypadku przegranej partii. Ale tylko jednej czy dwu partii, gdyż z kamienicy Bractwa kuzyn Waclaw zawsze wychodził z sakiewką pełną srebrnych i złotych monet albo ze złotymi zegarkami, spinkami czy aktami posiadłości ziemskich, zatwierdzonymi przez pracującego w Bractwie rejenta Szpaka.

Antoni w czasie wakacji, gdy przyjeżdżał ze Lwowa, szedł do kamienicy Bractwa, żeby obserwować graczy. Nic nieznaczące dla Antoniego figury i kombinacje kart dla ludzi siedzących przy stolikach z zielonym sukmem nabierały wartości życia i śmierci, jakby w rękach trzymali nie błyszczące karty, a jeszcze nieodkryte wyroki sądu Bożego. Najważniej obserwował tych, którzy przegrali wszystko. Byli niezwykle spokojni, tylko drżące dłonie schowane pod stołem albo obejmujące bezużyteczne karty zdradzały ich rozpacz. Ciała zrzuconych graczy znajdowano na pobliskiej ulicy, przy której mieścił się sklep z bronią. Antoni usiłując zrozumieć, w którym momencie gra w karty przeistacza się w coś innego, także nauczył się grać. Ale czy wygrywał, czy przegrywał, potrafił w każdej chwili odejść bez

żalu od stołu. Z początku myślał, iż to dlatego, że ma dużo pieniędzy, lecz przecież ci, którzy przychodzili do domu Bractwa, nie należeli do najbiedniejszych. W końcu wyczuł, że oni grają o co innego, a nawet nie tyle o, co przeciwko – przeciwko ślepemu losowi, pragnąc go zmusić do uległości.

## PENSJA CIOTKI ZUZY

Józef zamieszkał w Golejówku, leżącym w górę biegu Wisły, w pałacyku o ośmiu pokojach. Zajmował ostatni pokój. Aby się do niego dostać, trzeba było przejść przez pozostałe siedem, w których mieszkali Kozacy.

Józef od powstania we Lwowie, do którego przyłączył się zaraz na pierwszą wieść o nim, za towarzyszy wybrał sobie Kozaków. Ufał im bardziej niż swoim pobratymcom. We Lwowie był świadkiem zdrady: gdy dowódcy polscy rozpuścili do domów kilka tysięcy gwardzistów stojących na placach zbornych, głównodowodzący w Galicji generał baron Hammerstein rozkazał zbombardować miasto. Wtedy do bezbronnego Lwowa, nocą, w blasku płomieni dobywających się z ratusza, teatru i innych domów, wkroczył wiedeński pułk Deutschmeistera i kilkanaście rusińskich kompanii. Józef, zabijając dwóch rusińskich grenadierów, którzy łupili sklepy na Krakowskim Przedmieściu, umknął z miasta. Później znalazł się w Siedmiogrodzie, ale i stamtąd, po stłumionym powstaniu Węgrów, musiał się ratować ucieczką.

Po wielu latach nieobecności pojawił się w Natalinku z ośmioma Kozakami. Był w czarnym ubraniu i z tą samą szablą, którą dostał od Juliusza. Wyglądał staro, choć nie miał jeszcze trzydziestu lat. Przy pierwszym obiedzie, na którym zebrała się cała rodzina i kilku zaproszonych gości, Józef siedział w milczeniu. Co chwilę czujnie spoglądał na okna i drzwi, aż siedzący przy stole poczuli się tak, jakby groziło im jakieś niebezpieczeństwo. Marcin usiłował się dowiedzieć, gdzie Józef był i co robił przez ostatnie lata. Lecz usłyszał tylko: „Daleko byłem”.

Po kilku obiadach w Natalinku Marcin i Józef pokłócili się. Marcin usiłował przekonać brata, że kapitał nagromadzony w rękach Polaków stanowi wielką siłę, z którą będą musieli liczyć się zaborcy, gdyż za pieniądze można kupić przychyłność polityków, karabiny i najemne wojska, że powstanie, jeśli ma wywalczyć trwałą niepodległość, musi iść w parze z kapitałem, inaczej będzie to niepodległość na słowo honoru. Józef odrzucił te racje. Uważał, że Polskę można wyzwolić tylko w nieustannej walce, walce każdego dnia i nocy, bez czekania na powstanie, walce dotąd, dopóki nie zginie ostatni zaborca.

W tym czasie ciotka Zuza wpadła na pomysł, żeby założyć pensję dla dobrze urodzonych panien, które chciałyby się uczyć etykiety, śpiewu, tańca, gry na fortepianie i doskonalić język francuski. Proboszcz Orzechowski, powiernik ciotki Zuzy, pochwalił pomysł dodając, że w tym nieobyčajnym mieście, gdzie ludzie dla pieniędzy tracą dusze, a krzyż z umęczonym Chrystusem wisi nawet w domu publicznym, pensja może być wybawieniem dla mieszkańców Natalina pod warunkiem, że zapanuje w niej duch Boży. O jego obecność miał zadbać już sam Orzechowski, którego ciotka Zuza poprosiła, by został spowiednikiem młodych kobiet.

Zrodziły się jednak trudności z budową pensji, gdyż ciotka Zuza chciała, żeby stanęła ona jak najbliżej rynku, a tam był każdy wolny plac zabudowany. Musiała kupić, wiele

przeplacając, kilka domów pomiędzy rynkiem a koszarami. Dopiero na ich miejscu, po wyburzeniu, wyrósł jednopiętrowy pałac z weneckimi oknami, pomiędzy którymi pięły się półkolumny z czarnego marmuru.

Pułk księcia Ernesta, a w nim obecność oficerów pochodzących z dobrych domów monarchii, zapewniał sławę pensji ciotki Zuzy. Prędko pokazał się pierwszy tego dowód. Gdy „Głos Ziemi Natalińskiej” doniósł o rozpoczęciu budowy pensji, do redakcji „Głosu” nadeszło tyle listów z zapytaniami w tejże sprawie, że ciotka Zuza musiała zamieścić w gazecie ogłoszenie, że na wychowanie może przyjąć tylko te panny, których rodzice mogą się wykazać herbem do czwartego pokolenia.

Oficerowie austriaccy, dowiadując się o zamierzeniach ciotki Zuzy, przyszli do niej z kwiatami i pułkowym sztandarem. Po kilku dniach założyli honorowy komitet budowy, czyniąc także starania, żeby ministerstwo wojny uznało ją za obiekt o znaczeniu strategicznym i pokryło koszty budowy. Ale u ministra wojny nie znaleźli zrozumienia. Wręcz przeciwnie. Minister wysłał do pułku księcia Ernesta komisję złożoną z oficerów o dużym autorytecie moralnym, aby zbadali, czy nie została poszargana świętość sztandaru, który został poświęcony przez samego Najjaśniejszego Pana. Komisja po miesiącu badań ustaliła, że ciotka Zuza jest kobietą, przed którą, wyjątkowo, można pochylić sztandar bez uwłaczania jego czci.

Właściciele domów publicznych byli niezadowoleni z budowy pensji. Obawiali się, że ich zarobki, pochodzące w dużej części z kieszeni oficerów, ulegną gwałtownemu pomniejszeniu. Tylko Burger, właściciel restauracji i najlepszego domu publicznego w mieście, śmiał się z tych obaw twierdząc, że im więcej jest pięknych i cnotliwych kobiet, tym lepiej się interes rozwija.

Otwarcie stacji ciotki Zuzy przemieniło się w wielką uroczystość. Gdy trzydzieści sześć dziewcząt, wszystkie ze świadectwami dobrego urodzenia potwierdzonymi przez Aktenprobenexaminatora, szło na pierwszą wspólną mszę do kościoła księdza Orzechowskiego, na rynku odbyła się defilada huzarów. Kościół zappełnił się rodzicami pańien i zaproszonymi gośćmi, wśród których był biskup z Sandomierza, starosta Natalina, prezes Bractwa Szkaplerzowego, prezes Banku Przemysłowego, hrabia Adam Potemkowski i Rolicki z żoną, dwóch kapitanów jako przedstawiciele pułku huzarów i wszyscy co znaczniejsi obywatele Natalina, oprócz Marcina Walichrada, który nie brał udziału w żadnych uroczystościach. Zaś pod kościołem stawili się redaktorzy gazet z Natalina, Lwowa i Krakowa, właściciele sklepów z sukniami i materiałami, butami, złotnicy, kapelusznicy, którzy już obliczali zyski, jakie im przyniosą młode panny. Przyszedł także Burger ze swoimi kobietami, które koniecznie chciały zobaczyć dziewczęta ciotki Zuzy.

Lecz oficerowie Jego Cesarsko-Królewskiej Mości zostali zaproszeni na pensję dopiero po trzech miesiącach od uroczystości kościelnych. Przyszli wszyscy, którzy tylko nie mieli służby w tym czasie. Dziewczęta ubrane były w białe, jednakowego kroju suknie. Dekolty osłaniały indyjskimi szalami.

W rękach trzymały wachlarze, na których wypisane były podstawowe zasady dobrego wychowania. Z początku oficerowie mieli trudności z rozróżnianiem kobiet. Porucznik Statter jednej i tej samej pannie raz powiedział, że jest kawalerem, a drugi raz, że wdowcem. Dopiero przed północą oficerowie zaczęli rozpoznawać panny po pieprzykach, zapudrowanych wągrach, kolorach oczu i uczesaniach, ale wtedy ciotka Zuza ogłosiła koniec przyjęcia. Oficerowie, klnąc i obiecując sobie, że przy najbliższej sposobności wystrzelą z działa do ciotki Zuzy, z pensji poszli prosto do Burgera i innych domów publicznych.

Jak Burger przewidział, z chwilą otwarcia pensji interes szedł jeszcze lepiej. Tylko że teraz oficerowie, zwłaszcza młodzi, nie zachowywali się tak spokojnie jak uprzednio. Nie dbając o żadne pozory wlekli kobiety do łóżek z takimi wyrazami twarzy, jakby to, co zamierzali zrobić, było im obmierzłe i nienawistne.

Burger prędko się zorientował, że pensja ciotki Zuzy jest najdroższym burdelem świata, gdyż tam płaci się ślubem. Zabawy i herbatki odbywały się w towarzystwie nauczycielek i pod okiem ciotki Zuzy, która dostrzegała każdy niepożądany ruch ręki i nazbyt płomienne spojrzenie. Gdy któryś z poruczników zachowywał się zuchwale, dotykając ramienia panny albo wywołując na jej twarzy wstydlivy rumieniec, ciotka Zuza odprowadzała go na korytarz i prosiła, żeby przez dwa lub trzy tygodnie nie przychodził na pensję. Wtedy tak ukarany oficer świecił przykładem w koszarach, prowadząc ćwiczenia z żołnierzami nawet poza swoją służbą. Zamęczał żołnierzy, aż pułkownik Heissier, zaniepokojony raportami lekarza, który już kilku rekrutów odesłał do domów z nabytymi podczas ćwiczeń kalektwami, zabronił oficerom pracować poza godzinami swojej służby.

Co kilka miesięcy jeden z młodych poruczników żenił się z panną z pensji i przestawał przychodzić do Burgera. Ale najwyżej pół roku go nie było. Potem wracał z onieśmioną twarzą jak gimnazjalista, który po raz pierwszy zawitał do domu publicznego. Burger witał tych oficerów z radością niby synów marnotrawnych i pierwszego dnia stawiał im szampana na koszt firmy.

Któregoś dnia do domu Burgera przyjechał Józef z Kozakami. Wówczas już wiele rozprawiano o Józefie. Jedni uważali go za bandytę i zwyrodniałego brata Marcina Walichrada. Drudzy, którzy wiedzieli o jego udziale w powstaniu lwowskim i węgierskim, myśleli o nim jako o przyszłym wodzu powstania polskiego. Ale jedni i drudzy bali się Józefa. Przestraszył się także Burger, gdy Józef zażądał od niego, aby w czwartki dom publiczny był zamknięty dla wszystkich oprócz Józefa i jego Kozaków. Burger nie wiedział, co począć. Oficerowie Jego Cesarsko-Królewskiej Mości mogli się poczuć dotknięci na honorze, że zabrania im się wstępu do burdelu. Od kłopotów wybawił Burgera dowódca koszar. Pułkownik Heissier zezwolił na jeden dzień w tygodniu zamknąć dom publiczny przed oficerami. Nawet był z tego zadowolony, gdyż już od pewnego czasu widział, że oficerowie nie siedzą na koniach prosto jak dawniej, że niezbyt chętnie biorą udział w ćwiczeniach i że w ogóle z pułku robi się babskie wojsko. Pomyślał, że jeden dzień przerwy w spotkaniach z kobietami dobrze im zrobi, i w czwartki zakazał wychodzić z koszar.

Rzeczywiście, w ciągu paru tygodni od wydania tego zakazu podniosła się wartość bojowa pułku. Czwartek stał się czarnym dniem dla szeregowych żołnierzy. Mnożyły się dodatkowe i karne ćwiczenia, próbne alarmy, przeglądy mundurów, broni i koni, ordynansi chodzili z opuchniętymi od bicia gębami, a pomiędzy oficerami często dochodziło do pojedynków.

Zamykając dom w czwartek Burger nic nie stracił na zarobkach. Józef złotem płacił za wódkę, za wybite szyby, potrzaskane lustra i meble. Tylko nie podobało się Burgerowi, że do szacownego i spokojnego burdelu Kozacy wnieśli nieobyczajne zachowanie. Wszystko odbywało się na podłodze i kanapach salonu. Kozacy wchodzili na kobiety jak na konie, w ubraniach i z bronią. Co jakiś czas strzelali na wiwat. Dwóch z nich, Pohrom i Gałka, po pijanemu zabawiali się celowaniem do Burgera. Burger zauważył, że ci nieobliczalni w zachowaniu Kozacy, którzy już samą swoją obecnością wzbudzali lęk, bali się Józefa Walichrada. W czasie jednego z pierwszych czwartków Pop i Ataman pokłócili się, który z nich ma wziąć Karolinę, najpiękniejszą z kobiet Burgera. Wystarczyło jedno słowo Józefa: „Zostawcie”, i Kozacy natychmiast zapomnieli, że ta czarna, smutna kobieta istnieje. Po wyrazie twarzy Józefa, kiedy patrzył na nią, zrozumieli, że ona należy do niego. Józef nie brał czynnego udziału w czwartkowych pijatykach. Zazwyczaj siedział z obojętną twarzą przy okrągłym stole pod podziurawionym kulami zegarem z kukułką. Zawsze twarzą zwrócony do drzwi. Czasami z nabijanej srebrną pochwy wyjmował damascenkę i opierał ją na kolanie.

Na cichy i czysty dźwięk, jaki rozlegał się przy wyjmowaniu szabli, Kozacy nieruchomieli i wyczekująco spoglądali na Józefa. Robiło się groźnie, cicho. Nie odczytując żadnego rozkazu z jego twarzy, przenosili lękliwe spojrzenia na damascenkę, która w światłach i cieniach salonu pulsowała jak żywe drapieżne zwierzę. Klinga-zwierzę szybko łagodniała,

jakby zapadając w sen, ale w salonie jeszcze przez chwilę pozostawał nastrój budzący strach.

## EMISARIUSZ

Do Natalina przyjechał tabor Cyganów. Stanęli ze swoimi czterema wozami przy południowym murze miasta, za którym płynęła Kamionka, niedaleko wysypiska śmieci i bud zbitych z desek, blachy i tektury, stawianych przez dezertów, przestępców, tych wszystkich, co nigdzie nie zostawali dłużej. Do tej nowej dzielnicy Natalina, zwanej Kamionką, policjanci nie zapuszczali się w pojedynkę.

Cyganie, którzy zjawili się w Natalinie, nie byli zwykłymi Cyganami. Nie zajmowali się bieleniem kotłów ani handlowaniem końmi. Przyjechała z nimi tylko jedna kobieta: Angela. O Angeli pisało w książkach sprzedawanych na jarmarkach, że z kart poświęconych w klasztorze jasnogórskim bezbłędnie odczytuje przeszłość i przyszłość. Wieść o przyjeździe Angeli w jednej godzinie obiegała całe miasto. Do Kamionki zaczęły napływać procesje ludzi, którzy chcieli się dowiedzieć, na jakie nieszczęścia mają się przygotować. Oprócz nich przychodzili także ci, którzy nie wierząc we wróżby, pragnęli tylko zobaczyć Angelę.

Angela, siedząc w pozłacanym fotelu, miała opuszczony na twarz czerwony welon. Tych, których nachodziły myśli, żeby podnieść welon, mroziły spojrzenia dwóch Cyganów stojących za fotelem. Jako jeden z pierwszych zjawiał się u Angeli Malitzer, sekretarz starosty. Malitzer od lat poszukiwał Emisariusza, który, jak głosiły tajne raporty, miał z polecenia księcia Adama Jerzego Czartoryskiego, przebywającego na emigracji w Paryżu, przygotować Galicję do powstania zbrojnego przeciwko Austrii. Malitzera kusiała wielka nagroda wyznaczona za pochwycenie żywego albo martwego Emisariusza.

Emisariusz napadał i zabijał żołnierzy austriackich i Polaków nazbyt gorliwych w służbie Jego Cesarskiej Mości. Dawał o sobie znać w różnych stronach Galicji, na przemian pod Lwowem i Przemyślem, w okolicy Natalina i Krakowa. Był nieuchwytny. Z początku funkcjonariusze policji myśleli, że w Galicji działa więcej emisariuszy Czartoryskiego, ale po kilku napadach doszli do wniosku, iż jest to jedna i ta sama osoba. Rozpoznawano ją po cięciu szablą: mocne, odcinające głowę od tułowia albo głębokie w brzuch, w wyniku czego powstawała rana, której żaden chirurg nie potrafił zeszyć.

W większych miastach Galicji tworzone sztaby wojska i policji, których jedynym zadaniem było ujęcie Emisariusza. W Natalinie, gdzie ostatnio uśmiercił on dwóch żołnierzy patrolujących granicę wzdłuż Wisły, starosta wiedząc o powiązaniach Malitzera z przemytnikami, którzy znali najbardziej skryte ścieżki, jego wyznaczył do kierowania takim sztabem.

Lecz tym razem Malitzer nie mógł się niczego dowiedzieć od przemytników. Nie chcieli rozmawiać o Emisariuszu, a niektórzy z nich dowiadując się, że Malitzer tropi go, w ogóle przestali z nim współpracować. Tymczasem z Wiednia nadchodziły coraz niecierpliwsze żądania, aby ukrócić działalność Emisariusza, gdyż plotki na jego temat przybrały niebezpieczne rozmiary. Mówiono, donosili szpicle, że stoi na czele tysięcosobowego oddziału.

Malitzer wykorzystując każdą sposobność, żeby tylko trafić na ślad Emisariusza, przyjechał z policjantami także do Angeli. Miał nadzieję, że Cyganie napotkali go w swoich wędrówkach. Pragnął zdobyć chociażby wiarygodny rysopis. Gdy zwrócił się do Angeli z

pytaniem, czy widziała Emisariusza, Angela kazała mu przełożyć talię kart.

– Angela, nie ze mną te sztuczki – ze śmiechem odpowiedział Malitzer.

– Przełoż – poprosiła Angela.

– Jak chcesz – zgodził się Malitzer – byłeś mi tylko powiedziała o Emisariuszu.

Angela przetasowała karty i kilka z nich położyła na stojącym przed nią taborecie. Chwilę przyglądała się kartom z zastanowieniem, po czym rzekła zdecydowanym tonem:

– Nie pytaj o niego.

– Dlaczego?

– Nie pytaj.

– Słuchaj, Cyganicho – rozłościł się Malitzer – ja jestem tutaj, żeby pytać, ty, żeby odpowiadać. Zrozumiano? Więc odpowiadaj. Kiedy widziałeś Emisariusza i gdzie. Szybciej! – ponaglił.

Angela podniosła z taboretu waleta pikowego.

– To on – powiedziała, podsuwając kartę blisko oczu Malitzera.

– Dobra. Dalej.

– Ten, którego szukasz, zabije cię jutro o zachodzie słońca.

Malitzer i stojący obok policjanci roześmiali się.

– Nie strasz mnie. Bo co będzie, gdy jutro wieczorem przyjdę do ciebie zdrów i cały?

– Nie przyjdiesz – Angela przecząco potrząsnęła głową.

– I całe miasto dowie się, jak kłamliwie przepowiadasz – Malitzer spojrział na stojący za nim tłum ludzi, którzy w kolejce czekali na dostęp do Angeli. – Bo ja już się o to postaram – dodał Malitzer z groźbą. – Każę o tobie napisać na pierwszej stronie gazety.

– Jutro wieczorem twoje usta będą milczeć – spokojnie odrzekła Angela.

– W takim razie – powiedział Malitzer z namysłem – bądź gotowa do jutrzejszego spotkania ze mną. Albo mi powiesz o Emisariuszu, albo twoją dzisiejszą przepowiednię wydrukują gazety. Uciekać nie radzę, policjanci będą was pilnować.

Nazajutrz Malitzer został zabity niedaleko przeprawy przez Wisłę. Po kilku godzinach poszukiwań policjanci znaleźli ciało sekretarza starosty w wiklinie, blisko rzeki. Głowa, równo odcięta, leżała pół metra od tułowia. W otwartych ustach i oczach siedziały muchy. Zmarszczki na twarzy Malitzera zastygły w wyrazie zdumienia – zdumienia, które najlepiej rozumieli policjanci będący z Malitzerem u Angeli.

Komendant policji, nie wierząc w żadne nadprzyrodzone zdolności Angeli, kazał aresztować Cyganów. Po tym, co się stało, był przekonany o powiązaniach Cyganów z Emisariuszem. Jednak Cyganie, myląc czujność policjantów, uciekli z Natalina. Angełę ostatni raz widziano, jak wchodziła na pensję ciotki Zuzy, która zaprosiła Cyganek, aby przepowiedziała młodym kobietom, kiedy wyjdą za mąż.

Angela przed ciotką Zuzą wywróżyła z kart, że nauczyciel tańca, jedyny mężczyzna zatrudniony w pensjonacie, wprowadził za jej plecami dodatkowy przedmiot nauki: ars amandi, i że nauczał tej sztuki opierając się na rysunkach z książki Watsjajany Mallanagi, w swoim pokoju służbowym, który przylegał do sali balowej. Ciotka Zuza, przeszukując pokój, odnalazła księgę z występnyymi rysunkami w okładce „Symfonii Jowiszowej” Mozarta. Tego samego dnia wyrzuciła z pracy nauczyciela tańca. Nadto ciotka Zuza dowiedziała się od Angeli czegoś o wiele gorszego.

– Jest mężczyzna w twojej rodzinie – powiedziała Angela, patrząc na rozłożone karty – który umrze w trzydziestym ósmym roku życia. Mając tyle samo lat umrze jego dziecko i dziecko jego dziecka, i każde następne dziecko wywodzące się w prostej linii od tego mężczyzny.

– Od którego? – z przestachem zapytała ciotka Zuza.

– Tego karty nie powiedziały.

Ciotka Zuza przestraszyła się, że przepowiednia dotyczy Marcina, ale zaraz uzmysłowiła

sobie, że Marcin już dawno skończył trzydzieści osiem lat. Więc przepowiednia mogła się odnosić do trzydziestosiedmioletniego Józefa i młodszego o dwa lata Antoniego, który po studiach pozostał na stałe we Lwowie i wykładał na Uniwersytecie Jana Kazimierza.

Ciotka Zuza tylko Juliuszowi powtórzyła przepowiednię Angeli. Juliusz nie był zaskoczony i ciotkę Zuzę naszło podejrzenie, że wie, do kogo odnosi się przepowiednia. Juliusz wiedział, jednak nie mógł zdradzić, że skazanym na śmierć jest Józef, gdyż wtedy musiałby wyjawić, że Józef jest Emisariuszem poszukiwanym przez policję i żandarmerię całej Galicji.

Pierwsze podejrzenia co do tego naszły Juliusza podczas rozmowy z Ormianinem, wędrownym sprzedawcą broni. Dowiedział się od niego, że w Konstantynopolu został skazany na śmierć płatnerz, ten sam płatnerz, u którego Juliusz kupił damascenkę dla brata. Płatnerza oskarżono, że wyrabia szable do spółki z Szatanem, przez co właściciel takiej szabli stawał się jej poddanym i chciał czy nie, musiał zabijać. Wówczas Juliusz skojarzył, że Józef od chwili otrzymania damascenki bardzo się zmienił. Zaczął wyruszać na dalekie konne wyprawy i bez namysłu przyłączał się do każdego zbrojnego powstania. Wracał z nich coraz bardziej małowówny i ponury.

Odkąd Józef zamieszkał w Golejówku, Juliusz szukał sposobu, żeby porozmawiać z bratem o damascence. Lecz nie miał jak. Na listy z prośbą o rozmowę Józef nie odpowiadał. Gdy zaś Juliusz przyjeżdżał do Golejówka, Kozacy nieodmiennie mówili, że pana nie ma w domu.

Wreszcie jednego czwartku Juliusz postanowił pójść do Burgera. Wiedział, jak wszyscy w okolicy, że w czwartki jest tam Józef z Kozakami. I właśnie tego dnia upewnił się, że prawdą jest, co mówił Ormianin o płatnerzu z Konstantynopola.

Wchodząc do domu Burgera przez drzwi od podwórza, gdzie stały konie Józefa i Kozaków, trafił na rozmowę pomiędzy Józefem a Burgerem.

– Zabieram ją – mówił Józef do Burgera, wskazując na stojącą przy stole Karolinę.

Burger odrzekł ze zdziwieniem:

– Może pan tutaj, na miejscu, robić z nią, co tylko dusza zapagnie. Po co jechać gdzie indziej?

– Zabieram ją na zawsze.

– Po co ona panu? – Burger był zaskoczony.

– Zostanie moją żoną – powiedział Józef.

– Tak nie można, ja się na to nie godzę, ja...

– Nie pytam o twoją zgodę – Józef pogardliwie spojrzał na Burgera – tylko o cenę.

– Panie, Karolina jest najładniejszą kobietą u mnie – Burger, chcąc podkreślić ważność tego, co mówi, dotknął ramienia Józefa.

Józef, gdy tylko poczuł dotknięcie Burgera, odskoczył do tyłu z damascenką w ręce. Stojący w drzwiach Juliusz nawet nie dostrzegł momentu wyjmowania szabli z pochwy. Ostrze damascenki, wykierowane w brzuch Burgera, jaśniało jak rozpalone do białości żelazo. Na twarzy Józefa widać było wielki wysiłek, jakby nie mógł udźwignąć szabli. Burger, spotniały ze strachu, patrzył na rozpaloną klingę. Wówczas odezwał się Ataman:

– Panie, daj mi szablę do wyczyszczenia.

– Weź – z trudnością wymówił Józef i podał damascenkę Atamanowi, który zaraz wyszedł z szablą na podwórze.

Juliusz widział przez okno, jak Ataman w pośpiechu wsiada na konia i galopem odjeżdża. Po chwili wyszedł od Burgera Józef z Karoliną i pozostali Kozacy.

Tego samego dnia, w Golejówku, Pop, przewany tak, ponieważ w młodości sposobił się do stanu duchownego, udzielił ślubu Józefowi i Karolinie, a Kozacy przysięgli posłuszeństwo żonie Józefa. Będziemy cię, pani, strzegli jak własnych koni, powiedział Ataman. Po ślubie Józef stał się jeszcze bardziej nieufny i podejrzliwy. Zwolnił kucharza i dwóch stajennych,



jedyną służbę w Golejówku. Pałacyk ogrodził wysokim murem, za którym biegały trzy udomowione wilki. Iwan przywiózł je z lasu jako paromiesięczne szczeniaki, zagłodzone; nie wiadomo, jak długo warowały przy padłej od kuli waderze. Wilki ślepo słuchały tylko Iwana. Z innymi Kozakami toczyły niustanną wojnę o mięso z ogniska.

Na początku zimy, gdy Karolina była w ósmym miesiącu ciąży, przez furtkę wjechał jeździec na czarnym od potu koniu. Nim wilki dopadły konia, jeździec już zeskakiwał na schody pałacyku i mówił hasło Gałce.

W nocy mężczyzna odjechał, a w południe następnego dnia, gdy Wisłą płynęły galary z węglem do zakładów na wyspie, z Golejówka wyjechały trzy ciężkie wozy odaszone nieprzemakalnym płótnem. Na wozach, pod workami z cukrem i solą, ukryte były karabiny. Józef i Kozacy siedzieli na wozach przebrani za kupców i woźniców.

W Golejówku pozostała Karolina i Iwan, któremu Józef, wręczając list do Marcina, nakazał, aby w razie niebezpieczeństwa odwiózł Karolinę do Natalinka.

Józef i Kozacy pojechali do starej odnogi Wisły, gdzie czekali na nich piaskarze z barkami. Piaskarze już niejedną raz przewozili Józefa do Królestwa i z powrotem. O nic nie pytając zaczęli, aż Kozacy załadują wozy na barki, i odpłynęli od brzegu. Wylądowali jak zawsze na upatrzonej na drugim brzegu kamienistej plaży, osłoniętej gęstą wikliną.

Gdy na kupieckich wozach wjechali na drogę prowadzącą do Kopytnicy, pierwszej wsi za Wisłą, z zarośli po obu stronach drogi wyjechała setka Moskali.

Z zasadzki uszedł tylko Pop, Ataman i Gałka, usiłując odciąć konie od dyszla, pierwsi padli od kul. Józef z resztą Kozaków wbiegł w wiklinę i przedostał się do Wisły. Chciał przebyć ją wpław, ale na drugim brzegu stali Austriacy. Tymczasem Moskale, okrążywszy Józefa i Kozaków, podchodzili powoli i na oślep strzelali w zarośla. Bali się walki na szable z Emisariuszem.

Ciało trafionego w głowę Józefa porwał prąd Wisły. Pop, który widział, jak kula dosięgła Józefa, przekradł się do bagna i tam, oddychając przez trzcinę, kilka godzin przeleżał na dnie, skryty całkowicie przed światłem dnia.

O zmierzchu wyszedł z bagna i przepłynął Wisłę. Gdy utyłany w błocie stanął przed Karoliną i Iwanem, ci od razu wszystkiego domyślili się. Karolina zemdlona upadła na podłogę. Na wpół przytomną odwieźli ją do Natalinka i list oddali Marii, gdyż poza nią i Kubą nikogo więcej nie było w domu. Marcin, ciotka Zuza i umyślnie zaproszony Antoni pojechali do Wiednia na uroczystość nadania Marcinowi tytułu barona i odznaczenia go Orderem Świętego Szczepana za zasługi dla rozwoju przemysłu w monarchii. Ciotka Zuza miała przy okazji zostać mianowana damą Krzyża Gwiazdzystego, jako że nie szczędziła sił ani środków dla obrony moralności.

## SPOTKANIE Z CESARZEM

Walichradowie pojechali do Wiednia linią kolejową arcyksięcia Karola Ludwika – przez Morawy. Po drodze, zatrzymując się w Brnie, postanowili obejrzeć dawne więzienie na Spielbergu. Ale na szczycie góry, już przy bramie zamku-więzienia, podszedł do nich mężczyzna w jasnym kapeluszu i pokazując legitymację policyjną powiedział unізonym tonem, że Jego Cesarskiej Mości być może nie spodobałoby się, gdyby Walichradowie, przed audiencją u niego, zwiedzali to miejsce – policjant ze wzgardliwą miną pokazał na zamek.

Ciotka Zuza w obawie, że może nie zostać damą Krzyża Gwiazdzystego, gorliwie potwierdziła, iż byłby to rzeczywiście duży nietakt, i kazała zawrócić do Brna. Marcin, znużony beczynnością podczas jazdy i rozgniewany, że jest śledzony jak przestępca, już nie dał się namówić na zwiedzanie Ołomuńca, mimo że wcześniej ciekaw był mechanizmu piętnastowiecznego zegara na ratuszu w tym miasteczku. Jedziemy prosto do Wiednia, rzekł ze złością, zabieramy te ordery i zaraz wracamy.

Ciotka Zuza miała inne plany. Dotyczyły one osobiście Marcina. Wiedziała, że nagle spływająca na Walichradów łaska cesarza i dworu jest wynikiem wynalazku Marcina, który sobie tylko znanym sposobem wytopił takie lufy armatnie, że nie rozgrzewały się nawet po całodziennym strzelaniu, ponadto były dwa razy lżejsze od znajdujących się w użyciu armii austriackiej. Postanowiła więc wykorzystać tę sposobność i ożenić Marcina z kobietą pochodzącą z domu, który jest bliski Habsburgom.

Marcin i ciotka Zuza zostali odznaczeni w Hofburgu, tuż przed rozpoczęciem balu, na który zaproszona była generalicja i z uwagi na Marcina, właściciele hut i kopalń. Cesarz Franciszek Józef I i cesarzowa Elżbieta zjawili się tylko na kilka minut. Tyle co przypiąć ordery. Cesarz był w mundurze marszałka polnego, z Orderem Złotego Runa na piersi, i ciotce Zuzie wydał się taki wysoki, aż ogarnął ją strach, że Jego Cesarska Mość będzie musiał uklęknąć, żeby przypiąć Krzyż Gwiazdzysty. Lecz cesarz udekorował tylko Marcina. Ciotce Zuzie Krzyż Gwiazdzysty przypięła cesarzowa. Franciszek Józef zapytał Marcina, czy ma jakieś życzenie. Gdy Marcin odrzekł, że nie, Franciszek Józef podał ramię cesarzowej i oboje wyszli z sali.

Zaraz po wyjściu pary cesarskiej orkiestra zagrała „Walca cesarskiego” Straussa i w jednej chwili wszyscy zapomnieli o dopiero co obecnym tutaj władcy połowy Europy i o tym, że Marcin i ciotka Zuza dostąpili zaszczytu spotkania z nim. Na głos skrzypiec, które z początku dobiegały jakby z odległych komnat Hofburga, nieruchomo stojący mężczyźni odzyskali władzę w członkach, ich surowe twarze przyoblekły uśmiechy, a piersi kobiet w głębokich dekoltach zaczęły coraz niespokojniej pulsować. W kilka minut sala balowa zapełniła się kolorowymi mundurami oficerów i sukniami kobiet. Światła rozmnożyły się na epoletach, guzikach, szamerunkach, naszyjnikach, pierścieniach i w błyszczących oczach. Marcin, ciotka Zuza i Antoni pozostali sami pośród muzyki i wirujących par. Oszołomionemu Antoniemu wydawało się, że w tej chwili walc rozbrzmiewa na całej ziemi, we wszystkich pałacach i domach, że zewsząd słychać tylko skrzypienie butów i miękki szelest sukien. Zaś ciotka Zuza, pociągając Antoniego pod ścianę, ze wstydem pomyślała, że ona, która na pensji w Natalinie uczy, jak w najlepszych salonach nie uchodzić za nieokrzesaną prowincjuszkę, nie umie tańczyć walca.

Po chwili Marcin został poproszony do gabinetu na rozmowy z fabrykantami, a ciotka Zuza, siedząc obok Antoniego, przez trzy godziny wysłuchiwała walców. Nikt do niej nie podszedł, nie złożył gratulacji. Pomyślała, iż to dlatego, że grają te walce, które zmuszają do tańca. Nie wierzyła Antoniemu, gdy powiedział, że stali się niewidzialni, bo są Polakami. Po trzech godzinach ciotka Zuza uzmysłowiła sobie, że jest najstarszą kobietą na sali, że ma głębokie zmarszczki pod oczami i siwe włosy, w dodatku upięte w niemodny kok. Wtedy poczuła się jak przyłapaną na nieobyczajnym zachowaniu i zaraz, nie czekając na Marcina, wyszła z sali balowej.

## KAROLINA

Gdy ciotka Zuza, pogniwana na Wiedeń i na Marcina, który w ogóle nie chciał słyszeć o małżeństwie z Austriaczką, choćby była z najlepszego domu, wróciła po dwóch tygodniach do Natalinka, w łóżku babki Joanny, która zmarła przed rokiem, zastała chorą Karolinę.

Ledwie przeczytała list-testament Józefa, który wszystko co mu się należy zapisał swej żonie Karolinie, zaczęła rozpaczać, że do rodziny dopiero co wyróżnionej przez cesarza wchodzi nierządnicą. Marcinowi było to obojętne. No, skoro to żona Józefa... wzruszył ramionami i poszedł do zakładów. Także Juliusz przeszedł do porządku dziennego nad obecnością Karoliny w Natalinku. To sprawa Józefa, powiedział, myślami już będąc w domupustelni, który wybudował w głębi lasu.

Gdyby nie obawa, że Józef może wrócić, ciotka Zuza od razu wygnałaby Karolinę z domu. Kuba, który z piaskarzami przez kilka dni przeszukiwał brzegi Wisły, nie odnalazł ciała Józefa i nikt nie miał pewności, że on nie żyje. Polacy z Galicji nie wierzyli oficjalnym raportom policyjnym, donoszącym, że Emisariusz zginął w czasie nielegalnego przekraczania granicy.

W takiej sytuacji ciotka Zuza postanowiła tak utrudniać życie Karolinie, żeby ona sama zapragnęła wyjechać z Natalinka. Ciotka truchlała na myśl, co powiedzą ludzie, gdy dowiedzą się, że dama Krzyża Gwiazdzonego mieszka pod jednym dachem z kobietą najmowaną do płatnych miłości w domu Burgera. Bała się ponadto, że u rodziców jej pensjonariuszek zrodzą się wątpliwości, czy aby ich córki są w dobrych rękach. Już i tak krążyło wiele plotek o nauczycielu tańca, który cichaczem wyniósł się z Natalina.

Maria w czasie choroby Karoliny, gdy były same w Natalinku, przywiązała się do jego nowej mieszkanki. Przez tydzień prawie nie odchodziła od łóżka Karoliny. Często dotykała gładkiej i napiętej skóry na jej brzuchu, wyczuwając ruchy dziecka. Przyzwyczała się do myśli o dziecku, tak że ono już biegało po pokojach Natalinka, śmiało się i nade wszystko, w wyobraźni Marii, potrzebowało jej opieki. Więc gdy Maria domyśliła się, co ciotka Zuza zamierza względem Karoliny, doznała uczucia, jakby jej usiłowano odebrać siostrę, siostrę i dziecko. Dotąd Maria opiekowała się jedynie trzema królami z obrazu przywiezionego przez Juliusza. Dbała, żeby nie byli zakurzeni, często zmieniała im ramy na złote, srebrne i z hebanu, wystawiała króli na przemian to do słońca, to w najgłębszy mrok pokoju, odnajdując przy tym w twarzy swojego umiłowanego Kacpra coraz to nowe uczucia. Przy Karolinie i dziecku, które w niepojęty sposób żyło w brzuchu, zapomniała o Melchiorze, Baltazarze i Kacprze. W kilka dni przemienili się w martwe postacie z malowidła.

Ciotka Zuza, zaniedbując pracę wychowawczą na pensji, bez przerwy szukała sposobu na pozbycie się Karoliny z Natalinka. Jednego dnia naszło ją z wątplenie, czy Józef i Karolina rzeczywiście wzięli ślub. Postanowiła to sprawdzić. Pod pozorem, że zamierza założyć ochronkę dla nieślubnych dzieci, objechała wszystkie okoliczne kościoły, żeby w księgach parafialnych wyszukać dzieci bez ojców. Znalazła: Józef i Karolina nie byli zapisani w żadnym kościele. Natychmiast po przyjeździe poszła z tą wiadomością do Marii, która znajdowała się w pokoju Karoliny.

– Mario, ona nie ma ślubu z Józefem – obwieściła triumfująco.

Maria, zajęta układaniem koszulek dla dziecka, nie od razu zrozumiała, co mówi ciotka Zuza. Dopiero po chwili gwałtownie wyprostowała się i zapytała z przestraszeniem:

– Kto nie ma ślubu?

– Ona – ciotka Zuza pokazała na leżącą na łóżku Karolinę.

– A dziecko?

– Dziecko zawsze można mieć, a już takie jak ona... – ciotka Zuza pogardliwie wydeła wargi.

– Co ciocia mówi! – niczego nie rozumiejąc krzyknęła Maria.

– Moja Mario, ty nic nie wiesz. Ona u Burgera sprzedawała swoje ciało za pieniądze.

– Sprzedawała... – Maria pobladła.

– Jest ladacznicą – dodała ciotka Zuza.

– To prawda, Mario – zdławionym głosem odezwała się Karolina – byłam ladacznicą.

– Jak Maria Magdalena – Maria nagle zrozumiała i rozpromieniła się.

– Nie wygaduj głupstw.

– Tak, tak, jak Maria Magdalena, opowiadał ksiądz Orzechowski. I sama czytałam – szybko mówiła Maria – że Pan Jezus wygnał siedem diabłów z Marii Magdaleny.

– Ręczę, Mario – surowym tonem rzekła ciotka Zuza – że w niej siedzą wszystkie diabły.

Maria, mnąc w dłoni koszulkę dla dziecka, spojrzała ciotce Zuzie w oczy i powiedziała stanowczym tonem:

– Ciociu, ty jesteś diabeł.

Ciotka Zuza zemdląła i prawie w tej samej chwili Karolina zaczęła rodzić. Kuba wyniósł ciotkę z pokoju, a Maria posłała konie po młodą Smołowąsową i po lekarza do Natalinka. Później do pokoju Karoliny przyniosła „Trzech Króli”, modląc się do nich, aby dziecko i Karolina pozostali zdrowi. Była pewna, że Kacper, z którym spędziła wiele samotnych dni, wstawi się u Pana Boga za Karoliną i dzieckiem.

## KONIEC ZAKŁADÓW NA WYSPIE

Karolina umarła w czasie porodu. Dziecko, chłopiec, urodziło się zdrowe. W pół roku po pogrzebie Karoliny, na który przyszło wiele ludzi z miasta, wszystkie kobiety od Burgera i żołnierze, a z Natalinka tylko Maria i Kuba, zakłady na wyspie pogrążyły się w bagnie.

Nic nie zapowiadało tak wielkiej katastrofy. Woda w ostatnim czasie pojawiała się tu i ówdzie, często przymuszając do zbudowania nowej drogi, ale koniec nadszedł niespodziewanie. Z dnia na dzień w piwnicach gromadziło się coraz więcej wody. W przeciągu dziesięciu dni, na oczach zdumionych ludzi, wydostające się na wierzch bagno pochłonęło budynki, piece do wytopu żelaza, dwadzieścia luf armatnich, dwa parowozy z wagonami, setki ton żelaza i tysiące gotowych do wywiezienia przedmiotów.

Marcin nie wierzył w to, co widzi. Dopiero gdy zawalił się most nad Kamionką i na wyspie widać było tylko czubki kominów, a z niektórych dobywały się jeszcze sine pasemka dymów, zrozumiał, że to koniec zakładów.

Mieszkańcy Natalina mówili, że to nadchodzi koniec świata, gdyż od błota na wyspie śmierdziało zgniłymi jajami. Tym smrodem otruło się kilku robotników i zaraz się rozeszło wśród ludzi, że to powietrze z piekła. Rozpoczęły się trwające dzień i noc nabożeństwa w kościołach, przy nieustannym biciu dzwonów. Księża masowo dawali rozgrzeszenia, a ludzie tylko patrzyli w niebo, kiedy wyjdzie siedmiu aniołów z trąbami. Proboszcz Orzechowski, który wcześniej niejedną raz porównywał Natalin do Babilonu, co godzinę mówił z ambony: „Biada, biada, miasto ono wielkie, które było obleczone w bisior i purpurę, i w szkarłat, i uzłoczone złotem, i kamieniem drogim i perłami; gdyż w jednej godzinie zginęło tak wielkie

bogactwo”.

Aniołowie nie zadęli w trąby. Lecz w przeciągu roku miasto skarłało. Wynieśli się wszyscy poważniejsi kupcy, dostawcy towarów, właściciele dużych sklepów, domów mody, złotnicy. Ci, co pozostali, plajtowali z dnia na dzień.

Marcin postradał zmysły. Po kilku latach, gdy trochę ozdrowiał, ożenił się z ubogą hrabianką Oleśnicką, która mu urodziła syna i córkę. Lecz Marcin nie pamiętał o dzieciach. Znowu przerobił jeden z pokoi w Natalinku na warsztat i budował maszynę do poruszania się pod ziemią. Przy jej pomocy chciał wydobyć zakłady z błota. Zmarł rażony apopleksją w czasie pierwszej i nieudanej próby zjazdu pod ziemię.

Juliusz, mieszkając w dwuizbowej chacie w głębi lasu, nad stawem, spisywał swoje podróże, żeby udowodnić ich daremność. Poza tym leczył ludzi ziołami i zaklęciami. Zaklęcia wymawiał po arabsku, persku, japońsku albo w jeszcze innym języku. Znał ich wiele. Pod koniec życia pomieszały mu się wszystkie języki i już mało kto mógł go zrozumieć. Wtedy mieszkańcy okolicznych wsi zaczęli czcić Juliusza jak świętego. Nawet przyjechał biskup, namawiając Juliusza, aby nałożył szaty duchowne. Biskup pragnął, żeby uzdrowienia za przyczyną Juliusza dokonywały się w majestacie Kościoła. Juliusz nie zgodził się. W swej pustelni przeżył Marię, wszystkich braci, ciotkę Zużę, kuzyna Waclawa, który po zatonięciu zakładów znowu zaczął przegrywać w karty, przeżył dzieci Marcina: Jana i Wandę, Józefa urodzonego przez Karolinę, który, jak przepowiedziała Angela, zginął w trzydziestym ósmym roku życia. Juliusz umarł mając dziewięćdziesiąt cztery lata. Przed śmiercią spalił napisaną przez siebie książkę, mimo że Antoni bardzo chciał ją wydrukować we Lwowie.

Antoni został znanym filozofem, tracąc jednak zdolności rozkazywania zwierzętom. Już podczas studiów zauważył, że im więcej czyta książek i im bardziej wgłębia się w tajniki przyrody, tym większy lęk odczuwają przed nim zwierzęta, aż wreszcie bały się go jak każdego człowieka, i odtąd nie potrafił porozumieć się z nimi. Wówczas Antoni zrozumiał, że przez swoje niedbalstwo zatracił jeden ważny dar. Wiele nad tym rozmyślając napisał rozprawę „Natura et vacuum”, w której na swoim przykładzie udowodniał, że człowiek badając tajemnice wokół siebie, a nie tajemnicę w sobie, zatracza znajdujące się w nim naturalne zdolności łączące go z całą żywą przyrodą. Przestrzegał w rozprawie przed człowiekiem przyszłości – homunkulusem – który pomimo swej wielkiej inteligencji nie będzie w stanie zapełnić próżni po Człowieku – człowieku kierującym się zmysłami. Druga rozprawa, „O wpływie duszy na materię”, przyniosła Antoniemu propozycję objęcia katedry filozofii przyrody na uniwersytecie w Innsbrucku. Ale Antoni wolał pozostać na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. W mieście tym piastował wiele godności: był radcą magistratu, radcą sądu szlacheckiego, członkiem zarządu Instytutu Głuchoniemych, członkiem Galicyjskiego Towarzystwa Gospodarczego, członkiem Stanów Galicyjskich. Miał dwie córki i sześciu synów.

Po śmierci Karoliny dzieckiem jej, ochrzczonym imieniem ojca, opiekowała się Maria. Dla małego Józefa, żeby miał chociaż przybranego ojca, Maria gotowa była wyjść za mąż. Ale ci z mężczyzn, którzy dla pieniędzy, jakie jeszcze znajdowały się w posiadaniu Walichradów, mogliby nie widzieć, że Maria jest stara i brzydka, nie mieli jednak odwagi głośno i przed ludźmi wyrzec się Boga, czego żądała Maria i co sama zrobiła po śmierci Karoliny.

## CZEŚĆ II

### KOMETA

Zima długo trzymała. Jeszcze z początkiem kwietnia można było przejść przez zamarzną Wisłę. Dopiero na Wielkanoc, gdy od gór powiał ciepły wiatr, mróz zelżał i lody zaczęły pękać. Pośrodku rzeki utworzył się czarny korytarz wody szerokości kilku metrów, który urwał ścieżki przemytników i szpiegów. Po kilku dniach kra z głuchym dudnieniem, jak odgłosy turlania pustych beczek po brukowanej ulicy, spiętrzyła się niby pomiażdżone plastry pszczele i wyszła na brzegi, ryjąc głębokie doły, ścinając krzaki i drzewa.

Wisła ruszyła w nocy. Na oświetlone księżycem brzegi, po stronie Królestwa i Galicji, wyszli chłopci, także wielu natalinian. Natalinianom rzeka nie zagrażała, miasto stało na wysokiej skarpie, ale nie mogli spać. Rzęzące odgłosy rzeki wdzierały się do ich mieszkań.

Chłopci z niepokojem patrzyli na zakręt poniżej przewozu, gdzie najczęściej tworzył się zator. Jak co wiosną nawieźli drzewa, żeby go zapalić na lodzie i nie dopuścić do zatoru, ale tego roku nie zdążyli rozpaść ognisk. Wisła ruszyła nieoczekiwanie, w ciągu jednej godziny w nocy. Kry naszły jedne na drugie i nie można było wejść dalej jak parę metrów od brzegu. Jednocześnie wzbierała woda. Chłopci z pobliskich domów palikowali krowy na pagórkach, psy spuszczały z uwięzi, meble wynosili na strych, a ubrania, gary i dzieci ładowali na wozy.

O świcie na zachodniej, ciemniejszej stronie nieba pojawiła się kometa. Nie wiadomo, kto pierwszy ją zobaczył. Wydawało się, że wszyscy naraz. Biała kula ze skrzącym się warkoczem powoli sunęła od horyzontu w górę. Godzinę później ruszył lód na Wiśle i kometa zaczęła się jawić chłopom i natalinianom jako wyraz łaskawości Pana Boga.

Kometa przez trzy dni i trzy noce wędrowała z jednej strony nieba na drugą. W ciągu tych trzech dni rzeka oczyściła się z kry. Tylko na brzegach pozostały zabrudzone ziemią grube tafle lodu, jak głównie po dawno palonym ognisku.

W Natalinku w tym czasie mieszkał wnuk barona Marcina – Feliks. Feliks był jedynym synem wcześniej zmarłego Jana. Ożenił się z Zofią Gołębnicką spod Lwowa i miał z nią dwoje dzieci: Krystynę i Władysława. Rodzina Walichradów, wraz z Kubą, najstarszym mieszkańcem Natalinka, który pamiętał jeszcze Józefa Bartłomieja, także obserwowała kometa. Wpierw przez okna po zachodniej stronie domu, potem po wschodniej, w miarę jak się przesuwiała na niebie. Widzieli ją w dzień i nocą, w dzień bez długiego, postrzępionego warkocza.

Kometa przeszła nad ziemią niby Wielki Siewca, toteż wróżono nadzwyczajne zbiory tego roku. Ale wędrowni sprzedawcy relikwii świętych, którzy po kilku tygodniach od ukazania się komety przyszli do Natalina, twierdzili inaczej. Najmądrzejsi z nich, którzy całowali pierścień Ojca Świętego i byli w Jerozolimie u grobu Chrystusa, mówili, że znak ognia na niebie jest zapowiedzią dni, kiedy ludzie całymi wioskami umierać będą od ognia lejącego się z nieba, od robactwa i zarazy – jest zapisaną w świętych księgach zapowiedzią końca świata.

Ludzie przerazili się i każdy starał się coś kupić od sprzedawców relikwii. Bogatsi ziemię z Golgoty, drzazgi z kości nogi umęczonego świętego Szczepana, kawałki sznura konopnego, którym się biczowała święta Teresa. Biedniejsi kupowali paznokcie męczenników i ostatnie tchnienia świętych. Zofia, żona Feliksa Walichrada, kupiła drzazgę z kości świętego Dominika.

Po sprzedawcach relikwii na jarmark w Natalinie przyszła natchniona kobieta. Była w sukni z końskiego włosia i boso. Tam i z powrotem głosiła wielką przepowiednię królowej Sybilli o wojnie i końcu świata:

*Posłuchajcie, wierny ludu,  
oczyść duszę z grzechu, brudu,  
bo nastaną ciężkie lata  
i nadejdzie koniec świata.  
Sybilla mówi wam święta:  
żyć będziemy jak zwierzęta,  
o Bogu też zapomnimy,  
swoje dusze potępimy.  
Szatan dusze opanuje  
i królestwo nam zrujnuje.  
Będziem płakać, lamentować,  
Bóg nie raczy nam darować.  
Weźmy sobie do pamięci:  
czy nie wszystko nam się święci?  
Różne mody i wybryki,  
maszyny, różne techniki?  
Panny w stroju brzydkiej mody,  
kosmetyki dla urody.  
Że grzech, to się nie przejmują,  
grzeszne ciała pokazują.  
Posłuchajcie, chrześcijanie,  
co się za to z wami stanie,  
bo nastaną ciężkie lata  
i nadejdzie koniec świata.  
Powstaną na świecie wojny,  
naród będzie niespokojny,  
syn do walki z ojcem stanie,  
będzie straszne krwi rozlanie.  
Antychryst będzie panować,  
oltarze każe zrujnować,  
z kapłanów nikt nie zostanie,  
smutek na ziemi zostanie.  
Krwawe deszcze z piorunami  
będą naszymi świadkami.  
Nie będzie dziecka żadnego  
na całym świecie żywego.  
Dżuma ludzi powyniszcza,  
pozostaną tylko zgliszcza.  
Nie ma ojca, nie ma brata,  
wtedy będzie koniec świata.  
Matko Boska ukochana,*

ziemia trupami zasiana.  
Ten bez ręki, ten bez nogi,  
stękać będzie. Boże drogi.  
Matka włosy powydziera,  
że syn ranny jej umiera.  
To znów mąż we krwi zboczony  
szukać będzie swojej żony.  
Nad swym mężem klęknie żona,  
patrzac, jak on ciężko kona.  
Płacze rzewnie, łzy z ócz leje,  
gdzie ja z dziećmi się podzieję?  
Dziecko matkę będzie szukać,  
by ją mogło ucałować.  
Ani ojca, ani matki  
nie znajdziecie w ten czas, dziatki.  
O, jak nas Bóg ciężko karze,  
gdzie się ruszysz, to cmentarze.  
Ziemia zasiana trupami  
i zorana pociskami.  
Brat się z bratem nie poznają,  
jedni do drugich strzelają.  
Syn swego ojca zabije,  
bagnetem mu pierś przesyje.  
Ojciec padnie krwią zboczony,  
przez syna ciężko raniony.  
Syn pozna ojca swego,  
z żalu pęknie serce jego.  
Potem, po tej strasznej wojnie,  
naród będzie żyć spokojnie.  
Kościoły będą budować,  
przekonania zachowywać.  
Brat za bratem gonić będzie  
i po świecie szukać wszędzie.  
Wtenczas będą się szanować  
i ślady swych stóp całować.  
Powstanie jeden pasterz  
i owczarnia tylko jedna –  
słowa królowej Sybilli  
są święte i przepowiednia.

Ludzie po wysłuchaniu przepowiedni królowej Sybilli zaczęli wykupywać ze sklepów sól i mąkę. Na próżno w gazetach pisano, że kometa, tak samo jak gwiazdy, nie ma żadnego wpływu na rozwój wydarzeń na ziemi, i że ci, którzy myślą inaczej, to ludzie ciemni i zabobonni. Lecz w pełni lata, gdy nabrzmiały kłosa pszenicy, raz jeszcze wyszło na jaw, że gazety nie piszą prawdy. Wybuchła wojna – i sprawdziła się przepowiednia królowej Sybilli.



## W OKOPACH

Feliks Walichrad, Kuba i Adam Gołębnicki, kuzyn Zofii Walichradowej, szwagier Feliksa, zostali zmobilizowani do armii austriackiej. W szaroniebieskich mundurach strzelców i ze starymi jednostrzałowymi karabinami Werndla bronili przed Rosjanami przejścia przez Przełęcz Pantyrską, a kilka miesięcy później, w styczniu drugiego roku wojny przeprowadzanej przez Sybillę, pułk, w którym znajdował się Feliks, Kuba i Adam, zaległ w okopach pod Cirlibabą, u stóp ośnieżonych Karpat. Kuba nie zdradził przed komisją wojskową, że ma sto lat. Był krzepki, nie garbił się, wzrok miał dobry i nikt nie podejrzewał, że może mieć tyle lat. Tylko w czasie długiego marszu dostawał zadyszki.

Pod Cirlibabą, w czasie ataku dywizji kozackich, zginęło wielu podoficerów austriackich i Feliks Walichrad został skierowany na przyspieszony kurs szkolenia podoficerów. W praktyce kurs ograniczał się do tego, że Feliks dostał od sztabfeldfebla „Regulamin służby” i „Handbuch für Unteroffiziere”, z których miał się nauczyć na pamięć tego wszystkiego, co dotyczyło służby w polu. Ale Feliks, choć na czas kursu zwolniony od regulaminowej służby, zaledwie kilka razy otworzył podręczniki. Ani myślał zostać podoficerem. Nie miał zamiaru dać się zabić w obronie monarchii. Jeśli już, to w wojnie o wyzwolenie Polski. Dlatego razem z Kubą i Gołębnickim postanowił uciec z okopów.

Długo rozmyślali, jak to zrobić. Znajdowali się w pierwszej linii. Za ich plecami były tysiące żołnierzy, oficerów austriackich i żandarmów. Przed nimi, na przedpolu oddzielającym od okopów Rosjan, stały zasieki z drutu kolczastego i szyn; z nawisłymi śnieżnymi czapami wyglądały jak pochylone ze starości płoty. Od ostatniej bitwy nie pojawił się tam ani człowiek, ani zwierzę. Trupy zasypał śnieg, który leżał wszędzie dokoła. Gdy wychodziło słońce, przedpole i stoki gór zamieniały się w ogromne zwierciadła. Żołnierze tracili wzrok, a co mniej wytrzymali zmysły. Dwudziestoletni Filanowicz, który jako najlepszy strzelec w oddziale dostał nowy, wielostrzałowy manlicher, któregoś dnia wyszedł z okopu i spokojnie, z karabinem na ramieniu, jakby przecinał rynek miasteczka, podszedł do zasieków. Uderzył w nie kolbą karabinu, patrząc jak śnieg opada z kolczastych drutów. Wtedy padł cichy pojedynczy strzał i Filanowicz powoli uklęknął na kolano i zwałił się na plecy. Manlicher pozostał oparty o druty. Sukinsyn! z gniewem powiedział porucznik Gotlib, który wraz z żołnierzami patrzył na śmierć Filanowicza, taki karabin zmarnować. Trzeba go w nocy zdjąć.

Po kilku tygodniach, gdy obok Filanowicza leżały ciała dwu innych żołnierzy, którym nie udało się zabrać manlicera, do oddziału nadeszły nowe przydziały amunicji, środków opatrunkowych i więcej niż zwykle zalatującej karbolem wódki. Żołnierze porucznika Gotliba zyskali do podziału dodatkowo półtora litra wódki, gdyż w intendenturze jeszcze nie zdążyli skreślić z listy trzech zabitych na przedpolu. Ponadto żołnierze dostali futrzane czapki, szale, wełniane skarpety, które dla obrońców ojczyzny robiły kobiety w całej monarchii austriackiej.

Feliks, Gołębnicki i Kuba, domyślając się, że nadchodzi czas następnej bitwy, zdecydowali się uciekać jak najprędzej. Feliks wybrał drogę ryzykowną, ale jego zdaniem dającą największe szansę: środkiem linii frontu, wzdłuż zasieków. Musieli tylko czekać na śnieżycę, w której staliby się niewidoczni. Tymczasem niebo nad okopami było jak w lipcu, z jasnymi, pierzastymi chmurkami, a bitwa miała się lada dzień rozpocząć. Jej bliskie nadejście przepowiadali łącznicy z dowództwa, którzy coraz częściej przemykali z rozkazami do poszczególnych oddziałów, a także łagodne zachowywanie się oficerów względem żołnierzy.

Dłużej na zamieć nie mogli czekać i Feliks zmienił plan ucieczki. Za wódkę i złotą papierośnicę z inicjałami „MW”, pamiątkę po dziadku Marcinie, kupił od sanitariuszy nosze i

dwie opaski z czerwonym krzyżem. O świcie Feliks, Kuba i Gołębnicki przedostali się niepostrzeżenie do jednego ze ślepych okopów. Tam Gołębnicki nałożył na głowę skrwawiony bandaż, który znalazł w pobliżu punktu opatrunkowego, i położył się na noszach, udając ciężko rannego. Feliks i Kuba, z opaskami sanitariuszy na rękawach, ujęli nosze i poszli w kierunku podnóża najbliższej góry. Żeby nie natknąć się na punkt sanitarny, szli z początku okopami najbardziej wysuniętymi do przodu. Po drodze widzieli gorączkową, przedbitewną krzątanicę żołnierzy. Niektórzy w pośpiechu pisali jeszcze listy do domów.

Przez nikogo nie zatrzymywani podeszli blisko wyrębiska na zboczu góry. Tam dopiero na ich drodze stanął kapitan w hełmie bez pokrowca, od którego na wszystkie strony odbijało się słońce. Feliks, ciężko dysząc ze zmęczenia, od razu zameldował:

– Niesiemy ciężko rannego, panie kapitanie. Dostał w głowę.

Feliks z przerażeniem spostrzegł, że z czoła leżącego nieruchomo Gołębnickiego osunął się bandaż, odsłaniając gęste czarne włosy bez śladu krwi. Ale kapitan nawet nie spojrzawszy na rannego powiedział:

– Zostawcie go tutaj.

– Gdzie, panie kapitanie?

– Tutaj – oficer pokazał na śnieg pod stopami. – Jemu i tak już nic nie pomoże, a wy zaraz możecie być potrzebni w waszym oddziale.

– Niesiemy rannego na tyły z osobistego rozkazu pana pułkownika Bilingera. – Feliks wymienił nazwisko pułkownika Bilingera wiedząc, że kapitan nie może w tej chwili sprawdzić, czy to jest prawda.

– Pułkownika Bilingera?

– Tak jest, panie kapitanie. Osobiście odpowiadam przed panem pułkownikiem za wykonanie rozkazu.

– Jakiego rozkazu? – w głosie kapitana pojawiła się podejrzliwość.

– Mam rozkaz zanieść rannego do szpitala, panie kapitanie.

– Na rozkaz pułkownika Bilingera szpitale zostały przesunięte na dalekie tyły.

– Nie wiem, panie kapitanie. Ja mam tylko wykonać rozkaz – powiedział Feliks, udając zniecierpliwienie. – Ranny jest kuzynem...

Wystrzały rosyjskich dział i móżdżerzy przerwały Feliksowi. W jednej chwili ze śniegu pomiędzy okopami wyrzwały czarne dziury – jak ogromne krowie łajna. Kapitan, rezygnując z dociekania prawdy, wbiegł do najbliższej ziemianki. Stamtąd krzyknął:

– Idźcie do taborów! Tam! – pokazał na zadrzewione wzniesienie, ale nie to, do którego Feliks, Kuba i Gołębnicki zmierzali.

Gdy kapitan zniknął w ziemiance, Feliks i Kuba ujęli nosze z pobladłym ze strachu Gołębnickim, który teraz rzeczywiście wyglądał jak ciężko ranny, i skierowali się do upatrzonego wyrębiska na zboczu góry. Pociski wybuchały coraz bliżej nich.

– Gdzie oni strzelają, durnie! – wysapał Kuba i w tej samej chwili osypała ich ziemia, którą wzbil wybuch pocisku.

Feliks i Kuba, wypuszczając nosze, upadli na śnieg. Ziemia przez kilkanaście minut drżała od pocisków. Feliks kolanami i łokciami usiłował wgrzebać się w śnieg, ale stopiona słońcem skorupa śniegu była bardzo twarda. Kuba, osłaniając głowę rękami, bezwiednie liczył wybuchy. Tylko Gołębnicki leżał spokojnie na noszach, jakby śpiąc.

Kiedy kanonada ustała, Feliks krzyknął:

– Zostawiamy nosze i uciekamy do lasu. Feliks z Kubą natychmiast poderwali się. Gołębnicki dalej leżał nieruchomo.

– Adam, wstawaj! – Feliks szturchnął go i wtedy zobaczył świeżą krew na bandażach.

Dotknął, żeby się upewnić. Palec miał czerwony od krwi. Wówczas, przyglądając się uważnie Gołębnickiemu, stwierdził z niedowierzaniem:

– Nie żyje.

Kuba został ranny kilkaset metrów dalej. Upadając z wyczerpania na skryte pod śniegiem poszycie lasu, poczuł mocne uderzenie pod łopatką, ale w taki sposób, jakby to było uderzenie od napiętej i puszczonej gałęzi. Nie zwróciłby na to większej uwagi, gdyby nie ciepło na plecach od wypływającej krwi.

– Dostałem – powiedział do Feliksa.

– Pokaż – Feliks pomógł Kubie rozebrać się.

Kula tkwiła płytko pod skórą. Rana nie wyglądała groźnie, po chwili przestała krwawić. Feliks złożył na płasko rękaw koszuli i umocował go na ranie dwoma rzemieniami, zawiązując na krzyż przez plecy i piersi.

Wieczorem doszli do zagubionej w górach osady, gdzie kupili chłopskie ubranie, konia i sanie. Chłopi zażądali za sanie i konia tyle, ile przed wojną kosztowało pół wioski. Feliks zapłacił złotymi dukatami, które przezornie zabrał na wojnę. Konia zaraz okulawili, żeby go po drodze wojsko nie zarekwirowało. Zamierzali przenocować w osadzie, ale Kubie nie podobały się spojrzenia chłopów. Odniosł wrażenie, że oni w myślach już dzielą się dukatami Feliksa.

Posługując się mapą, którą Feliks wydarł z „Podręcznika dla podoficerów”, jechali tylko nocami. W dzień spali w stojących na uboczu stodołach, w na pół spalonych domach, na leśnych polanach. Gdy dojechali do Galicji, przed mostem na Ranie, po którym przeprowały się wojska austriackie, przyszło im czekać cały dzień na czterdziestostopniowym mrozie i Feliks odmroził sobie stopy. Z tego powodu musieli porzucić sanie i konia, który już ledwie powłóczył nogami, i zamiast do Natalinka pojechać koleją do znajdującego się bliżej Lwowa, gdzie mieszkał Michał, jedyny jeszcze żyjący syn Antoniego i jego wnuki. Z wnuków Feliks znał tylko Łukasza, który wielokrotnie, w celach naukowych, przyjeżdżał do Natalinka, oraz Michała, najmłodszego syna Antoniego i jedyne, który jeszcze żył. Michał, jak i ojciec, był profesorem na Uniwersytecie Jana Kazimierza.

## MICHAŁ WALICHRAD ZE LWOWA

Michał Walichrad usiłował zapanować nad czasem, aby móc przenieść się o sześćdziesiąt lat wstecz, do pokoju w krakowskim hotelu Lipińskiego. Michał za młodych lat, w przeciwieństwie do swych braci, którzy nigdy nie wyjeżdżali ze Lwowa, często wyprawiał się do Krakowa i Wiednia, i po drodze wstępował do Natalinka. Podczas jednej z takich wypraw, zatrzymując się w Krakowie w hotelu Lipińskiego, przy Rynku Głównym, spędził noc z przygodnie poznaną kobietą, starszą od niego i przesiąkniętą zapachem pralni. Była to jego pierwsza kobieta. Tamtej nocy zrozumiał, dlaczego niektóre sekty z doliny Mekongu uważają zadowolenie miłosne za niezbędne do osiągnięcia nirwany. Ale nie przypuszczał, że ta kobieta, praczka, której nawet imienia nie znał, zaciąży nad całym jego późniejszym życiem. W hotelu Lipińskiego doświadczył, że można przeżywać coś, co jest poza słowami, niewyraźne, czego nie da się opisać. Od dziecka, gdy czytał wiele książek, słowo miało dla Michała największą moc. Wszystko przeżywał w słowach i czuł się zagubiony dopiero wtedy, gdy dla określenia jakiegoś uczucia nie potrafił dobrać trafego wyrazu. Myślał, że im bogatsze słownictwo, tym więcej można przeżyć.

W kilka tygodni po nocy z praczką, kiedy już był we Wiedniu i oglądał tum Świętego Szczepana, zrozumiał, że za pomocą słów tylko powielił uczucia i zachwyty innych. Patrząc

na strzelistą wieżę Świętego Szczepana opisywał ją sobie tak, jak o niej czytał w książkach, i w rezultacie bardziej go wprawiał w zachwyt opis architektury wieży niż sama wieża. Później, po nocach z innymi kobietami, rodziły się w nim z kolei te same doznania, jakich doświadczył z praczką. Nie mógł znieść tych powielań i w końcu, po wielu latach, postanowił odszukać praczkę, mając nadzieję, że może coś zdoła przeżyć jeszcze raz po raz pierwszy. Tym poszukiwaniom poświęcił resztę swego życia.

Gdy Feliks i Kuba przyjechali do Lwowa, emerytowany profesor Michał Walichrad już od trzydziestu lat nie wychodził z domu. W tym okresie posunął się bardzo daleko w studiach nad czasem. Potrafił wywoływać z zaświatów dusze zmarłych ludzi, ale nie zapanował jeszcze nad czasem ziemskim i wciąż nie mógł przywołać tej nocy sprzed sześćdziesięciu lat.

We wszystko, co Michałowi Walichradowi było potrzebne do życia, zaopatrywał go garbaty służący, który wraz z żoną prostytutką zajmował czteropokojowe mieszkanie na parterze kamienicy przy ulicy Skarbkowskiej. Garbus także pilnował, żeby nikt, choćby nawet z rodziny, nie dostał się do Michała. Z tego polecenia wywiązywał się najsumiennie. Krewnym Michała, którzy z początku często nachodzili kamienicę przy Skarbkowskiej, pokazywał pismo swego pana, w którym była prośba o nieskładanie wizyt. Ale garbus nade wszystko służył Michałowi jako medium do wywoływania dusz. Z niezwykłym upodobaniem wchodziły one w ciało kaleki. Niekiedy nawet same, nieproszone, przemawiały przez niego, jak choćby dusza Antoniego Walichrada, który co kilka miesięcy wtrącał się w ziemskie sprawy syna, przypominając o tym, co napisał w „O wpływie materii na duszę”: kto ciałem i dobrami gardzi, ten uboży ducha, gdyż duch rozwija się w zbytku i pięknie”. Tego rodzaju wizyty Antoniego zawsze zbiegały się z czasem, gdy trzeba było przypomnieć dzierżawcy majątku pod Lwowem i Żydowi administrującemu dwoma kamienicami, że zalegają z zapłatami. Kiedy jednak Michał upelnomocnił garbusa do zajmowania się sprawami majątkowymi, ojciec przestał przychodzić.

Feliks i Kuba długo kołotali do bramy kamienicy przy Skarbkowskiej, nim wreszcie wyszedł rozespany garbus.

– Czego chcecie? – zapytał przez uchylone drzwi, ale widząc Feliksa ze stopą zawiniętą w szmaty i podpierającego się kijem, zaraz rzekł pogardliwie: – Jałmużny nie udzielamy.

– Otwórz, capie! – rozgniewał się Feliks, a Kuba mocno pchnął drzwi, aż garbusa odrzuciło daleko do tyłu.

– Prowadź do swego pana!

– Pan profesor nie życzy sobie nikogo widzieć, jest bardzo zajęty – powiedział garbus.

– Chcesz, żebym ci zrobił drugiego garba? – zapytał Feliks, krzywiąc twarz z bólu; ledwie mógł ustać na odmrożonej i popękanej do krwi stopie.

Garbus skulił się.

– A kogo mam zameldować?

– Nie masz zameldować, tylko zaprowadzić.

– Pan profesor będzie bardzo zły, jak to zrobisz. Panowie są pewnie z daleka i nie wiedzą...

Feliks zdzielił garbusa kijem w plecy.

– Rób, co każę!

– Dobrze, sami panowie zobaczycie.

Garbus zaprowadził Kubę i Feliksa do ciemnego pokoju na piętrze, w którym śmierdząco zepsutym jedzeniem, niewietrzoną od miesięcy pościelą i zatechłym dymem papierosowym.

– Pan profesor nie lubi elektrycznego światła – rzekł garbus zapalając świecę w lichtarzu na czarnym stole, gdzie pomiędzy stertami klepsydr walały się obgryzione do połowy ryby, zapleśniały chleb, kości. – Także nie lubi, kiedy tu robić porządek – dodał garbus, widząc jak Feliks z oburzeniem rozgląda się po niesprzątanym od lat pokoju.

Wszystko, z wyjątkiem stołu, pokrywała gruba warstwa kurzu. Na podłodze walało się pełno śmieci. Tylko od stołu do drzwi, w porównaniu z tym, co znajdowało się obok, było

czysto – jak na ścieżce przez śmietnisko. W globusie wywróconym na książkach wybita była dziura. W jednej z szaf brakowało drzwi. Jak gdyby przez szafę prowadziło potajemne przejście. Do grobowca, przyszło na myśl Feliksowi, gdy znowu zwrócił uwagę na leżące w każdym miejscu klepsydry. Najmniej zniszczone, ze śladami tłustych palców, leżały na stole.

Przy stole, tyłem zwrócony do drzwi, stał ogromny fotel, z którego wychodziła trawa morska. Siny dym papierosa snujący się ponad oparciem fotela zdradzał, że tam ktoś siedzi.

– Co masz? – rozległ się zachrypnięty głos z fotela.

– Dwie kobiety i jedno dziecko, panie profesorze – odrzekł garbus, wyjmując z kieszeni marynarki trzy złożone klepsydry.

– Dawaj.

– Wuju Michale – Feliks podszedł do fotela.

– Kto znowu? – ze złością zapytał Michał Walichrad.

– Nie wiem, na siłę tutaj weszli, pobili mnie – poskarżył garbus.

W starcu o chudej twarzy z pałającymi policzkami Feliks z trudnością dopatrywał się podobieństwa do wuja Michała sprzed lat.

– Wuju Michale, ja jestem Feliks z Natalinka, syn Jana. Ze mną jest Kuba. Chyba wuj nas pamięta?

– Na wojnie was zabili – obojętnie stwierdził Michał i dodał ze złością – teraz sami żołnierze przychodzą.

– Wuju, my żyjemy – Feliks ustawił się tak, żeby oczy wuja patrzyły na niego, ale Michał mimo to patrzył gdzieś daleko poprzez Feliksa.

– Wuju, dotknij mnie, to się przekonasz.

– Teraz wszyscy udajecie żyjących – Michał zachichotał złośliwie – ale za późno, drodzy panowie, trzeba było żyć za życia.

Feliks i Kuba spojrzeli na siebie. Obaj domyślili się, że wuj Michał postradał zmysły.

Feliks, po naradzie z wnukami profesora Antoniego Walichrada, którzy byli profesorami, kupcami i urzędnikami cieszącymi się we Lwowie dużym poważaniem, wyrzucił garbusa i jego żonę z kamienicy przy ulicy Skarbkowskiej. Walichradowie mieszkający we Lwowie już dawno chcieli odłączyć garbusa od Michała, podejrzewając, że garbus rozmyślnie pielęgnuje jego szaleństwo, tylko nie wiedzieli, jak się do tego zabrać, żeby nie zrazić Michała. Feliks zrobił to w prosty sposób: dał garbusowi kwadrans czasu na spakowanie się i opuszczenie mieszkania, nie pozwalając mu się więcej zobaczyć ze swoim panem. Gdy garbus opierał się, Kuba wziął go za kołnierz i wyprowadził na ulicę.

Walichradowie jednak nie wiedzieli, że garbus, jako jedyny pośrednik w rozmowach ze zmarłymi ludźmi, był dla Michała człowiekiem niezastąpionym. Toteż Michał usłyszawszy, że garbusa nie ma i go nieodwołalnie nie będzie, dostał ataku serca i nim lekarz przyjechał, zmarł w fotelu.

Gdy Walichradowie czuwali przy zwłokach Michała, przyszedł urzędnik sądowy i w imieniu właściciela kamienicy zażądał opuszczenia nieruchomości w ciągu trzech dni, bez prawa zabierania mebli, pościeli, ubrań, czegokolwiek. Na wyjaśnienie, że właścicielem kamienicy jest leżący oto nieboszczyk Michał Walichrad, urzędnik pokazał dowód notarialny, z którego niezbicie wynikało, że kamienica należy do niejakiego Hugona Mieczyka. Nikt z Walichradów nie znał osoby o takim nazwisku, więc wnuk Antoniego, Mateusz Walichrad, adwokat, u którego zamieszkał Feliks i Kuba, powiedział, że natychmiast zajmie się tą sprawą.

Po pogrzebie Michała Mateusz dowiedział się u notariusza, że Hugon Mieczyk jest właścicielem kamienicy przy Skarbkowskiej, a ponadto właścicielem dwu pozostałych kamienic i majątku w Sobótce pod Lwowem, czyli że należy do niego wszystko, co przedtem było własnością Michała Walichrada. Ale o samym Hugonie Mieczyku niczego się nie dowiedział. Nigdzie go nie znali. Mateusz widział tylko podpisy Mieczyka pod

niepodrobionymi podpisami Michała na aktach kupna-sprzedaży.

Pomimo to, że akta sporządzone były w sposób prawomocny, Walichradowie byli przekonani, że mają do czynienia z oszustwem. Michał nigdy nie nosił się z zamiarem sprzedaży kamienic, a już na pewno nie tej, w której mieszkał. Zgłosili swe podejrzenia na policję, ale tam także nic nie wiedzieli o Hugonie Mieczyku. Wówczas Mateusz rozpoczął poszukiwania na własną rękę. Poszedł ze swym synem, Łukaszem, profesorem mineralogii na Uniwersytecie Jana Kazimierza do dzielnicy, gdzie mieszkali złodzieje, kryminaliści, wśród nich wielu klientów Mateusza. Usiedli w szynku niedaleko klasztoru Świętego Onufrego, w którym spoczywały prochy pierwszego rosyjskiego drukarza. Mateusz zamówił dwa kieliszki śliwownicy i niby od niechcienia powiedział do szynkarza:

- Szukam niejakiego Hugona Mieczyka.
- Nie znam, panie mecenasie – odrzekł szynkarz.
- Zrobił brzydki kant.
- O, jeśli pan mecenas mówi, że brzydki, to on naprawdę musiał coś brzydkiego zrobić.
- Owszem, owszem.

– Tego luja to ja znam – od jednego ze stolików wstał zwalisty mężczyzna. – Mieszka na Skarbkowskiej u jakiegoś pomyłonego profesora, takiego co to z duchami gada. Jak pan go spotkasz, to powiedz przy okazji, że Baryła ma oko na niego. Zadaje się z glinami, jebaniec.

– To ten garbaty? – zapytał Mateusz zaskoczony, gdyż dotąd w ogóle nie brał pod uwagę garbusa, uznając go za niezdolnego do tego rodzaju oszustwa.

– Autentycznie garbaty, trochę pomacałem go po garbie – roześmiał się Baryła.

Teraz, gdy Mateusz już wiedział, że służący Michała garbus i Hugon Mieczyk to jedna i ta sama osoba, sprawa wydała mu się łatwa. Ale nim zebrał wszystkie potrzebne informacje o Mieczyku, uprzednio noszącym nazwisko Jan Janda, karanym za sutenerstwo i wyłudzenie pieniędzy, do domu Mateusza przyszli żandarmi w poszukiwaniu dwóch dezertorów: Feliksa Walichrada i Kuby Walichrada.

Żandarmi przeszukali dom od piwnicy po strych, nawet na dach wyszli. Byli zaskoczeni, że nie ma tych, po których przyszli, i z ich zdziwionych min Mateusz wywnioskował, że informator, który ich tutaj skierował, był dla nich pewnym informatorem. Nadeszli jednak godzinę za późno, bo przed godziną Feliks z Kubą udali się do klasztornej szpitala, gdzie chirurg miał amputować Feliksowi jedną stopę, w której od odmrożenia zrobiła się gangrena.

Zaraz po wyjściu żandarmów Mateusz poszedł do znajomego przeora franciszkanów i poprosił go, żeby przez jakiś czas przetrzymał w klasztorze Feliksa i Kubę. Wracając do domu dowiedział się, że dwaj jego kuzyni, Franciszek i Teofil, kupcy, zostali aresztowani i mają być postawieni przed sąd wojskowy. W belach siana, które spółka handlowa kierowana przez Franciszka i Teofila wysłała na front rosyjski, znaleziono ulotki wzywające do skierowania broni przeciwko własnym oficerom.

Walichradowie byli przekonani, że za tym wszystkim kryje się nieuchwytny Mieczyk. Tylko jemu zależało na skompromitowaniu rodziny Walichradów tak, aby nie mogli przeszkodzić w zagarnięciu majątku po Michale. Lecz nie wiedzieli, co robić. W końcu, nie znajdując innego wyjścia, a także z obawy o własne losy, postanowili pozornie złożyć broń. Pomyśleli, że wtedy garbus wyjdzie z ukrycia. Feliks z Kubą pozostali w klasztorze franciszkanów. Mateusz wstąpił do Legionów Polskich, prosząc wcześniej swego przyjaciela, mecenasa Rozblata, o dopilnowanie, żeby Mieczyk został aresztowany natychmiast po ujawnieniu się. Teofil i Franciszek, po kosztownych staraniach uwolnieni od podejrzeń, wyjechali z żonami i dziećmi do Natalinka. Ci, którzy dalej mieszkali we Lwowie, w ogóle przestali dopytywać się o Hugona Mieczyka.

I rzeczywiście, po kilku miesiącach w kamienicy przy Skarbkowskiej pojawił się nowy właściciel: Hugon Mieczyk. Wówczas Rozblat przyszedł po garbusa z policjantami. Ale Mieczyk pokazał im list żelazny opatrzony pieczęcią z dwugłowym orłem i podpisem

pułkownika von Loserthiego, w którym było, że okazicielowi niniejszego dokumentu są zobowiązane udzielić pomocy wszelkie władze wojskowe i cywilne. Kogoś z takim listem policjanci nie odważyli się zaarrestować. Rozblat jednak nie pozostawił Mieczyka samego sobie. Po dotarciu do akt z nadrukami „streng geheim” poznał drogę garbusa do uzyskania listu żelaznego.

Garbus, gdy go Feliks wyrzucił z kamienicy przy Skarbkowskiej, pojechał do Stryja. Tam, wykrywając na własną rękę szpiegów rosyjskich, agitatorów bolszewickich i deztererów, oddawał nieocenione usługi kontrwywiadowi austriackiemu. Oficerowie kontrwywiadu, stwierdziwszy, że Mieczyk nie kieruje się w swej pracy żadnymi korzyściami materialnymi, a jedynie wielką miłością do Najjaśniejszego Pana, za którego z powodu kalectwa nie mógł walczyć z karabinem w rękę, bez zastrzeżeń zaczęli wierzyć wszystkim donosom Mieczyka. Od dnia współpracy z garbusem pułkownik von Loserthy miał pełne ręce roboty. Stawiał pod sąd wojskowy szpiegów podszywających się pod żebraków, chłopów, którzy z domów śledzili ruchy wojsk austriackich, gajowych, którzy w lasach ukrywali deztererów, i księży nawołujących do zakończenia wojny.

Rozblat opowiedział Walichradom, co dowiedział się o Hugonie Mieczyku. Walichradowie, którzy jeszcze pozostali we Lwowie, przestraszyli się, że garbus może ich wszystkich bezkarnie skazać na więzienie, i zaczęli w pośpiechu likwidować swoje interesy, szykując się do opuszczenia Lwowa. Ale za kilka dni gazety przyniosły wiadomość o tajemniczym morderstwie przy ulicy Skarbkowskiej: Hugon Mieczyk, nowy właściciel kamienicy, został w nocy zasztyletowany; policja nie zna powodów morderstwa, przypuszcza jednak, że jest to wynik porachunków świata przestępczego, z którym Mieczyk vel Jan Janda miał bliskie powiązania.

Rozblat dowiedział się od sędziego śledczego, że w noc zabójstwa do kamienicy przy Skarbkowskiej przyszli porucznik piechoty i zakonnik, nie wiadomo tylko, który z nich pierwszy. W każdym razie listu żelaznego policja nie znalazła przy zwłokach.

## POWRÓT DO NATALINKA

Feliks i Kuba wrócili do Natalinka po czterech latach. Feliks z protezą stopy wystruganą z drewna, na którą naciągał buta z wysoką cholewą, tak że gdy szedł, nikt nie domyślał się jego kalectwa. Żona Feliksa, Zofia, odkryła je dopiero wieczorem, kiedy mąż, kładąc się spać, wraz z butem odjął stopę.

Feliks po powrocie do Natalinka zobaczył po raz pierwszy swych najmłodszych synów, bliźniaków. Stanisława i Lucjana, którzy urodzili się pół roku po tym, jak wyruszył na wojnę. Z listów już wiedział, że Lucjan jest ułomny i w wieku trzech i pół roku wygląda na półtora, i że nie umie jeszcze chodzić na dwóch nogach, bo na czworakach poruszał się zwinnie jak kot.

Lucjan nie umiał także mówić i nikt nie wiedział, czy cokolwiek rozumie. Gdy Zofia siłą stawiała go na nogi, żeby nauczył się chodzić, gryzł, kopał i wył. Jeden z lekarzy wojskowych, który go badał, powiedział, że dziecko ma tak wykrzywiony kręgosłup, iż już nigdy nie będzie się mogło całkiem wyprostować, i ponadto, że Lucjan ma wrodzoną wadę serca, z którą nie pożyje dłużej niż siedem lat. Zofia podziękowała Bogu za skrócenie męczarni syna i grzebiąc Lucjana za jego życia, dbała tylko o to, żeby był najedzony i nie chodził w podartych ubraniach.

Feliks, mimo że uprzedzony, na czym polega ułomność Lucjana, jednak gdy ujrzał syna biegnącego jak pies za śladem, z wyciągniętą i nisko zwieszoną głową, odwrócił oczy. Dopiero kiedy Lucjan kucnął przy ścianie domu, podszedł do niego.

– Synu – powiedział, usiłując dotknąć głowy Lucjana, ale Lucjan nagle wpił się zębami w wyciągniętą dłoń Feliksa i ugryzł do krwi.

W czasie wojny kilkakrotnie przechodziły przez Natalinek wojska austriackie i rosyjskie. Jedne i drugie wybierały leżący na uboczu dwór na szpital polowy lub punkt sanitarny. Zdarzało się, że rannych żołnierzy było tylu, że leżeli jednocześnie w domu, powozowni, w ogrodzie i na podwórzu, a auta z czerwonymi krzyżami co chwilę przywoziły nowych rannych i zabierały zmarłych. Zofia z początku omdlewała na widok krwi i zranionych żołnierzy. Z czasem jednak przywykła do rannych i nawet nauczyła się rozróżniać krew: tę w kolorze czereśni, której nie potrafiły powstrzymać zwoje bandaży, od krwi jak przejrząła wiśnia, prawie czarnej, wolno wypływającej z rany albo już w ranie krzepnącej. Czarna krew przepowiadała bliską śmierć. W czasie wojny ułomność Lucjana nie raziła. Jego kalectwo było czymś zwykłym. Żołnierze nie zwracali uwagi na przemykającego pomiędzy namiotami człowieka-psa. Lekarze też go nie odganiaли, gdy przyglądał się operacjom dokonywanym na stołach pod jabłoniami. Lecz teraz, kiedy wojna odeszła daleko, Lucjana znowu było widać.

Feliks, nazajutrz po powrocie do Natalinka wstając wcześniej rano, nie mógł się pozbyć uczucia, że przyjechał do obcego domu. Wszyscy wydali mu się inni: i żona, i dzieci, i szesnastoletni Józef, wnuk Emisariusza, tak samo jak jego ojciec poczęty z nieprawego łoża i też we wczesnym dzieciństwie osierocony. Uczucie takie potęgowała obecność osób nieznanymi Feliksowi. Cała służba była nowa, wśród niej ruchliwy Marek Bysała, który zjawił się w Natalinku jako jeden z rannych żołnierzy – gdy z bezwładną ręką został wypisany z wojska, wziął ślub z pokojówką Martą i poprosił Zofię, by go przyjęła na służbę. W Natalinku mieszkały jeszcze żony i dzieci Franciszka i Teofila Walichradów. Feliks widział ich we Lwowie tylko jeden raz.

Cały dzień siedział na werandzie, patrząc na walające się po podwórzu wiadra, miski, podarte sienniki, opatrunki, pomiędzy którymi biegał Lucjan. Wieczorem przeniósł się do jadalni, gdzie przez kilka godzin przyglądał się portretom wcześniejszych mieszkańców Natalinka. Prawie nie odzywał się. W następne dni obojętnie obserwował, jak najęci przez Kubę chłopcy usuwają ślady wojny wokół domu. Tak samo bez zainteresowania patrzył na wracające z frontów austriackie pułki. Ożywił się dopiero w dniu, kiedy przez Natalinek, drogą do Natalina, przemaszerowali huzarzy księcia Ernesta. Rozpoznał ich po fladze: lew i nad nim dwa orły z rozpostartymi skrzydłami.

## OBLĘŻENIE KOSZAR

Natalinianie powitali swój pułk w milczeniu. Wyszli z domów na ulicę, lecz z widocznym na twarzach pytaniem: czego tu jeszcze szukacie? Klęski Austrii domyślili się dużo wcześniej. Nie po coraz częstszych przemarszach na zachód żołnierzy Karola I – który objął tron po śmierci starego cesarza, nie po coraz bezwzględniej przeprowadzanych rekwizycjach koni, siana, krów, ani z gazet. Domyślili się klęski po nieregularnie wypłacanych zasiłkach pieniężnych za poległych ojców i braci. W każdym polskim domu żyli z pieniędzy za śmierć. Z własnej pracy utrzymać się mogli jedynie trumniarze i bogaci Żydzi, którzy wykorzystując,



że spadły ceny domów, wykupowali większość kamieniczek przy rynku i stali się jeszcze bogatsi.

Powracających huzarów chciał uroczyście powitać przed ratuszem starosta Ludwig Dieter i wachmistrz Słowik. Ale dowódca pułku, nie zatrzymując się, ledwie spojrzął na rozentuzjarmowanego starostę. Żołnierze w zakurzonych hełmach także obojętnie mijali cywila w czarnym kapeluszu. Dieter mimo to radośnie uśmiechał się, wymachując rękami i kapeluszem. Stał z wachmistrzem aż do nadejścia artylerii.

Powrót huzarów księcia Ernesta do macierzystych koszar oznaczał dla starosty powrót do dawnego życia, tego sprzed wojny, gdy na swoim urzędzie nie musiał słuchać władz wojskowych. Toteż po przejeździe pułku przez rynek starosta i wachmistrz zabrali się do wykonywania swych obowiązków. Zaczęli od listy dezertów, którzy przebywali w Natalinie i okolicy.

Wachmistrz Słowik, po trzydziestopięcioletniej służbie w piechocie w przygranicznych garnizonach na wschodzie Galicji, został jeszcze przed wojną skierowany do Natalina jako osoba do specjalnych poruczeń starosty. Z chwilą wybuchu wojny Słowik, wierny i zdyscyplinowany żołnierz, nie mógł znieść obecności dezertów na terenie starostwa. Ale mając do pomocy tylko dwóch policjantów nie potrafił schwycić ich wszystkich, zwłaszcza że dezertów przybywało z każdym miesiącem wojny. Jednak cały czas, będąc przekonany, że nadejdzie chwila surowej kary dla zdrajców, skrupulatnie sporządzał ich listę. Ostatnimi na tej liście byli Kuba i Feliks Walichradowie – ostatnimi w kolejności, ale pierwszymi pod względem ważności, bo kto jak kto, lecz wnuk barona Marcina Walichrada, kawalera Orderu Świętego Szczepana, powinien dawać lepszy przykład Polakom. Poza tym starosta i wachmistrz mieli swoje porachunki z mieszkańcami Natalinka. Dumni Walichradowie nie uznawali żadnej zwierzchności. Choć wielokrotnie wzywani urzędowymi pismami, ani jeden z nich nie przyszedł do ratusza, a gdy pewnego dnia do Natalinka pomaszzerował Słowik, to Józef poszczuł go psem. Takie zachowanie Walichradów bardzo uraziło wachmistrza, gdyż poprzez jego osobę i mundur obrażona została godność cesarza, któremu Słowik wiernie służył przez całe życie.

Słowik często czuł się urażony w nowej pracy, gdzie najczęściej miał do czynienia z gadatliwymi babami, pijakami, złodziejami, słowem: cywilami. W ciągu pierwszych miesięcy służby w Natalinie nie mógł sobie z nimi poradzić. Wcale nie słuchali jego rozkazów i chodzili jak bydło po pastwisku. Gdy usiłował zaprowadzić ład na jarmarku i oddzielić sprzedających od kupujących, ludzie śmiali się z niego i patrzyli jak na wariata. W końcu, upewniając się, że z cywilami nie dojdzie do ładu, napisał do Najjaśniejszego Pana list z propozycją, żeby wszystkich cywilów ubrać w mundury, wyuczyć regulaminów i dopiero wtedy zapanuje porządek w monarchii. Po dwóch latach dostał odpowiedź od cesarza: względy państwa przemawiają za tym, żeby jedni obywatele byli żołnierzami, drudzy cywilami. To przekonało Słowika co do konieczności ułożenia sobie pracy z cywilami.

Na drugi dzień po przyjeździe huzarów wachmistrz poszedł do Natalinka aresztować Feliksa i Kubę. Towarzyszyło mu dwóch miejscowych policjantów, którzy jako że od dawna znali Walichradów, z ociąganiem szli za wachmistrzem. Wiedzieli, że Feliks nie da się aresztować, i obawiali się, że wachmistrz każe im przemocą go pojmać.

Słowik prosto od bramy Natalinka skierował się do siedzącego na werandzie Feliksa. Zatrzymując się przed nim, powiedział:

– W imieniu Jego Cesarsko-Królewskiej Mości aresztuję was za dezercję.

Feliks przyjrzał się wachmistrzowi i odrzekł obojętnie:

– Powiedźcie waszej mości, żeby mnie pocałował w dupę. Wachmistrz chwilę stał zaskoczony. Już przywykł do nieobliczalnego zachowania cywilów, ale z takim lekceważeniem munduru, władzy i przede wszystkim cesarza jeszcze się nie spotkał. Nerwowo zdjął z ramienia karabin i wycelował w pierś Feliksa.

– Wstawajcie! – rozkazał.

Feliks opierając się o ścianę, na której w promieniach jesiennego słońca wygrzewały się ospałe muchy, zapytał Słowika:

– Czy rozbito wam kiedyś karabin na głowie?

– Nie – odrzekł zdziwiony Słowik.

– To uważajcie – cicho ostrzegł Feliks.

Wachmistrz nie wiedział, co dalej robić. Gdyby przed nim znajdował się dezerterski mundur, wtedy kopniakiem albo bagnetem zmusiłby go do wykonania rozkazu, a jak nie, zastrzeliłby w myśl prawa obowiązującego na wojnie. Nie był pewien, czy względem Walichrada w cywilu i ponadto wnuka kawalera Orderu Świętego Szczepana obowiązują te same wojskowe przepisy. I na wszelki wypadek, żeby nieumyślnie nie złamać jakiegoś zarządzenia, postanowił wrócić do ratusza i naradzić się w tej sprawie ze starostą. Nałożył karabin na ramię i rzekł surowo:

– Przyjdę po was później. Bądźcie przygotowani.

Feliks odgonił muchę krążącą nad głową.

Wachmistrz Słowik nie wrócił do Natalinka, gdyż tego samego dnia musiał uspokajać tłum natalinian zebrany pod pocztą, domagający się wypłaty zaległych od miesiąca zasiłków za poległych. Poczta była zamknięta. Poczmiistrza nikt nie widział od kilku dni i ludzie zaczęli podejrzewać; że czmychnął z zasiłkami. Słowik rozkazał policjantom stanąć przy drzwiach poczty, żeby nie dopuścić do grabieży, a sam udał się do starosty po decyzję. Ale starosta, już bez śladu na twarzy po wczorajszej radości z powodu powrotu pułku, kazał wachmistrzowi radzić sobie samemu.

Słowik wrócił pod pocztę i stojąc pomiędzy dwoma policjantami, powiedział do tłumu:

– Nakazuję natychmiast rozejść się!

Wachmistrz słysząc swój głos uświadomił sobie, że nie rozkazuje, lecz prosi. Bo choć mówił donośnie, to jednak bez twardego rozkazującego tonu, którym dawniej rekrutów zamieniał w kamienie. Żeby przypomnieć sobie tamten ton, wyobraził sobie, że stoi przed żołnierzami i kilkoma zdecydowanymi rozkazami przywraca porządek.

– Bacność! – krzyknął w zapomnieniu.

Śmiech natalinian otrzeźwił go. Żołnierze znikli – przed nim stała banda rozpasanych cywilów.

– Rozejść się – powiedział jeszcze raz, cicho, tylko dla formalności, sam nie wierząc, że go ktokolwiek posłucha, i znowu udał się do ratusza i poprosił starostę o wysłanie na front, nawet jako szeregowego żołnierza.

– Nie bądźcie durniem, Słowik – z gniewem odrzekł starosta. – Na jaki front chcecie iść? Nie ma żadnego frontu. To koniec, koniec. Lepiej pomyślcie o własnej skórze.

Feliks, wciąż godzinami wysiadując na werandzie, patrzył na z dnia na dzień ruchliwszą drogę. Najczęściej maszerowali po niej żołnierze wracający z wojny. Jeśli nie byli w mundurach, Feliks rozpoznawał ich po długich krokach i pochylonych plecach, nawykłych do dźwigania tornistra i karabinu. Przechodzili także ślepcy prowadzeni przez kilkunastoletnich chłopców o bystrych spojrzeniach. Szli żebracy. Na furach jechały rodziny pogorzalców lub wysiedleńcy. Czasami przemknęło auto osobowe ze szczelnie zasłoniętymi oknami.

Niektórzy z wędrowców prosili w Natalinku o nocleg. Zofia pozwalała im spać w powozowni. Na kolację i śniadanie dawała im zupę z chlebem. Przybysze, w zależności, z której strony szli, przynosili różne wieści o dogorywającej wojnie. Mówili na przemian, że Karol I wyrusza z Wiednia na czele stutysięcznej armii z kilkoma tysiącami dział, że w Niemczech wielka rewolucja, jeszcze większa niż w Rosji, że car Mikołaj żyje i wyrzyna zbuntowanych chłopów i robotników, że ze Świętej Heleny płynie Napoleon, aby wyswobodzić Polskę. Późniejsi wędrowcy, z posrebrzonymi przez mróz brodami, mówili już tylko o Komendancie, ale też każdy inaczej; że jest w niewoli, że na czele wojska z polskimi

orłami na czapkach rozprawia się z Rosjanami, to z Niemcami, to ze wszystkimi zaborcami naraz. Aż dopiero Kuba powiedział Feliksowi, jak jest naprawdę:

– Piłsudski wrócił z Magdeburga. W Warszawie i całym Królestwie powstanie przeciwko Niemcom. W Krakowie rozbrajają Austriaków. We Lwowie Polacy walczą z Austriakami i Ukraińcami. A i w Natalinie coś się zaczyna dziać, zebrał się tłum ludzi.

– Po co? – zapytał Feliks.

– Jeszcze nie wiedzą, ale pewnie uderzą na koszary.

– Zwariowali. Kto nimi dowodzi?

– Nikt, czekają.

– Ilu ich jest? – Feliks pytał z coraz większą stanowczością.

– Trzystu, czterystu, i ciągle nowi dochodzą.

– Mają jakąś broń?

– Kilkadziesiąt strzelb.

– Wykop karabiny! – nagle rozkazał Feliks.

– Już Bysała to robi – odrzekł Kuba.

Gdy oczyszczone z oliwy karabiny załadowali na brykę i już chcieli jechać do Natalina, spostrzegli, że nie ma Józefa.

– Józef! – krzyknął Kuba w głąb domu, ale Józef nie odpowiedział.

– Gdzie on? – niecierpliwił się Feliks.

Ani Feliks, ani Kuba nie pomyśleli, że Józef, choć ma dopiero szesnaście lat, jest za młody, aby wziąć udział w prawdziwej bitwie. Żaden z Józefów nigdy nie był za młody do żołnierki. Jeden po drugim dziedziczyli miłość do szabli i karabinu, tak samo jak dziedziczyli po sobie wygląd. Wszyscy Józefowie, widoczni na obrazach w jadalni, byli jak jedna i ta sama osoba.

Zofia, stojąc na podwórzu z kobietami i dziećmi, ze zrezygnowaniem przyglądała się przygotowaniom mężczyzn do bitwy. Była zła na męża i Kubę, że zamiast pozwolić wojnie, aby się sama skończyła, pragną ją jeszcze napaść śmiercią ludzi. Wojna, z którą Zofia kilka tygodni temu pożegnała się, znowu wróciła do niej, i to tak blisko, że o śmierci męża mogła się w ciągu pół godziny dowiedzieć.

– Po co wam jeszcze Józef – powiedziała ze złością. – Jest za młody, żeby umierać.

– Widziałam, jak biegł tam – żona Teofila Walichrada pokazała na las obok Kamionki.

– Nie może być – zaprzeczył Kuba.

– Uciekł? – zapytał Feliks z niedowierzaniem i myśląc równocześnie, że jeśli Józef uciekł, to on sam ponosi winę za jego tchórzostwo.

Gdy przed laty dowiedział się od Kuby o przepowiedni Angeli, która sprawdziła się na dziadku i ojcu Józefa, Feliks starał się wychowywać Józefa z dala od broni i koni, żeby jak jego ojciec, największy awanturnik w okolicy, nadmiernie się w nich nie rozsmakował. Nawet rzadko zabierał go na polowania. Ale Józef i tak w ukryciu nauczył się władać bronią. Wyszło to na jaw w czasie oblawy na kłusownika, który zabijał zwierzynę w Białym Lesie. Kłusownikiem okazał się dziesięcioletni Józef. Zabijając rysie i wilki doskonalił się w strzelaniu.

– Jeśli uciekł, to dobrze zrobił – rzekła Zofia z zadowoleniem.

– Oni nigdy nie uciekali przed bitwą – cicho powiedział Feliks.

– Któryś z nich musiał wreszcie pójść po rozum do głowy.

– Po co to gadanie – zniecierpliwił się Kuba – on tu zaraz będzie.

Lecz minuty płynęły i Józef nie pokazywał się. Czekali w napięciu, spoglądając w kierunku miasta z obawą, że natalinianie zaczną bez nich. Wreszcie Feliks nie wytrzymał.

– To tchórz – powiedział zdecydowanie. – Dziadek i ojciec, gdyby żyli, zasiekliby go na miejscu. Nie ma co dłużej czekać. Jedziemy. A wy – Feliks zwrócił się do kobiet – napełnijcie wodą wszystkie wiadra i balie, i jak tylko usłyszycie strzały, zamknijcie się w

domu.

Tymczasem Lucjan, kucając obok nóg konia, cały czas uporczywie patrzył w kierunku lasu.

– Jedziemy – ponaglił Feliks i zaraz, mimo że przed chwilą oglądał podkowy, zapytał – koń podkuty?

– Podkuty – odrzekł Bysała. – To jedziemy czy nie jedziemy?

– Tak, jedziemy – powiedział Feliks, wychodząc na stopień bryki, ale wtedy jego nóg uczeplił się Lucjan.

– Czego chcesz!?

Lucjan pokazał na las obok Kamionki i w tej samej chwili mieszkańcy Natalinka po raz pierwszy usłyszeli wypowiedziane przez Lucjana słowo:

– „Józef”.

Wymówił niewyraźnie, ale z pewnością było to: „Józef”. Wszyscy natychmiast spojrzeli w stronę lasu. Kuba, najwcześniej dostrzegając Józefa wychodzącego zza ściany drzew, powiedział:

– Ciągnie coś ciężkiego.

Feliks zwrócił się do Bysały:

– Biegnij mu pomóc.

Po chwili, gdy Józef przyciągnął karabin maszynowy na kółkach, a Bysała przydzwigał skrzynię z nabojami, Feliks podszedł do Józefa i pięścią uderzył go w twarz.

– Za to, że nazwałem cię tchórzem – rzekł po uderzeniu.

Józef z zacisniętymi dłońmi postąpił do Feliksa, ale Kuba, stając pomiędzy nimi, wyjaśnił Józefowi:

– Feliks myślał, że uciekłeś. To dlatego.

Józef nie patrząc na Feliksa załadował karabin maszynowy na brykę.

Gdy Walichradowie wjeżdżali na rynek Natalina, pomiędzy ratuszem a zamkniętymi na kłódki kramami Żydów stało około pięciuset mężczyzn. Półkolem otaczali wejście do ratusza i czerwonego austriackiego starosty. Kilkunastoletni chłopcy zaglądali do wnętrza auta, delikatnie dotykali błyszczącej karoserii i lśniących zderzaków. Po raz pierwszy mogli dotknąć samochodu starosty, bo ich ojcowie stali się teraz mocniejsi od wachmistrza i samego starosty.

Dokoła rynku, w bramach domów i bocznych uliczkach, stały grupy Żydów w czarnych chałatach. Poważni, milczący, zdawali się być strażnikami tłumu zebranego przed ratuszem. Na słyszany z daleka turkot bryki, którą jechali Walichradowie, tłum ścieśnił się i kilku Żydów, przezwyciężając obawy, że zostaną odpędzeni, stanęło zaraz za plecami Polaków.

Natalinian ożywiło przybycie Feliksa. Gdy przyjechał, uświadomili sobie, że to na niego czekali. Był tym, kogo mogli słuchać: obcy w mieście, ale i tutejszy, z bogatego rodu, ale walczył jako zwykły żołnierz, poza tym dezerterski, jak wielu natalinian. Jeszcze był pod apteką, a już natalinianie krzykali:

– Jest!

– Hurra!

– Na Austriaka!

Natalinianie do tej chwili nie mogli się dogadać, od czego zacząć wyzwalenie Polski i tworzenie jej niepodległości. Samorzutnie podzielili się na kilka grup i jedni chcieli w pierwszej mierze wymierzyć sprawiedliwość staroście i wachmistrzowi, do czego najgłośniej podburzali dwaj policjanci, którzy zeszli z posterunku przy ratuszu i przyłączyli się do tłumu. Drudzy, a było ich niewiele, nawoływali, żeby sobie nie zawracać głowy Dieterem, lecz szybko zająć ratusz i mianować polskiego starostę. Inni namawiali, aby natychmiast zająć koszarę, bo nic nie da się zrobić pod flagą pułku austriackiego, a jeszcze inni nieśmiało radzili poczekać na przyście wojsk Komendanta.

Po kilku godzinach, umęczeni kłótnią, z której nic nie wynikło, ucichli. I dopiero wtedy poczuli się naprawdę silni. Bo oto kiedy stali zwartym tłumem w ciszy i spokoju, zrozumieli, że ich zadaniem jest stać na straży, aby przeszkodzić każdemu, kto odważy się przerwać poczęcie niepodległej Polski. Opuścił ich wszelki strach. Mogli z łatwością zemścić się na staroście, który niejednego z natalinian wsadził do więzienia, i na wachmistrzu, który z gorliwością szpetnej prostytutki spełniał każde polecenie starosty. Ale teraz, gdy mogli to zrobić, ci dwaj stali się im obojętni.

W takim momencie pojawili się Walichradowie. Bysała jechał w rozstępujący się tłum natalinian i zatrzymał konia przed schodami ratusza. Józef natychmiast wycelował karabin maszynowy w drzwi wejściowe, zaś Feliks, widząc, iż wszyscy wpatrują się w niego z wyczekiwaniem, poczuł się uprawniony do przewodzenia mieszkańcom Natalina i zapytał:

– Kto służył w wojsku?

Ręk podniosło się więcej, niż Walichradowie mieli karabinów. Zaraz jak natalinianie opuścili ręce, na schodach ratusza stanął wachmistrz Słowik. Po chwili zza pleców wachmistrza wyszedł Dieter z żoną i trzema córkami. Skuleni, nie patrząc na natalinian, podeszli do auta. Słowik machinalnie ruszył za nimi. Dieter nie mógł włożyć kluczyka do drzwi. Ręce mu drżały, pot dużymi kroplami wystąpił na skronie.

– Nie może wycelować – zaśmiał się jeden z wyrostków stojących przy aucie.

Wreszcie Dieter otworzył drzwi. Usiadł za kierownicą i prędko otworzył drugie drzwi, którymi wsiadła żona i dzieci. Wówczas, włączając silnik, spojrzął na Józefa pochylonego nad karabinem maszynowym. Józef mierzył w auto. Ze skroni Dietera zaczęły spadać krople potu.

Wachmistrz, stojąc przy drzwiach auta, nie poznawał starosty, tego starosty, który do niedawna zwykł mawiać, że nad nim jest tylko Pan Bóg i cesarz. Słowik ze zdumieniem stwierdził, że starosta boi się cywilów. Ale dopiero gdy Dieter zaczął powoli ruszać, wachmistrz zrozumiał, że starosta ucieka.

– Panie starosto! – Słowik szarpnął klamkę drzwi.

– Raus! – wymówił Dieter przez zaciśnięte zęby i mocniej nacisnął pedał gazu.

Słowik nie puścił klamki i pociągnięty przez auto, wywrócił się na ziemię. Natalinianie wybuchnęli śmiechem, a chłopcy, jak to robili za uciekającymi psami, obrzucili kamieniami odjeżdżającego austina.

Polacy rozbili wachmistrza i wymierzając mu kilka obojętnych kopniaków zostawili przed ratuszem. Feliks zabrał się do rozdzielania karabinów. Dla pewności, aby dostały się w dobre ręce, dawał je tym mężczyznom, którzy byli w żołnierskich płaszczach.

Po odliczeniu okazało się, że jest sześćdziesięciu mężczyzn uzbrojonych w karabiny, strzelby i samopaly. Pozostałym natalinianom Feliks kazał rozejść się po domach i dozbroić w kosy, widły, co kto może. Po półgodzinie domy w Natalinie zostały ogołoczone z ciężkich i ostrych, a nadających się do walki wręcz, narzędzi. Wszyscy bez mówienia o tym wiedzieli, że będą zdobywać koszary. Zdobycie koszar stało się koniecznością. Natalinianie z każdą upływającą minutą przekonywali się coraz bardziej, że nie wolno im czekać bezczynnie, gdy inni sami wyzwają swoje miasta.

Feliks, choć świadom, że z wojskowego punktu widzenia atak na koszary jest czynem szaleńczym, nie znajdował innego wyjścia. Musieli wyrzucić Austriaków z natalińskiej ziemi. Tego nikt inny nie może zrobić za nich. Poza tym on i natalinianie nie wyobrażali sobie, aby tak długo oczekiwana niepodległość i wolność mogły się narodzić bez rozlewu krwi.

Gdy natalinianie rozdzielili się na dwa oddziały, Feliks, stojąc na bryczce, powiedział:

– W imię Boga Ojca ruszamy.

Do oddziałów dołączyło kilku Żydów, jeden z nich był bez chałata. Na samym końcu, za Żydami, szli chłopcy z karabinami wystruganymi z drzewa. Z daleka wyglądały jak prawdziwe. Żyd bez chałata. Szloma Zelman jednemu z chłopaków odebrał drewniany

karabin, ale chłopak narobił wrzasku, że go Żydzi okradają, i Zelman natychmiast oddał mu karabin.

Na skrzyżowaniu za rynkiem, gdzie nigdy nie wysychała kałuża, oddziały rozdzieliły się. Pierwszy, pod dowództwem Feliksa, skręcił w ulicę prowadzącą do głównej bramy koszar. Drugi, któremu przewodził Kuba, poszedł w kierunku Wisły, żeby zasadzić się pod bramą od strony błon.

Na głównej bramie koszar widniał wytłoczony z miedzianej blachy dwugłowy orzeł. Strzeżony przez dwóch wartowników, wyniośle spoglądał w obie strony ulicy, która biegła pod koszarami i na której teraz pojawili się zbrojni cywile.

Na widok miedzianego orła Józefa ogarnęło podniecenie. Jeszcze nie tak dawno, gdy w tajemnicy wymykał się z Natalinka do miasta, dwugłowy orzeł, wówczas rozpinający skrzydła wysoko nad jego głową, był dla Józefa czymś na podobieństwo obrazu Matki Boskiej, a koszary świątynią, do której dostępu strzegli kapłani w krwawoczerwonych portkach, z karabinami na ramionach. Jako dziesięcioletni chłopak chciwie łowił odgłosy musztry dobiegające zza bramy, wdychał zapach koni i prochu. Także nie opuszczał ćwiczeń, które odbywały się po drugiej stronie koszar, na błoniach ciągnących się kilometrami wzdłuż Wisły.

Gdy z karabinem maszynowym podjeżdżał pod bramę koszar, poczuł się jak świętokradca, ale tylko przez chwilę. Patrząc z ponad celownika karabinu na kapłanów-wartowników, spostrzegł, że mają strwożone twarze. Wówczas ci kapłani przemienili się w kukły w kolorowych mundurach.

– Do roboty. Budować barykadę! – krzyknął Feliks, widząc, że natalinianie stanęli bezradnie przed bramą. – W tym miejscu – Feliks nakreślił linię w odległości dwudziestu metrów od bramy.

Nad bramą, w małych okienkach wartowni, ukazały się głowy oficerów. Feliks wyobraził sobie, jak śmiesznie on i oblegający muszą wyglądać z góry, i jeszcze raz zdał sobie sprawę, że jest samobójstwem zaatakować koszary. Wystarczy, żeby tylko Austriacy rzucili kilka granatów, i przestaje istnieć cywilbanda dowodzona przez Feliksa. Ale natalinianie, nie myśląc o tym, z zapalem zabrali się do wznoszenia barykady. Spokojnie, jakby ci, przeciwko którym ją budują, znajdowali się poza zasięgiem widzenia, znosili z pobliskich domów dziurawe łodzie, belki, worki z piaskiem, beczki z wodą, płyty grobowe z podwórka kamieniarza.

Gdy stanęła wysoka barykada i natalinianie zajęli na niej pozycje strzeleckie, dwaj wartownicy, którzy dotąd przyglądali się Polakom, weszli za bramę. Wówczas Feliks odniósł wrażenie, iż to wszystko dzieje się na niby, że oni na niby chcą zaatakować koszary, a Austriacy na niby zamierzają się bronić.

Tymczasem Kuba z drugim oddziałem znalazł się na błoniach. Zajęli pozycje naprzeciwko bramy koszar, mniejszej od tej z cesarskim orłem, ale także solidnej, z kutego żelaza, i zaczęli kopać rowy strzeleckie. Nie ukończyli ich, gdy z drugiej strony koszar usłyszeli serię z karabinu maszynowego. Kuba, pewien, że Feliks rozpoczął bitwę, kazał przerwać kopanie i przygotować się do walki.

Ale następnych strzałów nie było. To tylko Józef, nie mogąc znieść przedłużającego się wyczekiwania, puścił krótką serię w orła na bramie. Kule wyznaczyły białą linię na prawym skrzydle orła i poza tym nic więcej. Oficerowie na wartowni podchodząc do okien z niechęcią spoglądali na Józefa. Jakby im przeszkodził w grze w karty, pomyślał Feliks, który dalej nie mógł się wyzbyć uczucia nierealności tej sytuacji. Przez chwilę trzymała się Feliksa myśl, że gdyby to wszystko działo się naprawdę, to on i natalinianie powinni już nie żyć od godziny. Nie wiedział, że dowódca huzarów, pułkownik Kramer, otrzymał rozkaz, żeby wobec miejscowej ludności zachowywać się biernie i za wszelką cenę unikać prowokacji.

Dla pułkownika Kramera był to bezsensowny rozkaz, gdyż właśnie wobec buntowników

armia austriacka była jeszcze dostatecznie silna.

– Ten rozkaz tylko osłabi Austrię – powiedział pułkownik do oficerów na wartowni. – Kto godzi w cesarstwo, jest wrogiem, bez względu na to, czy to żołnierz, czy cywil, kobieta czy dziecko.

Kapitan Handke myślał inaczej, rzekł:

– Osłabi, panie pułkowniku, jeśli nie wykonamy tego rozkazu.

Kapitan Handke już dwa lata temu uzmysłowił sobie, że wojna stała się celem samym w sobie, że trwa, bo się zaczęła i żaden z monarchów nie chce pierwszy poddać się, że o zamachu na księcia Franciszka Ferdynanda nikt nie pamięta, a i ten, który chciał pomścić następcę tronu, leży w krypcie kapucynów. Teraz wiedząc, iż pułkownik zawiadomił sztab o sytuacji w Natalinie, z niepokojem oczekiwał odpowiedzi. Bał się, żeby w sztabie nie zmienili poprzedniego rozkazu. Handke, w przeciwieństwie do pułkownika i innych oficerów, pamiętał, że nie wszyscy żołnierze w austriackich mundurach są Austriakami. W pułku znajdują się Czesi, Chorwaci, Węgrzy, i oni mogą sprzeciwić się strzelaniu do Polaków, którzy pod koszarami gotowali się do bitwy z tak wielką niefrasobliwością i nieznaną rzemiosła wojennego, aż to drażniło Handkego. Ci Polacy, myślał Handke, zachowują się jak myśliwi na ambonach, pewni, że nawet stado wściekłych wilków nic nie może im zrobić.

– Panie pułkowniku – odezwał się porucznik Morris, który od pierwszej chwili chciał rozprawić się z Polakami – tę sytuację możemy uznać za obleżenie i wówczas nie obowiązują nas rozkazy.

– Bo i w gruncie rzeczy jest to obleżenie – Morrisa poparł kapitan artylerii. – Przecież odcięli nam drogi wyjścia.

– Nie prosiłem panów o radę – pułkownik Kramer przerwał rozmowę.

Kramer rozmyślał, jak mogło dojść do tego, że nie wiadomo: wojna trwa jeszcze czy nie? Zastanawiał się, co sprawiło, że dwie wielkie armie, rosyjska i austriacka, nie potrafiły przeprowadzić prawdziwej wojny, która, jak opisywały wszystkie podręczniki dla wyższych dowódców, rozstrzygała się w jednej albo dwu wielkich bitwach. Myślni często wracał do opisów bitew: do wielkiej bitwy pod Lipskiem, w której brało udział pół miliona żołnierzy i która trwała trzy dni, od dziewiątej rano do wieczora trzeciego dnia, do bitwy pod Essling i Wagram, do niedawna największej bitwy świata, a trwającej też kilka dni.

Do wartowni wszedł Stabsgefreiter z centrali telefonicznej.

– Panie pułkowniku! – podoficer podał depeszę Kramerowi.

Pułkownik po przeczytaniu depeszy zwrócił się do porucznika Morrisa:

– Panie poruczniku.

– Słucham, panie pułkowniku – Morris stanął na baczność.

– Proszę wywiesić białą flagę.

– Tak... Nie zrozumiałem, panie pułkowniku.

– Proszę wywiesić białą flagę – powtórzył Kramer.

Morris myśląc, że Polacy otrzymali posiłki z ciężkimi działami, podszedł do okna. Ale na placu przed koszarami siedzieli ci sami cywile, zajęci rozmową i paleniem papierosów.

– Panie pułkowniku, to...

– Wykonać rozkaz. Natychmiast – pułkownik Kramer wstał. – I proszę przygotować się do opuszczenia koszar. Wyruszamy za godzinę. Kierunek: Wiedeń.

Austriacy równymi czwórkami, jak na ćwiczeniach, wyjeżdżali z koszar. Biała flaga na długim drzewcu, źle umocowana w oknie wartowni, opadła nisko i wyjeżdżający środkiem bramy żołnierze musieli głowy chylić do końskich szyj. Pierwszy, na siwym nakrapianym czarnymi łatami koniu, jechał pułkownik Kramer – obojętny, nie patrzył na natalinian. Za nim, na czele pierwszego szwadronu huzarów, jechał porucznik Morris. Trzymając rękę na szabli, wyzywająco patrzył na Feliksa i Józefa, jakby chciał ich sprowokować do strzelania. Dalej jechały działa i wozy amunicyjne. Za artylerią wozy z rannymi, żywnością i co

cenniejszym dobytkiem zabranym z koszar, na końcu kapitan Handke ze swoim szwadronem.

Feliks, patrząc na przesuwane się kilka metrów przed nim szeregi koni i żołnierzy, nie czuł się zwycięzcą. Poddanie się Austriaków zaskoczyło go. Pomyślał, że mogli tak samo wyjść bez wywieszania białej flagi. Józef był tym upokorzony. Stwierdził, że Austriacy wzgardzili walką z nimi, że poddali się, ale sami ze sobą uzgodnili warunki kapitulacji. Toteż gdy na ulicy pod koszarami umilkł tętent koni, Józef, żeby wyładować gniew, wystrzelił z karabinu w okna wartowni. Posypały się szyby i odprysnęły białe drzazgi, biała flaga upadła na ziemię z drzewcem przeciętym na pół.

## ROZCZAROWANIE FELIKSA

Feliks z sześćdziesięcioma uzbrojonymi w karabiny i strzelby natalinianami zajął koszary, żeby do czasu zapanowania polskiej władzy strzec ich przed powracającymi do Austrii oddziałami austriackimi i przed grabieżą ludności cywilnej. Kazał od wewnątrz zamknąć bramy, na murach rozstawił wartowników, a sam objął posterunek na wartowni.

Tymczasem pod bramą z dwugłowym orłem znów zbierał się tłum natalinian. Oprócz mężczyzn, których Feliks po wyjeździe huzarów odesłał do domów, przyszły kobiety, dzieci, starcy. Nadchodzili uradowani, że Austriaków nie ma, ale na widok zamkniętej bramy koszar na ich twarzach pojawiał się gniew.

O zmierzchu, gdy Feliks i Kuba zastanawiali się, czy nie zostaną zmuszeni do walki z mieszkańcami Natalina, którzy coraz natarczywiej domagali się otwarcia koszar, pod bramą z dwugłowym orłem stanął sędzia Radecki i kapitan w polowym mundurze austriackim, ale z białą-czerwoną opaską na rękawie. Natalinianie domyślając się, że Radecki, który w czas wojny mieszkał u hrabiego Potemkowskiego w Kasztanii, nie przychodzi pod koszary z próżnej ciekawości, zaczęli się uskarżać na Walichrada, że bezprawnie zajął koszary.

– Proszę się uspokoić, obywatele – powiedział sędzia Radecki. – Jesteśmy przedstawicielami nowej polskiej władzy i pan Walichrad musi podporządkować się naszym rozkazom. Proszę wykonywać swoje obowiązki – zwrócił się do kapitana.

Kapitan podszedł bliżej bramy i patrząc w rozbite okna wartowni, rzekł donośnym głosem:  
– W imieniu Komitetu Samoobrony Narodowej nakazuję otworzyć koszary.

Feliks nie zdążył odpowiedzieć, a chciał, żeby Radecki i kapitan weszli do koszar i wspólnie uzgodnili, jak dalej zabezpieczyć mienie poaustriackie, gdy z tłumu rozległ się okrzyk:

– Władza w ręce robotników i chłopów! Jak w Rosji!

Kapitan i sędzia prędko odwrócili się, żeby dojrzeć, kto krzyczał. Wtedy na barykadę, wokół której stali natalinianie, wyszedł stary Płach w mundurze gwardii Napoleona, ze srebrnymi haftami wyłogów, i zaczął mówić:

– Polacy, nie bierzmy przykładu z Rosji. W tym mundurze – Płach uderzył się w piersi – mój dziad szedł pod Napoleonem na Rosję.

– Ale szybko zawrócił! – ktoś krzyknął ze śmiechem.

– Polacy, Rosja na wieki pozostanie... – Płach zachwiał się i tracąc równowagę spadł z barykady. – O Boże, mój mundur – zajęczał siedząc na ziemi.

Gruchnął śmiech. Na barykadzie, na miejscu Płacha, stanął Mielczarek, woziwoda.

– Nowa, odrodzona Polska – Mielczarek przekrzyczał śmiech – musi nam wszystkim dać



pracę i chleb. Jeśli nie będziemy mieli co do gęby włożyć, to jaka różnica, czy w Polsce, czy w Austrii. I tak zdechniemy z głodu.

– Mielczarek ma rację! – rozległy się okrzyki.

– Słuchajcie Mielczarka!

– Ale żeby dla wszystkich starczyło pracy i chleba – mówił dalej Mielczarek – musimy sobie wybrać króla mądrego i sprawiedliwego.

– Dobrze gada. Trzeba nam sprawiedliwego króla.

– Niech Mielczarek zostanie naszym królem! – ktoś zaproponował.

– Precz z królem! – wtrącił ten sam głos, który domagał się władzy dla robotników i chłopów. – Do rządu wybierzemy chłopów i robotników, oni najlepiej wiedzą, co biedakowi potrzeba.

– Słusznie.

– Ale żeby chłop był królem?

– Nie potrzeba nam króla.

– Cesarza!

– Zrobimy rewolucję jak w Rosji.

– Ty komunisto!

– Ty sługusie panów!

Dwóch mężczyzn zaczęło się bić. Po chwili, gdy jeden i drugi znalazł obrońców, już było się naraz kilkanaście osób. Ci co stali dalej od bramy i nie wiedzieli, kto z kim się bije, zacisnęli dłonie i wrogo spoglądali dokoła.

Feliks obserwując z wartowni rozjątrzonych natalinian dziwił się, że jeszcze kilka godzin temu ci sami ludzie zachowywali się całkiem inaczej, bez szemrania słuchali rozkazów, jeden drugiemu pomagał i gdyby doszło do bitwy, to jeden za drugiego gotów był polec.

Bójki wybuchły w kilku miejscach. Kapitan, chcąc uspokoić ludzi, strzelił z pistoletu w powietrze. Ale strzał tylko sprawił, że z koszar, łamiąc rozkaz Feliksa, wybiegli uzbrojeni natalinianie i dołączyli do tłumu. Wówczas Feliks z rezygnacją zwrócił się do Kuby:

– Poszukajmy Józefa. Wracamy do domu.

Józefa nie mogli odnaleźć, więc sami, wyjeżdżając przez bramę od strony Wisły, opuścili koszary. Kiedy byli blisko Natalinka, posłyszeli strzały.

Nazajutrz dowiadując się, że w strzelaninie pod koszarami zginęło dwóch natalinian, Feliks poprzysiągł sobie, iż jego noga nigdy nie stanie w mieście. Także nie chciał, aby miastowi nachodzili jego ziemię, i przy drodze z Natalina do Natalinka kazał wbić tablicę z napisem, że droga należy do Walichradów i obcym zabrania się po niej jeździć i chodzić.

Feliks zniechęcił mieszkańców Natalina za to, że choć stanowią jedną wielką rodzinę, to jest im bez różnicy, czy strzelają do Austriaków, czy do siebie.

## NIEPODLEGŁOŚĆ

„Do ludności powiatu natalińskiego

Rodacy, tutejszy Komitet Samoobrony Narodowej objął z dniem dzisiejszym naczelną władzę w powiecie. Jako naczelną władzę pozostawiamy nadal w mocy wszystkie obecnie istniejące urzędy. Od dziś dnia pełnią one swoje czynności imieniem Polskiego Rządu. Witając was jako obywateli niepodległej i zjednoczonej Polski, wzywamy do rozwagi, ładu i

spokoju. W imieniu Ojczyzny zaklinamy, byście karnym posłuchem rozkazów obecnej władzy dali dowód, że zmartwychwstała Polska ma w was godnych siebie synów, żadnych niepokojów i zamieszek. W spokoju, powadze i cierpliwości oczekujcie chwili, w której polskie władze doprowadzą do końca budowę naszej państwowości. Niezgoda i brak karnośći zgubiły ongiś naszą Ojczyznę, niechaj obecnie zgoda, karność, jedność i miłość utrzyma Ją w mocy i sile.

Natalin, dnia 2 listopada 1918 roku  
Powiatowa Komenda Samoobrony”

Takie obwieszczenia, wydrukowane u Cwyngiera na polecenie sędziego Radeckiego, zawisły w wielu punktach miasta, na ratuszu, w którym dotąd nikt nie przebywał, na zamkniętej poczcie, przy kościele i na murach koszar, obok bramy z dwugłowym orłem.

Więcej zamówień Cwyngier nie otrzymał w nowej Polsce. Był tym niepomernie zaskoczony. Myślał, że lada dzień zacznie drukować gazety, książki, druki reklamowe i druki dla urzędów, a tymczasem ludzie nawet klepsydry przestali zamawiać. Klepsydry nagle stały się jaśniepańskim wymysłem, bo kto widział – mówili zdemobilizowani żołnierze – żeby się tak ze śmiercią ceregielić.

Mieszkańcy Natalina przeczytali obwieszczenia i przez kilka tygodni, zanim wiatr ich nie pozrywał i nie rozwłóczył po mieście, czekali na urzędników Komendanta, który objął władzę w Warszawie. Gdy jednak do ratusza nie wprowadzili się polscy urzędnicy, natalinianie poczuli się zdradzeni i opuszczeni, jak gdyby dopiero teraz ich miasto znalazło się na samej granicy, a nie zewsząd otaczała je Polska.

W miarę jak upływały dni i wysłannicy Komendanta wciąż nie pokazywali się, w mieście robiło się coraz bardziej pusto i cicho. Nieliczni Polacy, którzy na własną rękę usiłowali uruchamiać urzędy, byli pomawiani przez sędziego Radeckiego o anarchię, że swoją samowolą rozbijają jedność dopiero co powstałej Polski. Aż nadszedł dzień, w którym natalinianie uświadomili sobie, że brakuje im głosu trąbki pułkowej, który od niepamiętnych czasów dobywał się z austriackich koszar i wnikał pomiędzy ulice i do domów, a w pogodne dni płynął z flisami daleko wzdłuż Wisły. Melodie, trzy razy dziennie wygrywane przez pułkowego trębacza, zastępowały mieszkańcom Natalina zegarki i jednocześnie były potwierdzeniem, że Jego Cesarsko-Królewska Mość czuwa nad swoimi poddanymi. Teraz natalinianie pozostali bez żadnej opieki.

Tylko w pałacu Potemkowskich radowano się z opieszałości w ustanawianiu polskiej administracji. Sam hrabia Potemkowski starał się, żeby polskie urzędy zaczęły pracować jak najpóźniej i żeby jak najpóźniej zaczęło się zwykłe, normalne życie. W tym celu, posługując się Radeckim, skłócił z sobą Polaków i Żydów, tak że skończyło się to pogromem Izraelitów. Potemkowski robił to wszystko, gdyż na ziemi natalińskiej zapragnął utworzyć samodzielną republikę. W tej sprawie wysłał do Krakowa jednego ze swoich kuzynów. Miał on w Komisji Galicyjskiej przedstawić projekt utworzenia Republiki Natalińskiej z hrabią Euzebiuszem Potemkowskim jako prezydentem. Hrabia, pewien uznania swego projektu, mianował ministrem policji i wojska w Republice Natalińskiej kapitana Słupka. Ale kapitan, który z czterema żołnierzami pilnował koszar, nie cieszył się długo stanowiskiem ministra. Któregoś dnia do Kasztanii przyjechał wysłannik z Krakowa i hrabia Euzebiusz wraz z sędzią Radeckim wyjechali w niewiadomym kierunku. Kapitan, nie otrzymując żołdu przez dwa tygodnie, pozostawił koszary i z żołnierzami także wyjechał z Natalina.

Nocą, po odjeździe kapitana Słupka, natalinianie wtargnęli do koszar. Bezgłośnie, pojedynczo, po dwoje albo całymi rodzinami zanurzali się w bramie koszar. O północy na dziedzińcu koszar zrobił się ruch jak na jarmarku, tylko ludzie zachowywali się inaczej niż tam. Nikt nikogo nie poznawał, nikt się nie witał, nie rozmawiał. Natalinianie szybko plądrowali kwatery żołnierskie, magazyny, stajnie. Żydzi, w rozwianych chałatach podobni

do nietoperzy, byli lepiej od Polaków przygotowani do grabienia koszar. Mieli łomy do rozbijania kłódek i wózki na czterech kółkach. Nim się Polacy zorientowali, że w rękach można co najwyżej wynieść worek kaszy, belę siana albo wytoczyć beczkę z marmoladą. Żydzi już ciągnęli wysoko wyładowane wózki. Wtedy rozległ się okrzyk:

– Żydzi za dużo kradną!

– Bić ich! – ktoś zapalczywie dodał.

Natalinianie znieruchomieli. Umilkły turkoty kół, sapania i szeptem wypowiedane przekleństwa.

– Lepiej bez awantur – z krążganków dobiegł surowy głos – bo jeszcze tu wojsko sprowadzimy.

O brzasku wszystko, co z koszar dało się wynieść, przeszło na własność mieszkańców Natalina. Podług sprytu i chytrych podzielił się puszkami przeterminowanej wołowiny, zapleśniałą mąką, kaszą, grochem, sianem i owsem dla koni, starymi butami, kitami do czak, żołnierskimi guzikami, których były dwie skrzynie, lampami naftowymi, kamfina i świecami marki „Apollo”, którymi jeden z magazynów wypełniony był po sufit. Świec starczyło dla wszystkich. Potem natalinianie bardzo je sobie chwalili. Były z białej jak śnieg stearyny i paliły się równym i jasnym płomykiem.

Cwyngier przez kilka tygodni czekał w drukarni na zamówienia. Nie wychodził z niej w obawie, że wtedy może ktoś przyjść i jego nie będzie. Nie mógł zrozumieć, dlaczego jeszcze nie przyjechali redaktorzy „Głosu Ziemi Natalińskiej” i nie drukują swojej gazety, dlaczego nikt nie zamawia kalendarzy, dlaczego w drzwiach drukarni nie pojawia się ani jeden poeta z wierszami zapisanymi w zeszycie i nie każe ich sobie wydrukować ładnymi, ozdobnymi literami.

Wreszcie, nie mogąc doczekać się zamówień, wyszedł z domu. Przy okazji chciał zobaczyć, jak trzyma farba na wydrukowanych przez niego obwieszczeniach „Do ludności powiatu natalińskiego”. Ale nie było ani jednego z obwieszczeń. Wówczas szybko wrócił do domu i z przestachem powiedział do żony, że skoro w mieście nie ma żadnego śladu po jego pracy, to być może ludzie myślą, że on nie żyje.

– To wydrukuj cokolwiek i przyklej na mieście – poradziła Cwyngierowa, niezbyt przejmując się zmartwieniem męża.

– Jak to, mam drukować bez zamówienia? – oburzył się Cwyngier.

– Wszystko jedno. Na świecie i tak dzieją się dziwne rzeczy. Książdz mówił, że od wschodu idzie czerwona zaraza i jeśli jej nie powstrzymamy, to niedługo czeka nas koniec świata.

– E, tam, koniec świata – rozłożył się Cwyngier. – Wydrukowałem tysiące książek z przepowiedniami końca świata i nic. Chociaż może to i dobrze, że ludzie mówią o końcu świata. Daj Bóg, zacznij się dobry interes.

– Tobie tylko drukarnia w głowie.

– Bo teraz jest gorzej niż koniec świata. Nieboszczyków chowają do ziemi bez klepsydr, jakby ludzie wstydu nie mieli.

Na drugi dzień Cwyngier znowu wyszedł z domu. Akurat spadł pierwszy śnieg. Na rynku zobaczył Żyda Dwojrę i szybko poszedł w przeciwną stronę, żeby się z nim nie spotkać. Przed wybuchem wojny Dwojra proponował Cwyngierowi, żeby razem wydawali gazetę pod tytułem „Świat i Polityka”. Cwyngier odmówił i od tej chwili Dwojra pałał nienawiścią do drukarza i często wobec ludzi mówił, że Cwyngier jest największym głupcem w Natalinie, bo zrezygnował z wielkich pieniędzy, jakie zdaniem Dwojry musieliby zarobić na wydawaniu gazety.

Cwyngier obchodząc rynek dokoła uzmysłowił sobie, że poza Dwojrą nie widział ani jednej osoby. Przestraszony, że w mieście stało się coś złego, wybuchła epidemia albo

naprawdę zbliża się koniec świata, zakołatał do bramy kamienicy, w której mieszkał znajomy aptekarz. Lecz bramy nikt nie otworzył, ani tej, ani następnych, do których dobijał się Cwyngier. Zewsząd odpowiadały głuche dudnienia, jak z wymarłych domów. Toteż kiedy po chwili znowu zobaczył Dwojrę, jak niepewnym krokiem przecina rynek, nie bacząc, iż to najzagorzalszy wróg, podbiegł do niego.

– Panie Dwojra.

Dwojra nie zatrzymał się.

– Panie Dwojra, co się stało, że ludzi nie ma?

– To przez pana – Dwojra przystanął i z nienawiścią spojrzął na drukarza.

– Na Boga, co przeze mnie?

– Przez pana pozamykali się w domach. Gdyby wychodziła nasza gazeta, bez przerwy pisalibyśmy o Komendancie, że już przyjeżdża do Natalma, że jego wysłannicy już są w drodze, i podtrzymywalibyśmy tę wiarę tak długo, dopóki naprawdę nie przyjechaliby urzędnicy i wojsko z Warszawy. Pan nie zdaje sobie sprawy, jaką siłę ma słowo drukowane. A tak, co, bez naszej gazety ludzie zubożeli prawie na śmierć i rozczarowali się do tej Polski, bo uwierzyli, że nowa Polska to nowe życie. Wystarczyłoby, gdybyśmy tylko napisali, że to hrabia Potemkowski postarał się, żeby rząd w Warszawie zapomniał o Natalinie, to nawet dzieci wyskoczyłyby z łóżek.

– Panie Dwojra, ogłośmy tę wiadomość. Ja wydrukuję na kredyt.

– Za późno. Sam pan widział, nawet się im nie chce drzwi otworzyć. Nie wiem, co będzie, kiedy się jedzenie po domach skończy.

– To co robić?

– Nic. Trzeba przeczekać.

## ŻYDZI NATALIŃSCY

Perutz, najbogatszy Żyd w Natalinie, wiele lat przed wojną wyjechał do Francji. Pod Paryżem wybudował fabrykę mebli. Na wieść, że rodzi się niepodległa Polska i że w niej też będzie można prowadzić dobre interesy, chciał natychmiast, z dużym kapitałem, wracać do swego rodzinnego miasteczka.

Lecz tuż przed wyjazdem, gdy był już spakowany, dostał list z wiadomością o pogromie Żydów w Natalinie. Wówczas postanowił poczekać jeszcze jakiś czas, aż sytuacja w Polsce unormuje się.

Polacy pobili i obrabowali Żydów w miesiąc po odjeździe huzarów. Później sami nie wiedzieli, jak do tego doszło. Tamtego dnia, rozgniewani na przedstawicieli Komitetu Samoobrony Narodowej, że zbyt opieszale zabierają się do organizowania administracji, wyszli tłumnie na rynek. Ktoś wpadł na pomysł, żeby wysłać delegację po sędziego Radeckiego i niech Radecki odpowie, dlaczego Komitet poprzestał na rozwieszeniu obwieszczeń zwiastujących odrodzenie Polski i nie zabrał się do rządzenia w imię nowej Polski.

Ale gdy przyjechał Radecki, a wraz z nim, w ósmioosobowym fiacie, hrabia Euzebiusz, natalinianie spokornieli. Ci, którzy przedtem nawoływali, żeby rozliczyć z pracy członków Komitetu Samoobrony Narodowej, milczeli. Jakoś wówczas patrząc na fiata, hrabiego i sędziego, zwątpili, że naprawdę nastąpiła Polska. Niektórzy mieli już wcześniej wątpliwości,

czy tak nagle, z dnia na dzień, bez krwawej bitwy, bez ukazania się Matki Boskiej na niebie, mogła zmartwychwstać Polska.

Sędzia Radecki po wysłuchaniu kilku nieśmiałych głosów, że w Polsce powinna zapanować równość, że wszystkie dzieci muszą chodzić do szkół, że dla wszystkich musi być praca, wyszedł na stopień fiata i zaczął mówić z namysłem:

– Rodacy, pan Bóg pozwolił nam przeżyć wojnę i doczekać tej wielkiej chwili, kiedy z naszej polskiej ziemi odeszli zaborcy i staliśmy się krajem wolnym i niepodległym. Obywatele – Radecki uniósł ręce do góry i chwilę trzymał je jak kapłan nad pucharem wina – wszystko, co widzicie, jest nasze, i ziemia, i niebo nad głowami. Ale to, że mamy ziemię, to jest dopiero początek. Musimy tę ziemię uczynić bogatą i mocną.

– Powiedzcie tylko, co mamy robić, a zaraz się zabierzemy do roboty – zawołał Jemioła z Kamionki.

– Pracy dla nikogo nie zabraknie – zapewnił sędzia. – I w odrodzonej Polsce Polak będzie pracował dla Polaka i dla swojej ojczyzny, na prawach przez Boga ustanowionych, bo wobec niego wszyscy jesteśmy równi.

– Chcemy być równi także wobec ojczyzny – powiedział Golik, rozwoziciel mleka.

– Tak, oczywiście – potwierdził Radecki – jednakże musimy zdać sobie sprawę, że na świecie są biedni i bogaci, bo tak już jest świat urządzony. Ale my, Polacy, wykrwawieni w walkach o ojczyznę, musimy się nauczyć, że posiadanie dóbr nie dzieli ludzi, lecz łączy korzystających z tych dóbr w jedną wielką rodzinę. To bolszewicy, chcąc odwrócić nieodwracalne prawa boskie, zapominają, że jesteśmy tylko pyłkiem u stóp Pana Boga. Gdyż jakąż jest w gruncie rzeczy różnica pomiędzy tymi, co posiadają dobra, a tymi, co nie posiadają? Różnica w tym, że jednych majątności przygniatają brzemieniem obowiązków – sędzia dłużej zatrzymał spojrzenie na Potemkowskim – nakazują im rządzić i troszczyć się o całość, drugim natomiast pozwalają pracować uczciwie i żyć bez troski.

Twarze mieszkańców Natalina zrobiły się chmurne. Spoglądali wrogo na hrabiego Potemkowskiego uświadamiając sobie, że sędzia przemawia w jego imieniu, a nie w imieniu odrodzonej Polski.

– Ja już tam wolę, żeby mnie przygniatał ciężar majątku – odezwał się stojący w pierwszym szeregu krawiec Sołtysek.

– My też chcemy żyć tak, jak pan hrabia.

– Taki to wszystko ma, bez pracy – dodał Golik.

– Obywatele – z napomnieniem rzekł Radecki – tak mówicie, gdyż nie zdajecie sobie sprawy z ciężaru obowiązków, jakie dźwiga na sobie pan hrabia. Chcecie pracy? To kto wam ją da, jak nie ten, który ma ziemię.

– My też chcemy ziemi.

– Po co jednemu hrabiemu tyle ziemi?

– Tak, to jest niesprawiedliwe! – krzyknął stojący za plecami Polaków Szloma Zelman, ubrany w świąteczny chałat. – Jeden człowiek ma za dużo ziemi, a drugi za mało. Trzeba każdemu po równo rozdzielić.

Polacy ze zdziwieniem spojrzeli na Zelmana, a Golik stwierdził:

– No i ma rację.

– Wy jemu rację przyznajecie? – z oburzeniem zapytał sędzia, palcem wskazując na Zelmana. – Myślicie, że po co tutaj przyszedł? Żydzi go wysłali, żeby się dowiedział, o czym mówimy i w zależności od tego podnieść ceny. To Żydzi przyczynili się do upadku naszego narodu, bo im jest obojętne, w jakim państwie żyją. Złoto ma wszędzie taki sam kolor. To krwio pijcy naszego narodu. Oni są właścicielami sklepów i dyktują ceny, a my na nich pracujemy. Powiedzcie, czy któryś z was widział Żyda pracującego na roli? Nie. To wy pracujecie, a oni was okradają z zarobionych ciężko pieniędzy. Dla nich nasza święta ojczyzna nic nie znaczy, bo ich ojcowizną jest pieniądź! – Radecki mówił coraz głośniejszym głosem. –

Ale od dzisiaj będzie inaczej. Już nam Żyd nie będzie chleba wydierał, bo my tutaj zostaniemy gospodarzami. A jeśli im się to nie spodoba, to niech jadą do Ameryki.

– Co prawda, to prawda, zawsze nas okradali – przyznał aptekarz.

Szloma Zelman chciał zapytać, czy jego ojciec, który utrzymuje rodzinę ze sprzedaży sznurówek do butów, jest tym krwio pijcą wspomnianym przez sędziego, ale nie zdążył. Radecki znowu mówił:

– Wy nie macie co do gęby włożyć ani wasze dzieci, a oni mają sklepy pełne towarów.

Zelman spostrzegł, że twarze Polaków zmieniają się, że niektórzy z nich spoglądają na niego z coraz większą wrogością, i wówczas zrozumiał, dlaczego Żydzi widząc Polaków zbierających się na rynku zamykają się w swoich domach. Przypomniało mu się słowo „pogrom” i ogarnął go strach. Jeszcze nie będąc „bar micwa”, słyszał to słowo od Żydów uciekających z Rosji. Wymawiali je szeptem i z przerażeniem.

– Wy głodujecie – mówił sędzia uniesionym głosem – a oni czekają, aż ceny podskoczą. Zobaczcie – Radecki pokazał na stojące za plecami Polaków kramy żydowskie – tam półki uginają się od towarów.

– Nieprawda – wykrztusił Zelman niepewnym głosem, gdyż akurat co do towarów, to sędzia miał rację; u Zelmana w izbie wisiało dwieście niesprzedanych sznurowadeł.

– Idźcie i przekonajcie się sami – namawiał Radecki.

Polacy posłuchali. Zelman wyrwał się pod naporem ciał. Żeby nie zostać stratowanym przez pędzących w stronę kramów, szybko usiadł, a po chwili, gdy rozległ się brzęk szkła, modląc się: „Boże nasz. Królu świata, Sędzio sprawiedliwy”, uciekł z rynku do ogrodu za kościołem katolickim. Ogród ten wydał mu się jedynym bezpiecznym miejscem w Natalinie.

Zelman od dawna chodził do księżowskiego ogrodu. Pierwszy raz zaprowadził go tam Józef Walichrad, z którym poznał się, kiedy obaj mieli po dziesięć lat. Zelman mieszkał blisko koszar i często widział przechodzącego ulicą Józefa. Także Józef obserwował Zelmana, który siedział na progu dwuizbowego domu. Byli sobie ciekawi. Ale poznanie się przyniosło im rozczarowanie. Zelman wcale nie miał uciętej fujary, jak to mówiła kucharka, a Józef był taki sam, jak wszystkie chłopaki z Natalina, z tą różnicą, że bił nie tylko żydowskich chłopaków, lecz i gojów. W księżowskim ogrodzie Zelman po raz pierwszy usłyszał organy z kościoła katolickiego. Był zdumiony, że ich dźwięk raz przypomina głos fujarki, raz trele skowronka, to modlitwę „El mole rachmin” i nagle potrafi przemienić się w głos trąby, jakiej nie miała pułkowa orkiestra. W ostatnim czasie, gdy zabrakło Józefa, który z karabinem maszynowym uciekł do wojska, Zelman rzadziej przychodził do ogrodu. Brakowało mu Józefa i długich rozmów z nim o bogach. Odczuwał żal do niego, że uciekając do wojska nie zabrał go z sobą.

Żydzi przez kilka dni nie wychodzili z domów. Ci, którzy mieszkali przy rynku, patrzyli zza firanek na powywracane kramy, na sklepy z wybitymi drzwiami i oknami. Gdy po dwóch tygodniach stanęli za kontuarami swoich sklepów, w których tylko powyginane półki i zapachy świadczyły o wczorajszej zasobności, jak gdyby zapomnieli o zniewagach doznanych od Polaków. Jak dawniej witali ich uniżonymi ukłonami i z przymilnym uśmiechem. Szloma Zelman, widząc to, wyzwiał ojca, rabina i wszystkich Żydów w mieście od tchórzy, i wówczas rozgniewany wymówił święte imię Boga. Powiedział: „Jahwe, jesteś kanalia”. I czekał na śmierć. Lecz minęło kilka dni i nie zdarzyło się nic, co by ją przepowiadało, nawet nie skaleczył się ani nie ugryzł go pies gojów. I Zelman przestał bać się Boga.

Perutz jednak wrócił do Natalina. Tylko że wtedy, kiedy się zdecydował na powrót, mieszkańcy miasta już siedzieli w pozamykanych domach, obojętni na to, co dzieje się dokoła. Uczuciu obojętności opierało się tylko kilku bogatych Żydów i Polaków.

Jampaller i Landbaum czekając na Perutza liczyli, że jego pieniądze i niewyczerpane pomysły na ich robienie wypędzą z Natalina niewiarę w nową Polskę. Pamiętali, że zdolności

i ruchliwość Perutza w interesach poruszały dawniej cały powiat. Na przykład dla kobiet cierpiących na bezpłodność Perutz w wielkiej tajemnicy sprzedawał łóżka z sypialni cesarzowej Marii Teresy, która szesnaście razy zachodziła w ciążę. Stało się to bezpośrednim powodem wyjazdu Perutza z Natalina, gdyż wyszło na jaw, że we Wschodniej Galicji jest kilkadziesiąt łóżek Marii Teresy.

Perutz wysiadając z pociągu na dworcu w Natalinie był zdumiony, że witają go tylko Landbaum i Jampaller, a nie, jak to raz miało miejsce, licznie zgromadzona gmina. Landbaum i Jampaller zaraz mu powiedzieli, co dzieje się w mieście.

- Nawet do bóżnicy nie chodzą? – zdumiał się Perutz.
- Ostatnim razem było nas sześciu i rabin.
- A Waser?
- Pilnowaliśmy go – odrzekł Landbaum. – Dzisiaj rano jeszcze nie wyjechał.
- Dalej chce sprzedać restaurację?
- Nawet za pół ceny.
- Więc kupimy za jedną czwartą. Prowadźcie do Wasera.

Po krótkim targu Perutz kupił od Wasera kosztowną restaurację, w której tak dawno temu, że już nikt nie pamiętał, mieścił się dom publiczny Burgera. Waser wziął pieniądze i jak stał, wyjechał z Natalina.

Wówczas Jampaller i Landbaum zaczęli się zastanawiać, czy dobrze zrobili, wydając pieniądze na coś tak niepewnego jak restauracja w mieście, którego mieszkańcy nie opuszczają domów. Wprawdzie wiedzieli, że na spółce z Perutzem jeszcze nikt nie stracił, ale nie czuli się nazbyt dobrze.

- Panie Perutz – nieśmiało zapytał Jampaller – czy zrobiliśmy dobry interes?
- Bez wątplenia – lekceważąco uśmiechnął się Perutz. – W mieście są koszary, więc wiadomo, że będzie stacjonować tutaj wojsko. A tam, gdzie wojsko, to oficerowie, gdzie oficerowie, to kobiety, a gdzie oficerowie i kobiety razem...
- To dzieci – dopowiedział Jampaller.
- Dzieci też. Ale przede wszystkim pieniądze, duże pieniądze.
- Żeby jak najszybciej przyjechali.
- Wpierw trzeba przygotować restaurację, żeby była najlepsza w promieniu stu kilometrów.

Perutz sprowadził do Natalina cieśli i murarzy, którzy w ciągu miesiąca ukończyli przebudowę restauracji. U wejścia do niej zawisł oświetlony łukową lampą szyld: RESTAURACJA „PRZYŁĄDEK SZCZĘŚCIA”. Wewnątrz, w dużej sali z trzema rzędami stołów, od elektrycznych żyrandoli bił tak mocny strumień światła, że z początku Jampaller i Landbaum obawiali się pożaru.

- Mamy światło jaśniejsze od słońca – mówił z zadowoleniem Perutz.
- Tylko nie świeci za darmo, jak słońce – sarkali wspólnicy, przerażeni kosztami przebudowy i urządzenia restauracji.

Jampaller i Landbaum uważali, że Perutz przesadza, bo czy talerze muszą być z miśnieńskiej porcelany, a obrusy z białego jedwabiu, czy trzeba oprawiać lustra w pozłacane ramy, droższe od samych luster, czy nie wystarczyłyby podłoga z sosnowych desek zamiast orzechowego parkietu, i tak w połowie przysłoniętego dywanami? Gdy któregoś dnia głośno wyjawili swoje wątpliwości, Perutz powiedział ze złością:

- Zapamiętajcie, im się więcej wkłada do interesu, tym więcej pieniędzy wyciąga się z niego. To nie będzie szynk ze śledziami i pejsachówką, ale jeśli chcecie coś takiego, to proszę bardzo, tylko nie tutaj.
- My z ostrożności mówimy. My się nie sprzeciwiamy.
- Dobrze, dobrze – udobruchał się Perutz i zaraz zapowiedział, że w restauracji zatrudni trzech kucharzy, kilkanaście pomocy kuchennych, dwunastu kelnerów i zespół muzyczny.

- Skąd my weźmiemy tyle ludzi?
- Na początek, dopóki nie przyjdzie wojsko, zatrudnimy tylko parę osób, żeby kuchnia była zawsze w pogotowiu.
- A jeśli wojsko nie przyjedzie?
- Widziałem wiele rzeczy na świecie – zniescierpliwiał się Perutz – ale dotąd nie widziałem, żeby koszary stały bez wojska, a na ratuszu nie było urzędników.
- Ale tak jest, panie Perutz.
- Przejściowo. Nie martwcie się.

## KORNELIUSZ BALONIK

Polskie władze w Warszawie przypomniały sobie o Natalinie dopiero po dwu latach. Tyle czasu trzeba było, zanim w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych natrafiono na raport kapitana Słupka, w którym Słupek przyznawał się do współpracy przy utworzeniu Republiki Natalińskiej. Minister spraw wewnętrznych przerażony, że pomiędzy Wisłą a Ranem nie panuje żadna władza i w ogóle nie wiadomo, co tam się dzieje, natychmiast mianował nowego starostę Natalina.

Został nim trzydziestoletni Korneliusz Balonik, najzdolniejszy referent w MSW. Urzędnicy ministerstwa byli zadowoleni z tej nominacji. Rzucająca się w oczy pracowitość i sumienność Balonika, a także sprzyjające mu szczęście (potrafił namówić Grunfelda do odsprzedania placu pod budowę fabryki karabinów, czego nie zdołał sam minister) niepokoiło wyższych urzędników, czuli się zagrożeni na swych stanowiskach. Z kolei urzędnicy równi rangą Balonikowi widzieli w nim najgroźniejszego konkurenta w walce o awans. Wprawdzie niektórzy z nich marzyli o posadzie starosty w miasteczku położonym z dala od Warszawy, gdzie mogliby niepodzielnie sprawować władzę, ale – myśleli – skoro już nie oni zostali wybrani, to lepiej, że odjedzie Balonik niż ktokolwiek inny. Zaś Balonik czuł się pokrzywdzony decyzją ministra. Gdzie indziej niż w ministerstwie nie wyobrażał sobie pracy. Już w gimnazjum myślał o tym i snuł plany, że zostanie ministrem tego najważniejszego, jak sobie wyobrażał, resortu. W Mieszycach, gdzie ojciec Balonika był urzędnikiem pocztowym, wszyscy znali zamysł Korneliusza i z czasem przyzwyczaili się do myśli, że w przyszłości zostanie on kimś znacznym. Nawet policjant pierwszy mu salutował. Gdy po studiach młody Balonik rzeczywiście podjął pracę w MSW, całe Mieszycy tylko czekały na wiadomość, że Korneliusz został ministrem.

Do Natalina przyjechał ciężarówką z dwoma żołnierzami, którzy mieli wyładować dobytek z auta. Z marzeń o fotelu ministra nie zrezygnował. Jeszcze przed wyjazdem z Warszawy zaczął obmyślać posunięcia, dzięki którym mógłby z powrotem znaleźć się w stolicy. Doszedł do wniosku, że musi zostać przywódcą najliczniejszego ze stronnictw politycznych w Natalinie, które by go wybrało posłem na sejm, albo samemu utworzyć nową partię, o takim programie, żeby mogli zapisać się do niej wszyscy mieszkańcy powiatu natalińskiego. Polacy i Żydzi, chłopci, robotnicy, biedni i bogaci.

Do miasta, w którym odtąd miał rządzić, wjeżdżał w podniosłym nastroju. Ciekaw był ludzi, dla których stanie się pierwszym po Bogu. Ale Natalin powitał Balonika wymarłymi ulicami. Drzwi domów zamknięte były naглуcho. Na drewnianych, zapadniętych chodnikach rosły kępy traw i łopianu. Dojechał do ratusza i nie zobaczył ani jednego człowieka.



Wówczas pomyślał z przestraczem, że jeśli Natalin liczy mało ludzi, to nie wystarczy głosów, aby go wybrać posłem i wiele lat upłynie, nim znowu znajdzie się w Warszawie. Na domiar tego, kiedy weszli do opuszczonego ratusza, żołnierze znaleźli powieszonoego na sznurze mężczyznę w zniszczonym mundurze austriackiego wachmistrza. Sznur, na którym się powiesił, był uczepiony do tego samego gwoźdźdza, co portret cesarza Franciszka Józefa I. Wachmistrz miał długie siwe bokobrody i był bardzo podobny do cesarza. Pierwszy zauważył to kierowca:

– Wyglądają jak bracia.

Prawie nic nieważące ciało wachmistrza żołnierze zanieśli do gabinetu starosty i położyli na dużym dębowym biurku. Trupa przykryli żółto-czarną flagą, którą znaleźli w kącie gabinetu, na stosie urzędowych akt. Flaga była duża. Zwisiała z biurka i jeszcze ścieliła się po podłodze niby dywan.

– Teraz to sobie leży jak dygnitarz, tylko orkiestry brakuje – zaśmiał się jeden z żołnierzy.

– Mógł poszukać innego miejsca do wieszania – powiedział Balonik, zły, że zaraz pierwszego dnia musi mieć z trupem do czynienia. – Idźcie teraz po rzeczy z auta.

Korneliusz Balonik niewiele miał dobytku – kufer z ubraniami i łóżko z materacem z morskiej trawy. W Warszawie dostał z urzędu kasę do przechowywania pieniędzy i tajnych akt. Kasa była ciężka. Cztery godziny zeszło, nim ją wnieśli na piętro, do jednego z pokojów, w których Balonik miał zamieszkać.

Czteropokojowe mieszkanie, do którego wchodziło się z korytarza ratusza i gabinetu starosty, było całkowicie umeblowane. Wystarczyło pozamiatać, pościierać kurze i od razu nadawało się do zamieszkania. W trzydrzwiowej szafie leżały ponadto komplety bielizny pościelowej. W innych szafach garnitury, płaszcze, suknie, w kredensie garnki i talerze.

Po odjeździe żołnierzy Balonik nie mógł się przemóc, żeby nie przymierzyć paru garniturów. W ramionach pasowały jak ulał, a co do reszty, to wystarczyło tylko guziki przeszyć i nikt by nie poznał, że garnitury nie były szyte na miarę Balonika.

Zastanowiło Balonika, dlaczego poprzedni starosta zostawił cały dobytek. Lecz bardziej był ciekaw, czy ów starosta i jego rodzina jeszcze żyją. W ministerstwie, przeglądając dokumenty dotyczące Natalina, nie natknął się na żadną konkretną wzmiankę o staroście Dieterze. Być może nie żyje, pomyślał Balonik i postanowił, że wszystkie rzeczy w mieszkaniu przejmie niejako w dzierżawę, a po części i z urzędu; na wszelki wypadek zrobi tylko spis wszystkiego. Po co ma się tyle dobra marnować?

Po południu, zmęczony dźwiganiem kasy pancерnej, położył się w sypialni na łóżku małżeńskim i usnął. Gdy z niepokojącym uczuciem lęku obudził się, w sypialni panowała całkowita ciemność. Przez chwilę, ze służbowym naganem w rękę, nadśluchiwał, ale jego uszu nie doszedł żaden dźwięk lub szmer. Wówczas uzmysłowił sobie, że tym, co go niepokoi, jest cisza, absolutna cisza. Nic nie zdradzało, że znajduje się pośrodku miasta, nawet nie przebijały do pokoju światła latarni ulicznych. Przypominając sobie, w którym miejscu jest okno, podszedł do niego i zobaczył, że prawie taka sama ciemność jak w sypialni zalegała nad rynkiem. W świetle zapalki odszukał przełącznik. Z niewiarą przekreślił go – ale żarówka rozbłysła jasnym światłem. Postanowił natychmiast wyjść z ratusza i zapukać do pierwszego domu, w którym zobaczy światło w oknie; musi dowiedzieć się, ilu ludzi żyje w Natalinie i cc w ogóle dzieje się w mieście, że wygląda jak wymarłe.

Po godzinie błądzenia ciemnymi ulicami, mając za drogowskaz jedynie z rzadka wychodzący zza chmur księżyc, ujrzał z daleka łunę. Pobiegł w jej kierunku, przestraszony, że na domiar wszystkiego okaże się, iż to płonie dom. Ale z bliska zobaczył, że światło, niby aureola wokół świętego miejsca, bije z sześciu weneckich okien restauracji „Przylądek Szczęścia”. Ulica przed restauracją, choć w weneckich oknach wisiały amarantowe zasłony, była rozświetlona jak za dnia. Balonik widział małe, wyplukane przez deszcze kamienie na ulicy i nawet drobiny pyłku, które opadały z kotłujących się przed oknami tysięcy ciem.

Przed drzwiami restauracji przystanął, żeby uspokoić oddech i poprawić krawat. Restauracja jawiła mu się jako bardzo szykowna i Balonik chwilę rozkoszował się wyobrażeniem, że oto zaraz wejdzie pomiędzy wytworne uśmiechy kobiet, wniknie w dystyngowany rozgwar i osnuje go zapach kawy i aromatycznych cygar. Ale, co najistotniejsze, wejdzie do restauracji jako najważniejsza osoba w mieście. Poczul, oprócz ciężaru nagana, łagodny ucisk skózanego portfela. W Warszawie wypłacili mu pobory trzy miesiące naprzód, i to dwunastokrotnie wyższe od tych, jakie dostawał będąc referentem. Był bogaty. Mógł zamówić kawior i najlepszy koniak, bez zastanawiania się, za co będzie żył do następnej wypłaty. Jeszcze na moment wspomniął swoje rodzinne miasteczko, myśląc z żalem, iż szkoda, że nie ma tutaj nikogo z Mieszyc i otworzył drzwi.

Hersel, syn mełameda, który zgodził się być odźwiernym w restauracji w zamian za jedzenie, od roku stał oparty o ścianę za drzwiami. Na cichy jęk zawiasów obudził się i poruszył tak gwałtownie, że z dwunastu guzików jego białej marynarki obleciały na podłogę miseczki zaskorupiałego kurzu.

– Szema Israel... – wybąkał Hersel, zaskoczony widokiem obcego.

– Słucham? – Balonik spojrzał na Hersela.

Jampaller i Landbaum, obaj w wytartych chałatach (wszystko, co mieli lepszego, sprzedali na podtrzymanie interesu, który ich, bogaczy, uczynił nędzaczami), półśpiąc stali oparci o bufet. Na głos Hersela unieśli znużone powieki. Jampaller pierwszy doszedł do przytomności. Nisko pochylony, gdyż od stania przy kontuarze zdrętwiały mu plecy, podszedł do Balonika i powiedział z zająknieniem:

– Witamy drogiego gościa w naszych progach.

Balonik ze zdziwieniem patrzył na Żydów i rześście oświetloną restaurację. W restauracji natknął się na taką samą ciszę, jaka zalegała na zewnątrz, tylko że cisza w pustej, choć przygotowanej na przyjęcie wielu gości restauracji wydała mu się ponadto upiorna. Żeby ją przerwać, Balonik głośno i stanowczym tonem powiedział:

– Nazywam się Korneliusz Balonik. Jestem nowym starostą Natalina.

– Wreszcie Bóg wysłuchał naszych modłów – z radością wymówił Jampaller; jego twarz ożywiła się, z oczu obleciała senna mgła tak szybko, jak wcześniej kurz z guzików Hersela. – Od dawna czekamy na pana starostę. Czy wojsko też przyjechało?

– Nie – odrzekł Balonik.

– A czy pan zaraz nie odjedzie z powrotem? – z lękiem zapytał Jampaller.

– Na razie nie zamierzam.

– To dobrze, to bardzo dobrze, bo wielkie nieszczęście spotkało nas, panie starosto.

– Co się stało?

– Wybudowaliśmy tę wielką restaurację za ostatnie pieniądze i gości nie mamy.

– To w mieście nie ma ludzi?

– Są, ale przestali wychodzić z domów. Pozamykali się na wszystkie spusty...

– Wybacz pan, nie bardzo mogę w to uwierzyć – Balonik bezradnie rozłożył ręce.

Wówczas Żydzi jeden przez drugiego opowiedzieli o ucieczce starosty Dietera z Natalina, o niedosłej bitwie pod koszarami i poddaniu się Austriaków, o ograbieniu koszar przez nieznaną ludzi, o zgromadzeniu Polaków pod ratuszem i przemowie sędziego Radeckiego, który o wszystko, co złego w Polsce, oskarżył Żydów, i wreszcie o tym, jak natalinianie, ale najbardziej Polacy, zawiedli się na Komendancie i nowym polskim rządzie, który pozostawił ich samych sobie, a oni nie mogli się z sobą dogadać, a na końcu wspomnieli o Perutzu, bezpośrednim sprawcy nieszczęścia Jampallera i Landbauma.

– Perutz. Słyszałem o nim – odezwał się Balonik; jeszcze w Warszawie, na podstawie starych dokumentów, sporządził listę znaczniejszych osób Natalina i Perutz znalazł się na niej jako jeden z pierwszych. – Wiem, że jest bogaty.

– Bogaty? – zdziwił się Landbaum i zaraz dodał ze złością. – Bogaty to on był, teraz taki

sam golec jak i my. Hersel, zawołaj pana Perutza.

Syn mełameda, jeszcze nie całkiem rozbudzony, chwiejnym krokiem wszedł do kuchni, skąd prowadziły drzwi do mieszkania Perutza. Balonik, patrząc za odchodzącym Herselem, napotkał wzrokiem rzędy butelek wina, wódek, koniaków. To mu przypomniało, że od wyjazdu z Warszawy jeszcze nic nie jadł.

– Co mogę u was zjeść? – zapytał.

– Proszę usiąść łaskawie – Jampaller chyląc się unieźenie odsunął krzesło od jednego ze stołów. – Za minutę podamy, co mamy najlepszego.

Lecz zeszło dwie godziny, nim przed Balonikiem pojawiły się talerze z potrawami. Balonik w tym czasie przyjrzał się sali, stwierdzając, że jest urządzona z dużym smakiem i wytworniejsza od „Astorii” czy „Kresów” w Warszawie, gdzie siedząc po kilka godzin nad filiżanką kawy pobierał na odległość nauki odróżniania homara od langusty.

Przynoszenie potraw rozpoczął Landbaum, który postawił na stole czarny kawior w przezroczystej wazie. Następnie Jampaller przyniósł bażanta siedzącego na gnieździe zbudowanym z talarków marchewki, rzodkiewki i liści kapusty. Po Jampallerze podszedł Hersel i niezgrabnie, widać, że nienawykły do usługiwania przy stole, podsunął Balonikowi szczupaka z rozdziawionym pyskiem. Gdy Balonik myślał, że to już wszystko, i chciał zabrać się do jedzenia, Żydzi wrócili z następnymi potrawami i wychodzili po dalsze. Na stole jeden po drugim rozstawiali talerze z karpiami, linami, sandaczami w sosie cebulowym, węgorzami o czarnych, napiętych skórach, aż w końcu dla samych ryb zabrakło miejsca na stole, tak że Żydzi musieli dostawić stoły po jednej i drugiej stronie Balonika. Jeden z tych stołów szybko zapelniał się pieczeniami z dzika i sarny, jarząbkami okrytymi przyrumienioną cebulą, drożdżami, pokrojonymi kiełbasami. Na drugim stole stanęły butelki: kwadratowe, smukłe i rozdęte niby dymiony, zielone, czarne, przezroczyste.

Kiedy na stołach nie było już ani skrawka miejsca, Jampaller i Landbaum z wyczekiwaniem stanęli po drugiej stronie stołu, na wprost Balonika, który zaskoczony mnogością potraw myślał ze złością, że oto znowu staje się biedakiem, gdyż jeśli mu przyjdzie za to wszystko zapłacić, z pewnością wyda swoje trzymiesięczne pobory. Był rozgniewany na Żydów, że zaraz pierwszego dnia stawiają go w takiej sytuacji, jakby już nie dość było wisielca znalezionego w ratuszu i zarażonych niby śpiączką mieszkańców Natalina.

– Panu staroście nie smakuje nasze jedzenie? – zapytał Landbaum, widząc, że Balonik siedzi długi czas bez ruchu.

– Czym mam jeść? – ze złością odrzekł Balonik, gdyż pomiędzy talerzami nie mógł znaleźć widelca ani noża.

Landbaum i Jampaller, nie rozumiejąc, pochyłili się nad stołami.

– Ani widelca, ani noża – dodał Balonik.

– Hersel! – krzyknął Landbaum i syn mełameda natychmiast pobiegł do kuchni i zaraz wrócił stamtąd z kilkunastoma srebrnymi widelcami i nożami.

Balonik, ukrywając gniew, spokojnie wykrawał kawałki z coraz to innego mięsa i ryby. Napoczął wszystkie, skoro i tak ma zapłacić... Gdy nabierał kawior, z kuchni wyszedł Perutz. Perutz był chudy, w jego pozółkłej twarzy świeciły czarne oczy. Ciężko powłócząc nogami doszedł do stołu, przy którym siedział Balonik, i chwytając się Hersela bezwładnie opadł na krzesło. Po chwili, unosząc spojrzenie na stoły, gdzie ryby, ptactwo i pieczenie kłóciły się ze sobą, z trudem poruszając wysuszonymi wargami powiedział:

– Wy głupcy.

– Panie Perutz – z bojaźnią odezwał się Jampaller – to jest pan starosta.

– Głupcy – powtórzył Perutz i jakby w jednej chwili usypiając zwiesił głowę na piersi.

– Prędko wodę! – krzyknął Landbaum i Hersel pobiegł do kuchni.

– Pan Perutz wyszedł dzisiaj po raz pierwszy z pokoju i pewnie świeże powietrze uderzyło mu do głowy – powiedział Jampaller skraplając twarz Perutza wodą, którą Hersel przyniósł w

wiadrze. – Panie Perutz, proszę się obudzić.

– Panie Perutz – Landbaum uniósł do góry głowę Perutza.

– Zostawcie go – nieoczekiwanie rozległ się głos od drzwi. – Nie widzicie, że nie żyje.

– Nie żyje? – Jampaller i Landbaum uważnie przyjrzeni się Perutzowi.

Ich spojrzenia, które zaraz skierowali na siebie, nie mogły ukryć radości, że Bóg spełnił ich prośbę i zabrał im kłopotliwego współnika.

Balonik przyjrzał się nowo przybyłemu mężczyźnie. Był on ubrany w niebieski wypłowiały mundur żołnierza armii Hallera i prawą nogę miał uciętą poniżej kolana. Żołnierz, opierając się niedbale na szrudłach i mrużąc oczy przed światłem, zatrzymał się kilka metrów od zastawionych jedzeniem stołów.

– Ale pałac urządzili – rzekł po chwili nowo przybyły, nie zwracając większej uwagi na zamieszanie wokół Perutza, którego Żydzi dalej obficie polewali wodą i tarmosili. – I żarcie jak za cara. Pan pozwoli? – żołnierz podszedł do stołu i nie czekając na zgodę Balonika wziął do ręki kawał pieczeni.

– Proszę, i proszę usiąść – Balonik zaprosił do stołu.

Żołnierz szrudłem przysunął krzesło od sąsiedniego stołu i usiadł. Jadł w milczeniu, popijając wódką Baczewskiego, którą mu Balonik nalał do kieliszka.

– Nie daje znaku życia – powiedział Jampaller do Balonika.

– Dajcie spokój nieboszczykowi – odezwał się żołnierz. – Lepiej wynieście go stąd, nim zaśmierdnie, bo inaczej każą wam knajpę zamknąć.

– Tak, pan ma rację – powiedział Landbaum. – Hersel!

– Sam nie dam rady – odrzekł Hersel, ale wziął nieboszczyka na ramię i przez kuchnię zaniósł do mieszkania Perutza.

Wtedy dopiero Jampaller i Landbaum spostrzegli, że żołnierz je przy stole. Pytająco popatrzyli na Balonika.

– Ja zaprosiłem pana – powiedział Balonik.

– Jeżeli pan starosta...

– To pan jest starostą – stwierdził żołnierz.

– Tak, od dzisiaj dopiero. A wy jesteście z Natalina?

– Z Natalinka.

– Teraz to ja pana poznaję – wtrącił Landbaum. – Pan jest młody Walichrad, ten co uciekł na wojnę.

– Miło mi pana poznać – Balonik wstał i ukłonił się Walichradowi. – Korneliusz Balonik jestem.

Balonik miał na swojej liście także nazwisko Walichrada i pomyślał, że oto nadarza się dobra okazja, aby poznać bliżej jednego z Walichradów.

– Nogę stracił pan na wojnie? – zapytał i orzekł jednocześnie.

– Na wojnie – obojętnie potwierdził Józef Walichrad i dodał po chwili: – Rosjanie ucięli.

– Rosjanie? Jakże to? – zdziwił się Balonik.

– Co robi Szloma Zelman? – zapytał Walichrad Żydów, nie odpowiadając Balonikowi.

– Siedzi w domu, jak wszyscy, ale co robi?... Kto to wie – odrzekł Jampaller i z kolei Walichradowi opowiedział, co pod jego nieobecność działo się w Natalinie.

Ale nic nie wiedział o mieszkańcach Natalinka.

## JÓZEF

O świcie, gdy Landbaum i Jampaller rozpoczęli czuwanie przy zwłokach Perutza, Balonik i Józef Walichrad wyszli z „Przyłądka Szczęścia”. Na ulicy owiał ich ciepły wilgotny wiatr. Spostrzegli, że w przenikliwym świetle jutrzeńki miasto wygląda jeszcze bardziej opuszczone. Na ścianach i dachach domów, nawet na drzwiach, rósł mech, a jasnozielona trawa królowała na wszystkich podwórkach, zarastając progi domów, ścieżki, gnojowiska. W czarnych od brudu oknach nie odbijało się niebo i w ogóle nic nie zdradzało, że za tymi oknami ktokolwiek mieszka.

Balonik i Walichrad w milczeniu obserwując domy i podwórza szli w kierunku rynku.

Józef niechętnie powracał do Natalinka. Po pięciu latach żołnierskiego i bandyckiego po trosze życia trudno mu się było oswoić z myślą o domu spokojnym, odludnym, w którym, jak przypuszczał, nic się nie zmieniło od jego wyjazdu – mimo że czasami tęsknił za miejscem, gdzie kładąc się wieczorem do łóżka miałby pewność, że rano wstanie żywy. Przez ostatnie lata wiele doświadczył. Widział, jak ludzie buntują się przeciwko ustanowionym przed wiekami porządkom i jak buntują się przeciwko Bogu. Ziemia w Rosji, po której dwa lata stapał na jednej nodze, kipiała w walce między czerwonymi i białymi, choć jedni i drudzy walczyli pod sztandarem Matki Ojczyzny. Józef także walczył w Rosji, raz przeciwko czerwonym, którym przewodził Lenin, raz przeciwko białym, którzy chcieli z powrotem osadzić cara na rosyjskim tronie.

W bitwie pod Lidą Józef dostał się do niewoli bolszewickiej i felczer rosyjski amputował mu nogę, która od skaleczenia szkłem kilka tygodni wcześniej była cała w ropnych pęcherzach. Podczas transportu do obozu jenieckiego został odbity przez oddział białych, dowodzony przez pułkownika Kurowa. Kurow powiedział Józefowi, że ma do wyboru: zabijać czerwonych albo samemu zaraz zginąć. Józef szybko nauczył się wsiadać ze szcudeł na konia i z oddziałem Kurowa doszedł pod Satałę na Uralu. Tam uciekł na stronę bolszewików. Dłużej nie mógł wytrzymać u Kurowa, gdyż to, co robił Kurow, nie było walką, lecz mordowaniem. Oddział Kurowa, wyposażony w szybkostrzelne angielskie karabiny, z łatwością rozbijał źle uzbrojone i źle wyszkolone oddziały bolszewików, a jego drogę na zachód znaczyły spalone wsie i wisielcy na drzewach. „Gibniet matuszka Rossija”, mówił Kurow, i uważał, że jeśli Rosja ginie, to niech zginą z nią wszyscy Rosjanie.

Józef po pół roku uciekł od Kurowa i do Polski wrócił przez zieloną granicę. W drodze przez Rosję pociągami, saniami i na piechotę, zużywając wiele par szcudeł, widział wygłodniałych i niepiśmiennych ludzi, którzy z dnia na dzień stawali się komendantami wojskowymi, dyrektorami fabryk, naczelnikami miast, i nie wierzył, aby tacy ludzie mogli dłużej zarządzać Rosją. Nie wierzył w to, co mówili spotkani na drogach Rosjanie, że gdy fabryki i ziemia staną się wspólną własnością robotników i chłopów, wtedy wszyscy będą tak bogaci, jak poprzedni właściciele fabryk i ziemi.

Po tułaczce po Rosji Józefa coś ciągnęło do ludzi niższego stanu. To, że sam doświadczył biedy i głodu, czyniło mu tych ludzi bliższych. Między innymi dlatego zamieszkał w Warszawie na Powiślu, gdzie było najwięcej biedaków korzystających z garkuchni, inwalidów wojennych z medalami za męstwo i bandytów.

W Józefie, pomimo uciętej nogi i zniszczonego munduru, pozostało wiele oznak pańskiego pochodzenia i to z początku nie spodobało się mieszkańcom Powiśla. Musiał stoczyć kilka bójek z nożownikami, mając za broń własne szcudła, którymi posługiwał się sprawnie jak

przedtem szablą, nim wywalczył sobie obywatelstwo Powiśla.

Gdy Józef pod przydomkiem Kuternoga znany był wszystkim po prawej stronie Wisły, wdał się w awanturę z policjantami i został aresztowany. Stało się to pod fabryką koszul Rozborskiego, podczas strajku robotnic. Około pięćdziesięciu kobiet z dziećmi stało pod bramą fabryki. Józef zatrzymał się blisko nich, gdyż uderzyło go zachowanie dzieci. Choć było ich bardzo dużo, więcej niż kobiet, stały bez ruchu i w milczeniu, nie uśmiechając się nawet do siebie. Twarze miały dorosłe i zacięte jak twarze matek. Józef pomyślał w pierwszej chwili, że są nienormalne, wypożyczone z przytułku dla dzieci umysłowo chorych, żeby wzbudzić litość właściciela fabryki.

Józef przyglądał się, jak komisarz policji, elegant z czarnym, krótko przystrzyżonym wąsikiem, usiłował przekonać kobiety, że najlepiej zrobią, gdy się rozejdą do domów, bo z ich stania pod bramą nic dobrego nie wyniknie.

– Chcemy rozmawiać z panem Rozborskim, a nie z wami – powiedziała wysoka czterdziestoletnia kobieta, do której najczęściej zwracały się strajkujące.

– Kobiety – rzekł surowo komisarz – mnie chodzi tylko o zapewnienie porządku publicznego.

– Przecież stoimy grzecznie, nic złego nie robimy.

– Bronicie dostępu do cudzej fabryki, to jest niezgodne z prawem.

– A jest zgodne z prawem, że Rozborski na naszej pracy dorabia się kamienic i aut, a my nie mamy za co dziecku chleba kupić? – zapytała wysoka kobieta.

– To już nie moja rzecz.

– Ale pilnować fabryki Rozborskiego to twoja rzecz, kanalio! – kobieta, która trzymała na rękach uśpioną dziewczynkę, plunęła pod nogi komisarza.

Komisarz odszedł kilka kroków i rzekł zniecierpliwionym głosem:

– Moja dobra wola wyczerpała się. Daję wam dziesięć minut czasu na rozejście. Jeżeli tego nie zrobicie same, pomogą wam policjanci – komisarz pokazał na stojący nie opodal oddział policjantów.

– Będziemy czekać, aż przyjdzie Rozborski – zdecydowała wysoka kobieta.

– Tak, nie odstępimy – poparły ją inne.

– Zobaczymy – powiedział komisarz odchodząc do policjantów.

Józef widząc, że ulica przed fabryką pustoszeje, wszedł do jednej z bram. Gdy upłynęło dziesięć minut, policjanci, po sześciu w dwu szeregach, powoli i z widoczną niechęcią ruszyli w kierunku bramy fabryki, pod którą kobiety ścieśniając się utworzyły zwarty mur ciał. Pierwszych dwóch policjantów zatrzymało się przed wysoką kobietą i prosząc, żeby nie stawiała oporu, delikatnie wzięli ją pod ręce i wyprowadzili spośród innych. Odeszła z nimi bezwolna i zrezygnowana. Po chwili spod bramy wybiegł dziesięcioletni chłopiec.

– Mamo! Mamo! – krzyząc, biegł za kobietą i policjantami, a gdy zrównał się z nimi, jednego z policjantów niespodziewanie ugryzł w dłoń. Ten zaklął z bólu i mocno odepchnął chłopaka. Chłopiec wywrócił się i głową uderzył o bruk. Policjant, przerażony, puścił kobietę i pochylił się nad chłopcem. Wówczas matka, skowycząc, podeszła z tyłu do policjanta i paznokciami rozorała mu twarz. W tej samej chwili robotnice spod bramy i półprzytomne ze strachu dzieci ruszyły na policjantów, plując na nich, łapiąc za mundury, bijąc po twarzach, a oni broniąc się pałkami, cofali się do stojącego przy aucie komisarza. Jedna z kobiet rzuciła w nich kamieniem, podbiegli wtedy do niej i zaczęli ją mocno okładać pałkami. Wówczas Józef wyszedł z bramy i uderzeniami szczudeł powalił na ziemię dwóch policjantów. Pozostali uciekli do komisarza, obok którego stało już czterech policjantów konnych.

Józef Walichrad i szesnaście robotnic zostało aresztowanych i oskarżonych pod zarzutem ciężkiego zranienia trzech policjantów. Ponadto komisarz z czarnym wąsikiem oskarżył Józefa o kierowanie strajkiem z bramy, tak też podał „Kurier Czerwony”. Dbając o swą godność i honor warszawscy policjanci woleli przyznać się do strachu przed jednym

mężczyzną, choćby i kaleką, niż przed babami i dziećmi. W czasie śledztwa przeciwko Walichradowi doszło jeszcze podejrzenie, że jest on komunistą i szpiegiem bolszewickim. Komisarz odnalazł, że Józef, uwolniony przez bolszewików bez żadnych starań ze strony polskiej, nielegalnie przekroczył granicę rosyjsko-polską. W końcu za sprawą gazet, a przede wszystkim „Czerwoniaka”, którego redaktorzy nazywali Józefa obrońcą kobiet, Walichrad został uniewinniony. Po procesie obrońca wyjawiał Józefowi, że jakkolwiek sąd uznał go za niewinnego, to policjanci poprzysięgli zemścić się na nim. Radził Józefowi, żeby jak najszybciej opuścił Warszawę.

Józef nie przestraszył się. Dopóki mieszkał na Powiślu, gdzie każdy wyrostek na odległość rozpoznawał szpicla, nic mu nie groziło. Ale po kilku tygodniach od procesu wyjechał z Warszawy, uznając, że nie ma tam nic do roboty. Znudził się biedą i beznadzieją, w której żyli mieszkańcy Powiśla, Czerniakowa i innych przeklętych dzielnic. Poza tym ci ludzie, nie godząc się na biedę, byli jeszcze większymi straceńcami niż chłopci i robotnicy rosyjscy. Tamci chociaż zorganizowali się, a powiślacy ludzili się, że napadając w pojedynkę na banki i kasy fabryczne zdobędą bogactwo i z nim wolność, wolność od roboty i od strachu. Tymczasem zrabowane pieniądze czyniły ich jeszcze większymi więźniami strachu.

Józef, gdy o świcie szedł z Balonikiem przez zmorzony śpiączką Natalin, przez chwilę odniósł wrażenie, iż znajduje się na bezkresnym stepie. Po raz pierwszy od kilku lat nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo. Nie musiał patrzeć na bramy, czy nie widać cienia czającego się człowieka, ani wystrzegać się żołnierzy, policjantów czy szpicli. Opuścił go stan ciągłej gotowości do obrony, aż pomyślał, że mógłby odrzucić szczudła, które tak samo jak do chodzenia potrzebne mu były do obrony. Kiedy stanął pod ratuszem, żeby się pożegnać z Balonikiem, usłyszał stukanie żurawi. Leciały wysoko, w dwóch kluczach. Na błękitnym niebie wyraźnie było widać ich sylwetki z wyciągniętymi długimi szyjami.

– Niezbyt miły ten gęgot – odezwał się Balonik, przypominając sobie o wisielcu – w ratuszu znalazłem powieszoną mężczyznę, był w austriackim mundurze.

– Pewnie wachmistrz – powiedział Józef.

– Znał go pan?

– Wszyscy go znali – Józef patrzył za odlatującymi żurawiami. Pod Kockiem, gdy staliśmy w okopach, często przelatywały żurawie.

– Teraz pan odpocznie, a ja... – Balonik spojrzał na uśpione domy wokół rynku – nawet nie wiem, od czego zacząć. W każdym razie muszę ich jakoś obudzić.

– Po co? – zapytał Józef.

– Po co? – zdziwił się Balonik. – Ładnie by wyglądało nasze państwo, jakby tak wszędzie ludzie spali całymi miesiącami. Ale mam do pana prośbę: tego trupa chciałbym przenieść gdzie indziej, żeby nie spać z nim przez ścianę.

– Chodźmy.

Wyszli na pierwsze piętro ratusza. Balonik otworzył drzwi gabinetu starosty i wtedy on i Józef zobaczyli, że flaga, którą było okryte ciało wachmistrza, rusza się.

– Jezu, on żyje! – krzyknął Balonik robiąc krok do tyłu.

Józef podszedł do biurka i szybko ściągnął flagę na podłogę. Na ciele Słowika siedziały szczury. W pierwszej chwili, obezwładnione światłem, znieruchomiały, ale zaraz zeskoczyły na podłogę i rozbiegły się wzdłuż ścian. Balonik wyjął pistolet i z wykrzywioną z odrazy twarzą wycelował w szczura, do którego łapy przykleił się kawałek jelita. Nie trafił. Kula rykoszetem uderzyła w biurko. Strzelił drugi, trzeci, czwarty raz. Tylko tynk odpadał ze ścian.

– Daj pan – Józef odebrał nagan Balonikowi i od jednego strzału zabił szczura.

Balonik, wymiotując, wybiegł na korytarz. Trzymając się poręczy bełkotał, że nie zostanie ani godziny dłużej w Natalinie. Tymczasem Józef zawinął ciało wachmistrza we flagę i gdy szczury uciekły z gabinetu, zamknął drzwi na klucz.

– Teraz się nie dostaną, a my lepiej chodźmy zobaczyć, co dzieje się w domach.

Józef przypomniał sobie starego mieszkańca Satały, który opowiadał, że w czasie rewolucji, gdy wiele trupów zalegało na ulicach, mięso szczurów było o wiele smaczniejsze, i pomyślał, że w mieście mogły zapanować szczury.

– Ja nie idę, nie chcę tego oglądać – powiedział Balonik do schodzącego po schodach Walichrada.

Ale po chwili, bojąc się samemu zostać w ratuszu. Balonik dogonił Józefa, który zaraz poradził, żeby zamówić wagon trutki na szczury. Walichrad skręcił w boczną uliczkę, która dochodziła do starych murów po zachodniej stronie miasta. Stały tam walące się gliniane i kryte strzechą domy. Józef uderzył pięścią w drzwi jednego z nich, wołając:

– Glinka! Glinka!

Gdy nikt nie odpowiadał, barkiem naparł na drzwi. Od pierwszego pchnięcia wyleciały z przegniłej futryny i zwały się do środka, na wiadra z odchodami. W tej samej chwili kwaśne, duszące powietrze buchnęło w Józefa i stojącego za nim Balonika, któremu znowu zrobiło się niedobrze.

– Ja tam nie wejdę – powiedział Balonik, odchodząc pod płot.

Józef, przyzwyczajając oczy do ciemności panujących w izbie, zobaczył, że na łózkach i podłodze leży kilkanaście osób. Pochylił się nad leżącym na podłodze Glinką, do którego dopływała czarna struga fekaliów wylanych z wiader.

– Żyją? – od płotu zapytał Balonik.

– Tak – odrzekł Józef, widząc, że piersi Glinki miarowo unoszą się i opadają.

– Dzięki Bogu – westchnął Balonik.

Józef krzyknął:

– Glinka!

Stary mężczyzna o skołtunionych włosach uniósł się na łokciu i mrużąc oczy przed światłem rozejrzył się po izbie.

– Glinka!

– Kto mnie woła? – zapytał Glinka rozespianym głosem.

– Słuchaj, stary – Walichrad szcudłem uderzył w nogi Glinki – chcę, żebyś mi na jutro spodnie uszył.

– Już biorę miarę, panie – z trudnością wyszeptał Glinka, ale nie wstawał.

– Glinka, spodnie muszą być na jutro, pamiętaj.

– Już się robi, panie.

– Przyjdę o dwunastej – powiedział Józef i wyszedł z izby. Balonik podszedł do niego.

– No i co?

– Niech pan sobie zrobi procę i powybijaj okna we wszystkich domach, bo jeśli dotąd nie pomarli z głodu, to lada dzień otrują się własnymi smrodami.

– Pan się zapomina – oburzył się Balonik. – Jestem starostą, nie ulicznikiem.

– To życzę powodzenia – Józef skinął głową i poszedł do dziury w murze, za którym zaczynało się pole Walichradów.

Na przeprostki, po miękkiej, dopiero co zabronowanej ziemi doszedł do Natalinka. Za bramą dworu kucał Lucjan. Józef zauważył, że twarz Lucjana, choć on sam nie podrósł ani o centymetr, jest dorosła i rozumna. Chciał się z nim przywitać, ale Lucjan rozchlapując błoto, pobiegł na czworakach do domu.

Za chwilę na ganek wyszedł Feliks.

– Rzeczywiście, Józef – powiedział Feliks zaskoczony i zaraz krzyknął w głąb domu: – Józef przyjechał!

Pierwsza wybiegła Zofia i synowie Feliksa: Władysław i Stanisław, za nimi Marek Bysała z Martą, która trzymała na rękach dwoje małych dzieci, i ładna młoda kobieta o jasnych włosach, w której Józef z trudnością rozpoznał Krystynę – czternastoletnią, gdy wyjeżdżał, wiecznie zapłakaną kuzynkę. Obok Krystyny stanął Kuba. Zdał się on Józefowi jeszcze



ogromniejszy, jakby rósł na starość. Na końcu wyszli na ganek trzydziestoletni mężczyzna z równym przedziałkiem pośrodku głowy, starsza kobieta w sukni o głębokim dekolcie i dwóch pięćdziesięcioletnich, bardzo podobnych do siebie mężczyzn.

Walichradowie wybiegali z domu uradowani, ale na widok wspierającego się na szczydach Józefa spoważniali. Feliks, nieszczerze śmiejąc się, powiedział, że niedługo dom zamieni się w przytułek dla kalek. Feliks był najbardziej zaskoczony kalectwem Józefa. Zaskoczony i rozczarowany, co natychmiast wyczuł Józef.

Feliks pod nieobecność Józefa często opowiadał o bohaterstwie mężczyzn wywodzących się od Emisariusza i obiecywał synom, że gdy Józef, ich stryj, wróci do Natalinka, wtedy dopiero zobaczą prawdziwego żołnierza. Tymczasem ten, który miał nie znać uczucia strachu, wcale na takiego nie wyglądał, aż Stanisław z niedowierzaniem zapytał:

– To stryj Józef?

– Nie ma nawet noża – dodał Włodek, starszy syn Feliksa, który także całkiem inaczej wyobrażał sobie potomka Emisariusza.

Feliks rozczarowany, że Józef wrócił bez broni i w dodatku jako kaleka jak pierwszy lepszy włóczęga, pomyślał, że już teraz nie zdoła wychować synów inaczej, jak na modłę Zofii i zniewieściałych mężczyzn, którzy przyjeżdżali do Natalinka z bliższych i dalszych dworów. Jeden z nich, hrabia Więckowski, zawsze gładko zaczesany i z równym jak od linijki przedziałkiem, tak się zadomowił w Natalinku, że czasami siedział kilka tygodni pod rząd. Uczył Krystynę modnych tańców i jeździł z nią i Zofią na potańcówki do okolicznych dworów.

Feliks z początku sprzeciwiał się obecności tych z miejska ubranych fircyków, którzy nawet nie wiedzieli, po której stronie szablę się nosi, ale Zofia powiedziała, że musi ich znosić, jeżeli nie chce, aby Krystyna została starą panną. Zofia bała się powrotu Józefa. Była przekonana, znając z dawna Józefa, że wraz z Feliksem sprzymierzy się przeciwko niej, a ponadto miała na uwadze majątek w Golejówku, z ośmiopokojowym dworem, którego Józef był pierwszym spadkobiercą. Zofia chętnie widziałaby Golejówek jako posag dla Krystyny. Lecz zobaczywszy Józefa-kalekę i, takie odniosła wrażenie, zrezygnowanego, wierzyła, że uda się jej jeszcze zrealizować plany co do Golejówka. I żeby przychylnie usposobić do siebie Józefa, natychmiast posłała Bysałą do Kasztanii po znajdującego się tam od kilku tygodni malarza z Krakowa.

– Portret Józefa – powiedziała Zofia – należycie upamiętni jego powrót do domu.

W Natalinku już od dawna znajdowało się wiele portretów Walichradów, namalowanych przez różnych malarzy z Krakowa i Lwowa, którzy latem jeździli od dworu do dworu. Obrazy wisiały w salonie. Najstarszy z nich był portret Józefa Bartłomieja, na którym Józef Bartłomiej ubrany był w granatowy kontusz przepasany złotym pasem. Feliks od powrotu z wojny często przyglądał się portretom przodków, jednocześnie wypytyjąc Kubę o ich życie. I w miarę jak do Natalinka przyjeżdżało coraz więcej mężczyzn podobnych do hrabiego Więckowskiego, który na odległość pachniał wodą kolońską, Feliks coraz więcej godzin spędzał przed obrazami, tęskniąc za czasami, w jakich żyli mężczyźni z portretów.

Podczas pierwszego obiadu, do którego wspólnie z rodziną i gośćmi usiadł Józef, wszyscy czekali, że Józef zacznie opowiadać o bolszewickiej Rosji. Już zdradził, że był w niewoli u bolszewików. Ale Józef, mimo że nagabywany o opowieść milczał. A gdy wreszcie odezwał się, to po to, żeby oznajmić, iż chce sprzedać część należnego mu majątku i kupić kamienicę w Natalinie.

– Józefie! – oburzył się Feliks – ty nie wiesz, co dzieje się w mieście. Tamtym ludziom robić się nie chce i gniją w barłogach.

– Widziałem – z niechęcią odrzekł Józef.

– Tam się zło zaległo, jak zamieszkas, to i ciebie dopadnie.

– Stryju, to zło to bieda.

- Jeśli to bieda, to sami ją zaprosili, bo dlaczego nie zabiorą się do pracy?
- Gdzie mają pracować, stryju? W Natalinie nie ma ani jednej fabryki.
- Tak się rządzą. Mieli dość czasu, żeby wybudować – powiedział Feliks z gniewem.

W głowie nie mogło mu się pomieścić, że Józef, potomek Emisariusza, o którego wyczynach do dzisiaj opowiadają chłopci, bierze w obronę mieszkańców miasta i że w ogóle interesuje się sprawami, które nie mają żadnego związku z szablą i koniem.

Czuł się zdradzony przez Józefa. Myślał, że gdy Józef wróci, to nawiedzające dom bawidamki w lalkowych ubraniach staną się przy nim śmieszni. Ale Józef zawiódł, w dodatku on sam budził politowanie jak wszyscy żołnierze, którzy wracają z dawno zapomnianej wojny.

Po krótkiej rozmowie z Józefem Feliks, nie kończąc obiadu, odszedł od stołu. Zofia odprowadziła go niespokojnym spojrzeniem. Od pewnego czasu Zofię martwiło zachowanie męża. Zauważyła, że Feliks coraz bardziej odsuwa się od życia domowego i towarzyskiego, poprzestając jedynie na rozmowach z dzierżawcami majątków. Przy stole najczęściej wspominał dawne lata, kiedy był młody, i jeszcze dawniejsze, zapisane w czynach sportretowanych mężczyzn, których stawiał za wzór swoim synom.

Zofia wraz z Krystyną były zapraszane do wielu domów. Jeździły nawet pod Lwów, w rodzinne strony Zofii, gdzie poznały hrabiego Więckowskiego, bratanka i jak mówiono spadkobiercę majątku bogatej hrabiny Więckowskiej. Odwiedzając różne domy nasłuchiwały się opowieści o wielkich miastach za granicą, w których aut było więcej niż koni, a ludzie mieszkali w stupiętrowych domach z żelaza i szkła, o aeroplanach i statkach pływających pod wodą, o maszynach zastępujących ludzi w pracy. Zofia była pewna, że ów świat nadejdzie jeszcze za jej życia, i bała się, że wtedy nie stanie miejsca dla takich ludzi jak Feliks, którzy żyli wpatrzeni w przeszłość.

## ODRODZENIE NATALINA

Krawiec Glinka dwa dni siedział na podłodze oparty o piec, bez przerwy powtarzając sobie, że na jutro ma uszyć spodnie i że czas już zabrać się do pracy. Oszołomiony wpierw światłem, później fetorem odchodów, których rozkład przyspieszały ciepłe promienie słońca, nie zdawał sobie sprawy, że czas upływa. Myślał, że dopiero co dostał zamówienie na uszycie spodni.

Drugiego dnia po południu do domu Glinki zajrzał Balonik. Krawiec ucieszył się, że przychodzi następna osoba, aby coś uszyć, lecz mimo to nie mógł się przemóc i wstać.

– Wstań, człowieku – Balonik potar mosię Glinkę – i każ wstać swojej rodzinie, bo z głodu zdechniecie.

– Wpierw muszę uszyć spodnie – wymamrotał Glinka, podchodząc na klęczkach do zapajęzonej maszyny do szycia.

Przy maszynie oprzytomniał. Szeroko otwartymi oczami powiódł po izbie i zatrzymał spojrzenie na śpiących. Poruszyło go, że na dworze słońce świeci, a żona i dzieci śpią jak w środku nocy.

– Co wy, śpicie? – krzyknął z niedowierzaniem i zabrał się do strącania dzieci z łóżek i ław.

Zaczęło się, z radością pomyślał Balonik i zaraz wyszedł z izby. Balonik do wieczora

dobijał się do domów Natalina, ale zza każdych drzwi odpowiadały mu tylko głuche echa. Pomimo tak nienormalnej sytuacji, jaką zastał w Natalinie, postanowił jednak nie zwracać się o pomoc do Warszawy, co mu nazajutrz po przebudzeniu często przychodziło do głowy. Obawiał się, żeby w ministerstwie nie uznali, iż w tym wyjątkowym położeniu miasta starosta nie może być osoba bez doświadczenia w rządzeniu. Mogliby przysłać kogo innego, a Balonika zrobić wicestarostą. Wolał nie ryzykować. Po namyśle poszedł po radę do Jampallera i Landbauma.

Żydów zastał na robieniu generalnych porządków w „Przyłądku Szczęścia”. Zdjęli ze ścian wiedeńskie lustra, z okien aksamitne zasłony, z sufitu kryształowe pajaki. Do skrzyń zapakowali zastawy stołowe, srebrne popielnice, jedwabne obrusy, wszystko, co można było spieniężyć. Do interesu, jaki teraz chcieli prowadzić, zbędne się stały te wielkopańskie ozdoby. Jeszcze mogły odstraszyć chłopów, którzy będą przyjeżdżać na jarmarki do Natalina.

Landbaumowi i Jampallerowi pochlebilo, że sam starosta pyta się ich, co zrobić, żeby mieszkańcy Natalina zaczęli żyć jak dawniej.

– Panie starosto – powiedział Jampaller – ja wiem, że pieniądze to najważniejsza rzecz na świecie.

– To i ja wiem – odrzekł Balonik. – Ale co z tego?

– Z tego to, panie starosto, że trzeba ogłosić, że kto w ciągu tygodnia nie zabierze się do porządków przy domu, ten zapłaci karę pieniężną. Każdy będzie wolał zrobić porządek, niż płacić, i wtedy wyjdą z domów.

– Tylko skąd oni dowiedzą się, że grozi im kara? – zapytał Balonik.

– O tym nie pomyślałem – stropił się Jampaller.

– Ja wiem o jednym sposobie – powiedział Landbaum.

– Jakim?

– Nie mogę zdradzić, panie starosto.

– Tak czy inaczej można wyciągnąć ich z domów, ale to dopiero początek – z rezygnacją wymówił Balonik. – To co później. Jest najważniejsze, bo trzeba będzie zająć ich czymś, żeby z powrotem...

Po kilku godzinach rozmowy Balonik wszedł z Żydami w porozumienie, że Żydzi sobie znanym sposobem wyciągną natalinian z domów, a tymczasem on postara się wydrukować rozporządzenie o przymusowym robieniu porządków w mieście, rozporządzenie podpisane przez starostę Natalina, co podkreślił Landbaum, żeby natalinianie, gdy tylko znajdą się na ulicach, wiedzieli, że w mieście panuje władza polska. Na prośbę Balonika, aby rozpoczęli od drukarza, Jampaller odpowiedział, że nie chcą mieć do czynienia z człowiekiem, któremu Dwojra zarzucił głupotę, taki człowiek może przynieść pecha.

Więc Balonik poszedł sam do drukarni, która mieściła się w kamienicy z widoczną z daleka zieloną kopułą. Maszyna drukarska stała w dużym pomieszczeniu na parterze. Balonik zobaczył ją przez zakurzone okno. Postanowił nie dobijać się do drzwi, żeby daremnie nie tracić czasu, tylko od razu dostać się do drukarni i własnoręcznie wydrukować rozporządzenia. Kamieniem podniesionym z ulicy rzucił w okno drukarni. Szkło posypało się na parapet i chodnik, wypełniając ulicę głośnymi dźwiękami, jakby naraz zostały wybite wszystkie okna w sąsiedztwie. Balonik, trochę przestraszony tym, co zrobił, przeszedł na drugą stronę ulicy i spojrzał na okna na piętrze. Nie poruszyła się ani jedna z firanek. Chwilę nadśluchiwał, czy sienią nikt nie nadchodzi, ale żadne kroki nie rozległy się. Przekłęte miasto, szepnął i zaczął kijem zrąbywać kawałki szkła, które tkwiły w okiennej ramie.

Do drukarni wszedł przez okno. Wewnątrz panował wzorowy porządek. Maszyna drukarska, pokryta równą warstwą kurzu, stała pod nisko zwieszoną i upstrzoną przez muchy żarówką. Pod ścianą, obok stołu do odlewania czcionek, Balonik dojrzał dwa wałki papieru, ale za wąskiego jak na rozporządzenia, które chciał wydrukować. Potrzebował ogromnej płachty papieru, żeby ludzie mogli czytać litery z dalekich odległości, z okien własnych

domów. Spodziewał się, że taki papier znajdzie gdzieś w sąsiednich pomieszczeniach. Tymczasem postanowił sprawdzić, czy maszyna działa, i zastanowić się, jak ją obsługiwać. Zdmuchnął kurz z rączki korby i zaczął powoli kręcić. Natychmiast, jak na magiczne zaklęcie, obróciły się wszystkie wałki maszyny. Żelazo i drewno, zaprzężone do pracy po długim odpoczynku, rzeźbiły niby niedobite bydło. Te odgłosy przedostały się po murze do sypialni Cwyngierów i obudziły drukarza, który zaraz bosy i w długiej koszuli zbiegł do drukarni.

– Stój! – krzyknął od drzwi do pochylonego nad korba Balonika. – Podkładek nie wyjąłeś pan – dodał oburzonym tonem i spomiędzy wałków wyjął kilka miedzianych blaszek. – Mogłeś pan maszynę zniszczyć. A właściwie – Cwyngiera dopiero teraz naszło zastanowienie – kto panu pozwolił dotykać mojej maszyny?

– Zaraz wszystko wytłumaczę.

– I jak się pan tutaj dostał? – drukarza ogarniało coraz większe zdumienie.

– Pozwolę sobie powiedzieć, że przez okno – Balonik pokazał na okno z wybitą szybą.

– To rozbój. Ja pana podam na policję!

– Pozwolę sobie powiedzieć, że policji nie ma w Natalinie.

– Jak to: nie ma policji?

– Proszę mnie spokojnie wysłuchać – szybko powiedział Balonik. – Do tego, co zrobiłem, zmusiła mnie sytuacja. Jestem nowym starostą Natalina i gdy tutaj przyjechałem, stwierdziłem, że dzieją się straszliwe, na swój sposób, rzeczy.

– No, skoro sam starosta wchodzi przez okno do cudzego domu?

– Bo pan chyba nie wie, co dzieje się w mieście.

– Wiem, że tutaj – Cwyngier pokazał na podłogę – zaszła kryminalna sprawa.

– W takim razie proszę mi powiedzieć, jaki dzisiaj mamy dzień, miesiąc i rok.

Cwyngier przyjrzał się podejrzliwie Balonikowi i także zapytał :

– Od kiedy jest pan starostą?

– Tydzień temu zostałem mianowany. Proszę zobaczyć – Balonik wyjął z kieszeni nominację i pokazał ją drukarzowi. Cwyngier z uwagą przeczytał dokument i rzekł zdumiony:

– Dlaczego ja nic o tym nie wiem?

– Zapadliście wszyscy w jakiś dziwny letarg.

– Zaraz, zaraz, coś sobie przypominam, Dwojra...

Balonik powiedział, co zastał w mieście po swoim przyjeździe, i zaraz, nie dając Cwyngierowi ochłonąć ze zdumienia, zamówił dwieście dużych ogłoszeń, których treść napisał na kartce. Zapłacił gotówką.

Następnego dnia ogłoszenia były wydrukowane. Duże czarne litery groziły, że kto do pierwszego czerwca nie zaprowadzi porządku na podwórzu, strychu i w piwnicy własnego domu, ten zostanie obłożony wysoką grzywną pieniężną za nieprzestrzeganie przepisów przeciwpożarowych i sanitarnych. Balonik musiał osobiście porozwieszać ogłoszenia. Cwyngier nie chciał pomóc, mówiąc, że jest drukarzem, a nie człowiekiem od rozwieszania plakatów. Pożyczył tylko Balonikowi młotek i odsprzedał kilogram gwoździ z dużymi łebkami.

Balonik poprzybijał rozporządzenia na murach zamkniętych sklepów i szynków, na kościele i bóżnicy, na chederze, na drzwiach szkoły powszechnej i na słupach w Kamionce, najbiedniejszej dzielnicy miasta. Gdy wracał do ratusza, trzymając w ręku ostatnie rozporządzenie, zobaczył Jampallera i Landbauma. Z wózkiem wyładowanym butelkami pejsachówki zatrzymywali się przed każdym polskim domem stojącym wzdłuż muru po zachodniej stronie Natalina. Łomem wyważali drzwi, wchodziłi do środka i skrzętnie zapisując nazwisko właściciela mieszkania stawiali na stole butelkę wódki.

Jampaller, pierwszy dostrzegając Balonika, powiedział:

– Pan starosta widzi, my nie siedzimy z założonymi rękami.

– Więc to jest ten pomysł. Rzeczywiście dobry – przyznał Balonik, widząc, że z jednego z domów wychodzi mężczyzna z butelką wódki w ręce.

– My to wszystko dajemy na kredyt – ze skargą rzekł Landbaum. – My się zrujnujemy.

– My już zrujnowani – dodał Jampaller. – Nawet nie będziemy mieli czym podatku zapłacić.

– O tym później porozmawiamy – obiecał Balonik.

– Później to pan starosta nie będzie miał czasu. Lepiej teraz.

– Bądźcie spokojni, dla was znajdę czas – powiedział Balonik i przybił ogłoszenie na ścianie najbliższego domu, z którego właśnie wyszedł młody Żyd owinięty w brudny koc.

– Patrzcie – roześmiał się Jampaller. – Szloma bez wódki obudził się. To syn naszego kantora.

– To może pisać umie? – zapytał Balonik przypominając sobie, że potrzeba mu urzędników, a przynajmniej na początek jednego, który potrafi czytać i pisać.

– Panie starosto, to jest bardzo zdolny człowiek. Mówi po polsku i po niemiecku.

– Zapytajcie go, czy chce pracować w starostwie.

– Jak to, czy chce? – zdziwił się Jampaller. – On już u pana starosty pracuje. Zelman, chodź tutaj.

Zelman, zaspany, potykając się podszedł do Jampallera, Landbauma i Balonika, i poskarżył się cicho:

– Walichrad nie zabrał mnie na wojnę.

– Ty głupi – naskoczył na niego Landbaum – wojna już się dawno skończyła. Ty podziękuj panu staroście za pracę.

– Dajcie mu spokój – powiedział Balonik widząc, że do zamyślonego Zelmana nie docierają słowa Landbauma. – Jak dojdzie do siebie, niech się ostrzyże, włoży jakieś porządne ubranie i przyjdzie do mnie.

– My już tego dopilnujemy, panie starosto – pospieszył z odpowiedzią Landbaum, zaraz się orientując, że Żyd na posadzie u starosty to bardzo dobry interes. – Damy mu porządne ubranie.

Właściciele „Przyłądka Szczęścia” ubrań mieli pod dostatkiem. Nawet zastanawiali się, czy nie otworzyć sklepu z ubraniami. Po Perutzu zostało kilkanaście garniturów w kolorach od białego do czarnego, kilkadziesiąt koszul, niektóre jeszcze w firmowych opakowaniach, letnie i zimowe płaszcze, dziesięć par butów i cały kufer skarpet. Landbaum i Jampaller listownie powiadomili synów Perutza, gdzie ich ojciec został pochowany, lecz ani słowem nie wspomnieli, że Perutz cokolwiek zostawił. Jeszcze zamierzali procesować się z synami Perutza o pieniądze, które stracili na spółce z ich ojcem.

Rano pierwszego czerwca na ulice wyszło około stu natalinian. Oprócz Glinki z rodziną, Cwyngiera z żoną, Szlomy Zelmana i jego ojca, który już wyszedł na rynek z pękiem sznurowadeł, w większości byli to podpici mężczyźni. Balonik, gdy po raz pierwszy ujrzał na rynku tyłu natalinian naraz, odniósł wrażenie, że w mieście panuje duży ruch.

Pierwszego czerwca z godziny na godzinę wychodziło z domów coraz więcej ludzi, aż Balonik bał się, żeby nie brakło chleba, jeśli piekarze obudzą się później od innych. Ale obserwując miasto z okien ratusza stwierdził, że życie w mieście organizuje się samorzutnie. Podpici mężczyźni o skołtunionych włosach, wiedzeni instynktem – Balonik nie potrafił tego inaczej wytłumaczyć – zmierzali grupkami do „Przyłądka Szczęścia”. Tymczasem kobiety z dziećmi wywoływały z zamkniętych jeszcze domów krewnych i sąsiadów. Wieczorem, na znak, że i ksiądz Stanclik wrócił do swych obowiązków, zabrzmiał dzwon kościoła Najświętszej Marii Panny. Wówczas Balonik, mimo że nie miał jeszcze urządzonego gabinetu ani urzędników w ratuszu, poczuł się naprawdę starostą Natalina.

Pierwszy urzędnik, Szloma Zelman, rozpoczął pracę następnego dnia. Zelman przyszedł do ratusza w czarnym garniturze z białymi prążkami, w białej koszuli i krawacie. Był krótko

ostrzyżony i bez pejsów. Balonik pożyczył mu swoje zapasowe wieczne pióro, które dostał z urzędu wraz z kasą pancerną, i kazał sporządzić aktualny spis mieszkańców Natalina.

Zelman, wypełniając pochyłym, łatwym do odczytania pismem niezadrukowane strony austriackich dokumentów, siedział w ratuszu do wieczora. Nie wyszedł nawet na obiad, gdyż właściciele „Przyłądka Szczęścia” wysłali do niego Hersela z garnczkiem zupy i rybą. Jampaller i Landbaum chcieli, żeby Szloma, pracując bez przerwy obiadowej, zrobił dobre wrażenie na staroście. Sam Zelman wcale o tym nie myślał. Od chwili obudzenia zajęty był przyglądaniem się sobie. Zaczął to robić, jak tylko wstał z ławy, którą dzielił z młodszym bratem. Wstając doznał uczucia, że obok pojawiła się druga, całkiem do niego podobna postać. Z niechęcią spoglądał na swego sobowtóra, któremu Jampaller, obcinając pejsy, tłumaczył, że w dzisiejszych czasach Żyd musi udawać nie-Żyda, ale w duszy i przed Bogiem musi pozostać Żydem. Potem Zelman widział swoją drugą postać na ulicy, tak zmienioną przez ubranie, że znajomi Żydzi nie rozpoznawali, iż to syn Zelmiana sznurówkarza. Patrząc, jak sobowtór, po przywitaniu się ze starostą, sprawdza, czy pióro dobrze pisze, i siada do biurka w pokoju przyległym do gabinetu starosty.

Zelman po kilku godzinach przepisywania nazwisk wstał, żeby rozprostować obolałe plecy, i wtedy spostrzegł, że przed chwilą, gdy pracował, nie widział sobowtóra. Więc znowu skupił się na przepisywaniu, gdyż patrzenie na swoją postać męczyło go. To, co widział, zdało mu się śmieszna kukłą.

Balonik, gdy zaczęły dymić kominy piekarń i Żydzi otworzyli kramy na rynku, postanowił nie zakłócać tego samoistnie odradzającego się życia w mieście żadnymi dodatkowymi rozporządzeniami, zwłaszcza że na rozporządzenie o porządkach nikt nie zwracał uwagi. Na to, żeby wymagać przestrzegania rozporządzeń, przyjdzie czas później, myślał ze wzbierającą z dnia na dzień radością i dumą, że oto sam, bez pomocy rządu, przywrócił normalne życie w Natalinie. Wcześniej bał się, że przyjdzie mu zwrócić się o pomoc chociażby do hrabiego Potemkowskiego, który ostatnio, aby zatrzeć pamięć o niedoszłej Republice Natalińskiej, mienił się gorącym zwolennikiem Komendanta. Był zadowolony, że do tego nie doszło, gdyż co do Potemkowskich miał swoje plany. Na początek zamierzał uczynić hrabiego Potemkowskiego tym, który kasie starostwa przysporzy pieniędzy z tytułu niepłaconych od kilku lat podatków, jako że ziemie Potemkowskiego podlegały administracyjnie starostwu w Natalinie. Następnie zrobi z Potemkowskiego swojego głównego przeciwnika politycznego. Rozważył, że gdy rozpocznie walkę z majątnym i ustosunkowanym hrabią Potemkowskim, to tym samym wzniesie się na miejsce równe jego, a później to już będą się liczyć tylko głosy obywateli.

Podczas któregoś z kolei obchodu miasta, Balonik zauważył tłum ludzi przed domem krawca Glinki. Ze środka tłumu dobiegały wyklinania i płacz kobiety. Balonik przecisnął się do przodu. Pod jabłonią, z pętlą sznura na szyi, stał Glinka. Za ręce trzymało go kilku mężczyzn i żona.

– Puście mnie! – krzyczał Glinka, wrywając się mężczyznom.

– Co się dzieje? – zapytał Balonik, podchodząc pod jabłoń.

– Ten dureń chce się powiesić – odrzekł jeden z mężczyzn.

– Dlaczego?

– Bo mu zginął materiał na spodnie, a nawet nie wie, kto zostawił ten materiał. Kretyn.

– Ja nie widziałam żadnego materiału – płaczliwym głosem wtrąciła Glinkowa.

Balonik przypomniał sobie, że Walichrad po wywaleniu drzwi coś mówił o spodniach.

– Panie Glinka – Balonik stanął naprzeciwko krawca. – Spodnie zamówił u pana Walichrad. Ale materiału nie zostawił, tego jestem pewien. Chyba miał przynieść następnego dnia.

– Widzisz, durniu, a ty od razu na drzewo.

– Kiedy ja widziałem materiał – powiedział krawiec. – Granatowy.

– W takim razie chodźmy do pana Walichrada i rozstrzygniemy na miejscu – zaproponował Balonik, myśląc, że będzie to dobra okazja do zaznajomienia się z Walichradami.

– Nie – krawiec przestraszył się. – Ja do Natalinka nie pójde.

– To chcecie się powiesić? – ze złością zapytał Balonik.

– Nie chcę – Glinka nie wiedział, co robić.

– Więc chodźmy, panie Glinka – powiedział Balonik, wychodząc na drogę.

– Idźże, idźże – Glinkowa popchnęła męża, żeby poszedł za Balonikiem.

Glinka, z pętlą na szyi i końcem sznura w ręku, szedł w dużej odległości za Balonikiem. Pod dziką gruszą, która rosła w połowie drogi pomiędzy Natalinem a Natalinkiem, Balonik odwrócił się i kazał Glince iść prędzej.

Gdy stanęli przed zamkniętą bramą Natalinka, krawiec powiedział z przestachem:

– Stary Walichrad nie lubi, jak przychodzą do niego ludzie z miasta.

– To polubi – rzekł Balonik, dopowiadając sobie w myśli, że skończyły się czasy, w których rządili tacy jak Walichradowie czy Potemkowscy. – Krzyknij głośno, żeby ktoś wyszedł.

– Na pana Walichrada mam krzyczeć? – Glinka skulił ramiona.

– Chyba nie myślisz, że ja będę krzyczał.

– Co mam krzyknąć? – krawiec drżącymi rękami ciągnął za sznur, jakby sam sobie chciał zacisnąć pętlę.

– Zdejmij, głupcze, ten sznur! – rozzłościł się Balonik.

– Nie zdejmę, bo jak się okaże...

Na ganek wyszedł Bysała i zapytał:

– Czego tam?

– Jestem starostą – powiedział Balonik. – Chcę się widzieć z panem Józefem Walichradem.

– Chory jest – rzekł Bysała.

– Przychodzę w ważnej sprawie.

– Dobrze, zapytam – Bysała wszedł do domu.

Balonikowi nie spodobało się takie przyjęcie. On, najważniejsza osoba urzędowa w powiecie, musi wyczekiwać pod bramą jak domokrażca, i to w towarzystwie krawca. Ale to się zmieni, myślał z gniewem. Niech tylko wyszuka gabinet, zatrudni urzędników i policjantów, wtedy on każe czekać pod swoimi drzwiami.

Po chwili do bramy podszedł Feliks i od razu ze zniecierpliwieniem powiedział:

– Panowie, ja do miasta nie jeżdżę i nie chcę, żeby ktokolwiek z miasta do mnie przyjeżdżał.

– Raczy pan przyjąć do wiadomości – spokojnie powiedział Balonik – że jestem starostą Natalina.

– Przyjąłem, ale to dla mnie bez znaczenia. Starostą jesteś pan tam – Feliks pokazał w kierunku Natalina.

– Władza moja rozciąga się na cały powiat – powiedział Balonik, starając się ukryć gniew.

– To z kolei pan raczy zapamiętać, że Natalinek nie należy do powiatu.

– Dzisiaj nie będziemy się o to kłócić. Przyszedłem w sprawie tego biednego człowieka – Balonik spojrzał na krawca, który stał ze spuszczoną głową.

– Co mu? – Feliks popatrzył na sznur na szyi Glinki.

– Pański syn, Józef...

– Kuzyn – poprawił Feliks.

– Więc pański bratanek zamówił u niego spodnie, ale nie dał materiału. Ten krawiec myśli, że zgubił materiał i z rozpaczyc chce się powiesić.

– I przyprowadził go pan, żeby się u mnie powiesił?

– On nie chce być posądzony o kradzież materiału.  
Feliks spojrział na Glinkę, mówiąc ze zdziwieniem:  
– To tacy ludzie jeszcze się uchowali w mieście?  
– Ja nie wiem, proszę pana – wymamrotał Glinka.  
– W takim razie wejdźcie – Feliks otworzył bramę i zwracając się do Balonika dodał – lecz mam nadzieję, że to ostatnia pańska wizyta u mnie.

Balonik nie odpowiedział.

Kiedy z Glinką, zaprowadzony przez Bysałę, wszedł do pokoju Józefa, Józef siedział na łóżku oparty o dwie poduchy. Zachorował po kolacji, która zakończyła się kłótnią z Feliksem. Nagle w przeciągu dwóch godzin dostał wysokiej gorączki, a mięśnie zrobiły mu się wiotkie jak pęcherz, z którego wypuszczono wodę. Nocą bredził w malignie o dzieciach i policjantach. Lekarz sprowadzony z majątku w Rosolnicy powiedział, że nie znajduje u Józefa żadnej choroby. Od wypadku kazał jednak postawić Józefowi bańki i dawać chininę z herbatą. Po dwóch dniach chininowo-herbacianej kuracji Józef poczuł się lepiej, tak że mógł po raz pierwszy od dwóch dni przełknąć kawałek kury.

– Co pana sprowadza? – zapytał Józef, zaskoczony nadejściem starosty.

Balonik opowiedział, jak to w ostatniej chwili uratował krawca przed samobójstwem, i Glinka zaraz został odprawiony z materiałem na trzy pary spodni. Balonik, pamiętając powitanie Feliksa, zamierzał wyjść za Glinką, ale Józef zatrzymał go pytając:

– I co pan zdziałał w Natalinie?

– Miasto wraca do życia – z dumą odrzekł Balonik. – Jeszcze kilka dni...

Nie dokończył, gdyż do pokoju wbiegła młoda kobieta w jasnoniebieskiej sukience zapiętej pod szyją. Piersi, wyraźnie zarysowujące się pod wiotkim materiałem wznosiły się i opadały w rytm głębokich oddechów. Kobieta zatrzymała się pośrodku pokoju i szybkim ruchem wyciągnęła z włosów spinkę. Włosy miękko rozpląnęły się na ramiona i plecy. Żeby ułożyć się równiej, kobieta kilka razy potrząsnęła głową i wtedy dostrzegła Balonika.

– Mogłeś mnie uprzedzić – z wyrzutem powiedziała do Józefa i onieśmielona wyszła z pokoju.

– Kto to? – zapytał Balonik, wpatrując się w to miejsce w drzwiach, gdzie zniknęły rozkołysane włosy.

– Kuzynka. Krystyna.

– Piękna – bezwiednie wyszeptał Balonik.

– Tak, ładna dziewczyna – potwierdził Józef. – Bardzo się zmieniła od czasu, gdy wyjechałem. Upodobniła się do mojej prababki z portretu, który wisi w salonie. Ciotka, jej matka, jest tym podobieństwem bardzo zaniepokojona.

– Zaniepokojona, że ładna?

– Ponoć moja prababka była dziwką w domu publicznym. Ale nie powiedział pan, co teraz dzieje się w Natalinie.

– Dobrze się dzieje, dobrze – odrzekł zamyślony Balonik i zaraz zapytał: – A czy ona jeździ do kościoła? Proboszcz już trzeci dzień odprawia msze.

Józef roześmiał się.

– Niech pan nie liczy na przypadkowe spotkanie pod kościołem.

– Ależ skąd? – nieszczerze oburzył się Balonik.

– Jeśli będą teraz jeździć do kościoła w mieście, w końcu to dziewięć kilometrów bliżej niż do Sokołówki, to tylko pod schody kościoła i z powrotem. Stryjowi wszystko, co w mieście, pewnie nawet kościół, kojarzy się z nieczystą sprawą. Wyobrażam sobie, jak musiał być zawiedziony, kiedy powiedziałem, że chcę zamieszkać w Natalinie.

– Będzie pan mieszkał w Natalinie? – ucieszył się Balonik myśląc, że do mieszkającego w mieście Józefa będzie przychodzić kuzynka i wtedy na pewno nadarzy się okazja do zaznajomienia z nią.



- Przeprowadzę się, gdy tylko znajdę jakiś dom do kupienia.
- Ja panu poszukam – żarliwie obiecał Balonik.

Balonik dotrzymał słowa. W trzy miesiące po chorobie Józef zamieszkał w Natalinie, w jednopiętrowej kamienicy z attyką zwieńczoną kamiennymi kulami, która dawniej należała do Austriaka z Salzburga. Ale nim do tego doszło. Balonik postanowił urządzić wielki festyn na błoniach pomiędzy koszarami a Wisłą, tam gdzie dawniej ćwiczyli jeźdźcy z pułku księcia Ernesta. Chciał w ten sposób uświetnić odrodzenie się Natalina. Balonik, od dnia wizyty w Natalinku bez przerwy myśląc o Krystynie Walichradównie, umyślnie wybrał błonia na miejsce festynu. Znajdowały się poza granicami miasta, więc, stwierdził, Feliks Walichrad może tam bez uprzedzeń przyjechać z rodziną.

Przed ostateczną decyzją o urządzeniu festynu Balonik odwiedził co zamożniejsze rodziny w okolicy, żeby zapytać, czy przyjmą zaproszenia na festyn jako honorowi goście. Nikt nie odmówił, a przy okazji pobytu u Truszkowskich w Rosolnicy udało mu się zatrudnić do pracy w starostwie kuzyna Truszkowskich, Anastazego, niedołęznego grubasa. Anastazy nie nadawał się na urzędnika, ale jako człowiek dobrze urodzony mógł się przydać Balonikowi, gdy przyjdzie załatwić jakieś sprawy we dworach. Poza tym spodobało się Balonikowi, że będzie u niego pracował czystej krwi szlachcic.

W tydzień po oficjalnym ogłoszeniu przygotowań do festynu Balonik pojechał do Natalinka. Aby godnie wypaść przed Walichradami, kupił krakowską bryczkę i czarnego jak smoła konia, a na woźnicę najął młodego Papiernika, którego ojciec pracował w stajni hrabiego.

- Ale Feliks nie przyjął zaproszenia na wielki festyn. Podarł je i rzucił na ziemię, mówiąc:
- Sądziłem, że tamto spotkanie było naszym ostatnim.

Balonik wrócił do ratusza pognębiony, zastanawiając się, czy nie odwołać festynu. Teraz, kiedy miało nie być na festynie Walichradówny, nie widział sensu w organizowaniu tej imprezy. Lecz na odwołanie było za późno. W tym czasie powstał komitet organizacyjny wielkiego festynu i jego członkowie już się zabrali do działania, zaczynając od zamówienia u Cwyngiera plakatów powiadamiających o wielkim festynie w Natalinie.

Po kilku dniach Balonik został pocieszony. Od przypadkowo spotkanego na rynku Józefa dowiedział się, że Zofia i Krystyna na pewno pojedą na festyn.

- Ciotka nie popuści, aby ona w domu siedziała, gdy wszyscy sąsiedzi bawią się – powiedział Józef ze śmiechem.

Zofia dowiadując się, że wszystkie znajome rodziny przyjęły zaproszenia na wielki festyn, a tylko Feliks odmówił, i to jeszcze bez porozumienia się z nią, wypomniała mężowi, że nie idzie z duchem czasu i nie zauważa przemian, jakie się wokół dokonują, że żyje, jak gdyby on sam był na świecie, że ponadto dzięki niemu Krystyna zostanie starą panną albo będzie musiała wyjść za obleśnego starucha, gdyż siedząc w domu nie pozna nikogo odpowiedniego dla siebie, a co do wielkiego festynu powiedziała:

- Feliksie, ludzie chcą bawić się, żeby zapomnieć o wojnie i złych czasach. W tym nie ma nic zdrożnego i tylko trzeba przyklasnąć nowemu staroście, że dba o ludzi.

– Naród, który zapomina o wojnie, zapomina, jak się walczy – odrzekł Feliks. – A wojna będzie wcześniej czy później, i wtedy taki naród ginie, bo nie potrafi obronić się.

– To niech wszystkie narody bawią się i zapomną, jak się walczy! – ze złością powiedziała Zofia.

- Tak może myśleć tylko kobieta.

– Przecież nawet Józef, twój umiłowany bohater, wie, że dzisiaj trzeba inaczej żyć, bez wywijania szablą.

– Wszyscy mężczyźni z jego rodu chodzili własnymi drogami, ale szabli nigdy nie zdradzili – z tłumionym gniewem powiedział Feliks, choć sam jeszcze nie wiedział, czy to, że

Józef przeprowadza się do miasta, jest zdradą szabli i ojców, czy nie.

- Wiec pozwól i innym chodzić, jak chcą! – krzyknęła Zofia.
- Po mojej śmierci.

## WIELKI FESTYN

W skład komitetu organizacyjnego wielkiego festynu weszli: Cwyngier, rejent Szpak, trzydziestoletni nauczyciel Kulig, komendant straży pożarnej Wiącek, cukiernik Frąckowski i proboszcz Stanclik. Balonik przydzielił komitetowi do pomocy Szłomę Zelmana, który wykazując w pracy niezwykłą pilność miał ponadto wrodzony dar zaprowadzania ładu pomiędzy ludźmi.

Balonik szybko oceniając zdolności i pracowitość Zelmana, który w ciągu czterech dni sporządził spis mieszkańców Natalina włącznie z danymi o majątkach, zawodach i stosunku do służby wojskowej, mianował go kierownikiem kancelarii starosty. To stanowisko uczyniło Zelmana najważniejszą, praktycznie rzecz biorąc, osobą po staroście. Przez kancelarię przechodziły wszystkie podania i prośby, tam rozstrzygały się losy opisanych spraw, gdyż od kierownika kancelarii zależało, kiedy i czy w ogóle prośby trafią na biurko starosty. Jampaller i Landbaum, doceniając wysokie stanowisko swojego ziomka, rozłożyli Zelmanowi raty za garnitur na trzy lata, zamiast jak się poprzednio umówili na dwa.

Dzięki obecności Zelmana na codziennych zebraniach komitetu organizacyjnego, które odbywały się w wysprzątanej sali posiedzeń w ratuszu, komitet zachował jaki taki umiar w przygotowywaniu festynu. Zelman stanowczo wykreślał propozycje komitetu, które jego zdaniem przekraczały możliwości miasta, a nawet przechodziły ludzkie pojęcie, jak na przykład pomysł Kuliga, żeby nafosforyzować trawę na błoniach tak, aby w nocy świeciła zamiast latarni. Zelman nie dopuścił także do wysłania zaproszenia na festyn do Komendanta i sztabu generalnego, czym przysporzył sobie wrogów pośród członków komitetu, którzy niechętnie pogodzili się, iż uroczystości na błoniach nie uświetnią najwyżsi rangą urzędnicy państwowi i że w związku z tym nie odbędzie się defilada wojska polskiego. Komitet co do strony militarnej uroczystości musiał poprzestać na przemarszu oddziału strażaków pod dowództwem komendanta Wiącka. Wiącek obiecał, że na czas przemarszu pozwoli im nałożyć nowe mosiężne hełmy i przypiąć posrebrzane toporki, na które wydał cały swój majątek, licząc wprawdzie, że odbije to sobie na pożarach; zastrzegł się mieszkańcom Natalina, że bez zaliczki na ugaszenie pożaru to nawet tyłkiem nie ruszy, choćby się miało całe miasto spalić. Powstały tylko kłopoty z orkiestrą strażacką, gdyż kapelmistrz nie powrócił z wojny, a poza tym brakowało trąb i osła do ciągnięcia wózka z bębniem. Zelman podpowiedział Wiąckowi, żeby wziął Żydów do orkiestry strażackiej. Ale Wiącek, na samą taką myśl bliski ataku apopleksji, powiedział, że dopóki żyje, to żaden Żyd nie pójdzie w mundurze strażaka. Zezwolił tylko, żeby Klajman, który umiał grać na wszystkich instrumentach, wyuczył strażaków grać „Ahoi-Marscha”.

Wiącek, gdy doszło do prób orkiestry, był obecny na każdej, pilnując, żeby Klajman nie uczył innej melodii. Wszyscy znali opowieści, jak to Klajman, grając na przez siebie zrobionych skrzypcach, wesela przemieniał w pogrzeby, a pogrzeby w wesela, że nawet księża tracili głowy. Więc gdy tylko Wiącek dosłuchał się obcej nuty, natychmiast przerywał próbę, w obawie, że strażacy nauczą się jakiegoś żałobnego marsza i skompromitują Wiącka

jako komendanta straży pożarnej w Natalinie.

Dwa tygodnie przed wielkim festynem komitet rozesłał zaproszenia do szynkarzy, cukierników, rzeźników i kramarzy w okolicznych miejscowościach. Zapewniano im duże zyski podczas festynu, bez grosza podatku.

Frąckowski i Kulig pojechali do Warszawy po gimnastyków, kuglarzy, siłaczy i innych ludzi cyrkowych zawodów, a także po miejską orkiestrę, która miała grać dla honorowych gości. Rejent Szpak, jako że w młodości chciał zostać geometrą, zajął się wyznaczaniem miejsc na błoniach, gdzie miała być wybudowana trybuna dla honorowych gości, podłogi do tańca, kramy z jadłem i napitkami. Dla właścicieli restauracji „Przyładek Szczęścia” Szpak z polecenia starosty wyznaczył najlepsze miejsce na błoniach: pomiędzy trzema podłogami do tańca. Pod kierunkiem rejenta zgodnie pracowali ci natalinianie, którzy nie mając czym handlować nie wiedzieli, co z czasem zrobić. Było ich ponad tysiąc. Więc łopatami i motykami równali błonia, wycinali pokrzywy i palili suche jałowce, kopali doły pod latryny i budowali ogrodzenia przed wiślanymi łachami, żeby nikt się nie utopił po pijanemu.

Na rozkaz starosty komitet zorganizował straż obywatelską. Miała ona nie dopuszczać do bójek, a przede wszystkim rozruchów, które mogą wzniecać agitatorzy komunistyczni. Balonik nie chciał, żeby w jego mieście szkalowano rząd, do którego, miał nadzieję, wejdzie niebawem. Straży obywatelskiej, złożonej z najroślejzych chłopów i uzbrojonej w poręczne drewniane pałki, obiecał nagrodę od każdego schwytanego komunisty.

Dużo pracy przed wielkim festynem miał miejscowy nauczyciel tańca, Maklak, nieprawy syn jednego z oficerów austriackich stacjonujących w Natalinie. Matka jego była kucharką. Maklak, przez wzgląd na ojca mając siebie za szlachcica, uczył się jeździć konno, fechtunku i tańca. W końcu, zakładając szkołę tańca, poprzestał na tym. Komitet wydelegował go do Lwowa, żeby podpatrzył, jakie są modne tańce. Po tygodniu Maklak powrócił i zdumiewając natalinian oświadczył, że w świecie nikt już nie tańczy lansjera ani oberka, tylko prowincjusze, że kulturalni i światowi ludzie tańczą fokstrota i tango. Wszyscy młodzi natalinianie zapragnęli być światowi. Ulice i podwórza wypełniły się muzyką z patefonów i podrygującymi lub przytulonymi do siebie parami. Najwięcej było przytulonych. Na nic zdał się protest proboszcza Stanlika przeciwko tańczeniu tanga. Proboszcza oburzał ten rozwiązły taniec, w którym mężczyzna i kobieta znajdują się tak blisko siebie. Z ambony zagroził, że wyklnie tańczących tango, lecz widząc, iż bezcelowe są jego groźby, gdyż musiałby wykląć wszystkich kawalerów i panny w Natalinie, na znak protestu wystąpił z komitetu organizacyjnego wielkiego festynu.

Na kilka dni przed festynem całe miasto było w gorączce. Natalinianie łatali dziury w chodnikach, malowali domy i płoty, a także po raz pierwszy od lat uprzątnęli z rynku błoto i nawóz. Żydzi wystawili w sklepach i na stołach pod podcieniami nieprzebrane bele materiałów. Dla bogatych mieli angielskie wełny, lamy, tafty, atłasy z Lyonu, złotogłowie, dla biedniejszych wełny szkockie tkane ze zgrzebnej przędzy, kretony, trudno ścieralne szewioty. Krawcy pracowali dzień i noc. Wśród mężczyzn stały się modne tużurki z kolorowymi kołnierzami, zapinane na dwa guziki. Ceny za uszycie tużurka rosły z godziny na godzinę. Taki sam tużurek wieczorem kosztował dwa razy tyle co rano. Glinka zaprzęgnął do pracy całą rodzinę. Glinkowa kroila materiał podług wcześniej przygotowanych szablonów, gdyż nie stało czasu brać miarę od każdego z osobna. Glinka szył na maszynie. Córki prasowały, a synowie materiałem obciążali guziki i przyszywali je.

Jednocześnie do miasta zaczęli ściągać zaproszeni kramarze, kupcy i ci handlarze, których doszły wieści o wielkiej uroczystości w Natalinie. Rynek wraz z przyległymi ulicami przemienił się w ogromne, trwające od rana do nocy targowisko.

Jednego z mężczyzn ze straży obywatelskiej, Budryka, Balonik nakłonił do ubrania munduru policjanta, żeby jako policjant czuwał nad Zelmanem, który zbierał placowe od handlujących w mieście. Budryk zgodził się, ale pod warunkiem, że dostanie pistolet. Balonik

dał mu swojego nagana i w kilka godzin później odebrał z powrotem, gdyż Budryk na każdy objaw sprzeciwu zapłacenia placowego wyciągał pistolet, grożąc, że zastrzeli na śmierć.

Do Natalina przybywało coraz więcej ludzi. Balonik miał nadzieję, że przy pomocy Zelmana, komitetu i straży obywatelskiej zdoła zapanować nad nimi. Jednak gdy przybyszy było dwukrotnie więcej niż tubylców, w mieście zapanowało prawo siły i utrzymanie jakiegokolwiek porządku stało się niemożliwe. Straż obywatelska przestała reagować na bójki, do jakich dochodziło przy zdobywaniu miejsc do spania czy lepszych punktów sprzedaży, i na okrzyki wzywające pomocy i „łapać złodzieja”. Członkowie straży ograniczyli się do wypatrywania agitatorów komunistycznych, którzy wobec takiego nagromadzenia ludzi stawali się najniebezpieczniejsi. Balonik bał się, żeby to, co miało być ludową zabawą, za podjudzeniem agitatorów nie przemieniło się w antyrządową demonstrację.

W piątek, dwa dni przed rozpoczęciem festynu, do miasta wjechały wozy z karuzelą, z beczką śmiechu, strzelnicą, kinematograf i zoo.

Balonik, zostawiając przy drzwiach ratusza dwóch wartowników, co chwilę z niepokojem wychodził na rynek. Przewyciężając strach mieszał się z tłumem, który wrzał jak bezkształtna masa, aż niekiedy zdawało mu się, że ludzie wypchają domy poza obszar miasta. Balonik, nie rozpoznawany przez nikogo, chodził po rynku z nadzieją, że ten wielki jarmark przyciągnie Krystynę Walichradównę i on będzie mógł spojrzeć na nią. Przed oczami co chwilę jawiły mu się rozkołysane, jedwabiste włosy Krystyny.

Z mieszkańców Natalinka napotkał tylko Józefa. Szybko podszedł do niego i z nieudolnie skrywaną obojętnością zaczął się dopytywać o zdrowie rodziny Walichradów.

– Dobrze się mają, panie starosto – wesóło odrzekł Józef, który w tłumie, wśród swarów i śmiechów, czuł się o wiele lepiej niż w ospałym Natalinku. – Wszyscy zdrowi, dziękuję. Patrz pan na tego – Józef pokazał na sprzedawcę książek z pomalowaną na czerwono łysiną, który palcami wskazując na książki mówił:

– Mam wszystkie najważniejsze książki na świecie. Do wyboru, dla mądrych i mądrzejszych, z literami i obrazkami, o diabłach i świętych walczących z diabłami, o czarownicach i zaczarowanych przez nie królewnach, o rusalkach i błędnych ogniach wiodących na pokuszenie, o tym, jak układać kabały, o tym, jak polować z sokołem, jak odczyniać uroki i najdroższa o tym, jak zostać bogatym.

Balonik odszedł od sprzedawcy książek z nutami „Modlitwy dziewicy”, po które nieopatrznie wyciągnął rękę i już musiał kupić, a Józef z książką „Jak polować z sokołem”. Dalej poszli razem i Balonik, po kilku godzinach włóczenia się z Józefem po mieście, zaczął z dotąd bezkształtnego dla siebie tłumu wyodrębnić i zapamiętywać pojedynczych ludzi. Także zwróciły jego uwagę sprzedawane na ulicach towary. Chciał nawet kupić u Ormianina nabijany srebrem kindżał kaukaski, ale zawstydzony przez Józefa, który powiedział, że ta broń nadaje się jedynie do powieszenia na ścianie, zrezygnował, choć właśnie myślał o powieszeniu kindżału na ścianie. W jednej z wąskich uliczek niedaleko Kamionki wypił z Józefem po kieliszku wódki z kwiecia dziewanny i wysłuchali kapeli żydowskiej, składającej się ze skrzypka, cymbalisty, bassetlisty i dwóch chłopów grających na bębnie i sopiłce. Żydzi przygrywali dziewczynie w stroju krakowskim, która wzięwszy się pod boki śpiewała:

*Pije Kuba do Jakuba,  
bierz przykład z Michała,  
zawsze trzeźwy, wesół, rzeźwy,  
kocha go wieś cała.  
Bo kto w karczmie pije,  
tego we dwa kije,  
łupu cupu po kozuchu,*

*niech po polsku żyje.*

Po obejrzeniu panoramy Wyspy Świętej Heleny, na której widać było Napoleona siedzącego przed domem-więzieniem w Longwood, i po obejrzeniu popisów człowieka-ryby, który przez pół godziny trzymał głowę zanurzoną w wiadrze wody. Józef, już w zapadających ciemnościach, zaprowadził Balonika do ogrodu za dawną pensją dla dobrze urodzonych panien. Tam znajdował się kinematograf. Filmy wyświetlano na prześcieradle rozpiętym na ścianie. Balonik, zapomniawszy się, obejrzał po kolei „Tarzana” z Elmo Lincolnem w roli tytułowej, filmy z Gretą Garbo, Mią May, czarnowłosą Francescą Bertini. Najbardziej spodobała mu się Mia May we „Władczyni świata”. Przypominała Balonikowi panią Genowefę, wdowę po radcy ministerstwa, która nim wyszła za właściciela tartaku i dwóch aut, była mamą-kochanką Balonika. O świcie, gdy obrazy na ekranie stały się ledwie widoczne, Balonik z zawstydzeniem uzmysłowił sobie, że siedzi na gałęzi gruszy wraz z kilkoma innymi miłośnikami kina. Cicho, żeby nie zwrócić na siebie żadnej uwagi, zszedł z drzewa i wyszedł z ogrodu.

Wielki festyn otworzyła uroczystym wejściem na puste błonia orkiestra strażacka, na której czele szedł komendant Wiącek z wiewiórczą kitą przyczepioną do hełmu. Pasek hełmu wrzynał się Wiąckowi w brodę tak, że Wiącek musiał jeszcze wyżej niż z dumy unosić głowę. Komendant strażaków byłby nieomal szczęśliwy, gdyż wreszcie całe miasto i wielu przyjezdnych mogło zobaczyć, jakie wspaniałe hełmy i toporki kupił dla strażaków, gdyby nie gromada wyrostków, którzy szli za orkiestrą i głośno skandowali:

Pod Ulm, pod Ulm, pod Austerlitz  
braliśmy w dupę, nie gadaliśmy nic.  
Bo my Austriacy taki zwyczaj mamy,  
że w dupę bierzemy i nic nie gadamy.

Strażakom mylił się rytm „Ahoi-Marscha”. Paczułka, który z braku osła sam sobie musiał dźwigać bęben, coraz częściej wybijał do rytmu skandujących wyrostków. Wiącek patrzył na chłopaków ze srogo zmarszczonymi brwiami, a gdy to nic nie dało, usiłował uspokoić ich pobłażliwymi uśmiechami. Wreszcie gdy „Ahoi-Marsch” coraz mniej przypominał marsza, Wiącek opuścił czoło orkiestry i odpinając toporek pognął za chłopakami. Ci zaś ryknęli śmiechem i obrzucili komendanta kamykami. Jeden z kamyków trafił w hełm. Wiącek znieruchomiał, jakby zaraz miał stracić przytomność. Po chwili zdjął hełm i szukał na nim śladu uderzenia. Tymczasem strażacy, nie wiedząc, co robić, zatrzymali się. Oglądali się do tyłu, w kierunku koszar, gdzie stał starosta, członkowie komitetu organizacyjnego i tysiące ludzi, którzy mieli wejść na błonia po przemarszu orkiestry – jak przewidywał program wielkiego festynu rozlepiony na ratuszu.

Balonik oceniając, że sytuacja staje się śmieszna, co już skrzętnie notował wysłannik „Głosu Lwowa”, dał znak do wystrzelenia czerwonej racy – sygnału rozpoczęcia wielkiego festynu. Raca poszybowała w górę i ludzie wyszli na błonia jak zwarte oddziały wojska. Balonik przestraszył się, że po drodze zmiotą trybunę dla honorowych gości, kramy i latryny, że po ich przejściu zostanie tylko zdeptana ziemia. Ale tłum, w miarę jak szedł coraz głębiej, rzędnął. Ludzie rozchodzili się do punktów sprzedaży kanapek, piwa, wódki, pieczonej kiełbasy, lodów, do karuzeli przewiezionej z miasta, strzelnicy, zoo z wychudłym tygrysem i dwiema małpami, o których dzieci mówiły, że mają pupy jak jabłka – czerwone, do went obsługiwanym przez żony członków komitetu, do salonu śmiechu z krzywymi zwierciadłami i namydlonego słupa, gdzie na tego, kto dotrze do wierzchołka, czekała butelka wódki.

Balonik, uspokojony, poszedł pod trybunę, żeby powitać honorowych gości, którzy powinni lada chwila się zjeżdżać. Był ubrany w najlepszy garnitur Dietera, obok siebie miał

Anastazego Truszkowskiego i Józefa Walichrada, którego uprosił, aby był w czasie przyjazdu gości. Balonik chciał w ten sposób znaleźć bardziej bezpośredni dostęp do Krystyny, ale tego Józefowi nie powiedział.

Zofia Walichradowa i Krystyna, wraz z towarzyszącymi im Więckowskim i Rójkami znanymi z Ranu, przyjechały jako ostatnie z zaproszonych gości, gdy już niebo zrobiło się czarne. Balonik widząc, że Więckowski pomaga Krystynie wysiąść z bryczki, zapytał Józefa:

– Ten mężczyzna to też z pańskiej rodziny?

– To hrabia Więckowski, adorator – odrzekł Józef.

– Przystojny – z żalem zauważył Balonik.

– Zadłużony u wszystkich dokoła, ale ma nadzieję na wielki spadek po swojej ciotce.

– Dzień dobry paniom – Balonik wyszedł naprzeciwko Zofii i Krystyny. – Wielki to dla mnie zaszczyt powitać na dzisiejszej uroczystości.

– Nie będziemy długo – zastrzegła się Zofia. – Przyjechałyśmy tylko z ciekawości.

– Ale mam nadzieję – Balonik zwrócił się do Krystyny, ubranej w biały płaszcz na ciemnozieloną suknię – że pani zdąży zatańczyć ze mną.

– O tym już mama decyduje – Krystyna spojrzała Balonikowi prosto w oczy jak mała, ciekawa ludzi dziewczynka.

– Zobaczmy, zobaczmy – rzekła Zofia z roztargnieniem i zaraz uśmiechnęła się do mężczyzny o krostowatej twarzy, który stanął obok nich: – Witam, drogi panie Pogórski.

– A właściwie to z kim mamy zaszczyt? – nieoczekiwanie zapytał Więckowski, wchodząc pomiędzy Krystynę a Balonika.

– Starosta Korneliusz Balonik – przedstawił się Balonik, usiłując wymówić nazwisko obojętnym tonem, ale z przejęciem powiedział za cicho.

– Pan wybaczy, ale ta wrzawa – Więckowski pokazał na muzyków z Warszawy, którzy grali pod kolorowymi lampionami. – Nie dosłyszałem.

– Starosta Balonik.

– Aha, Balonik. Miło mi – Więckowski uśmiechnął się lekceważąco i nie zdejmując rękawiczki wyciągnął dłoń do Balonika.

Balonik, nie podnosząc swej dłoni, powiedział ugrzecznionym tonem:

– W Natalinie obowiązują pewne przepisy sanitarno-epidemiologiczne i jeśli ma pan zakaźną chorobę skóry...

– Wypraszam sobie – odrzekł Więckowski z oburzeniem. – Ludzie z mojej sfery nie chorują na jakieś chamskie pryszcze.

– Coś pan powiedział? – do Więckowskiego zwrócił się krostowaty Pogórski.

– Panie hrabio – rzekł speszony Więckowski – nie miałem pana hrabiego na myśli. Bóg mi świadkiem.

– Dość! – krzyknął Pogórski. – Jesteś mi pan winien czterdzieści miliardów marek.

– Oddam panu, przyrzekam.

– Już mi pan dwa razy przyrzekał. Daję panu dzień czasu na uregulowanie długu – Pogórski uklonił się Zofii i odszedł.

Balonik, zadowolony z odprawy udzielonej Więckowskiemu, zaprowadził gości z Natalinka do ukwieconej łoży pośrodku trybuny.

– Wybrałem dla państwa najlepsze miejsce.

– Mnie tam wszystko jedno – powiedział Rojek.

– Z zapaleniem sztucznych ogni specjalnie czekałem do teraz – dodał Balonik, spoglądając na Krystynę.

– Bardzo lubię sztuczne ognie – ucieszyła się Krystyna.

Balonik dał znak do rozpoczęcia popisów pirotechnicznych, które były specjalnością młodego Wiącka, syna komendanta straży pożarnej. Zbudował on na skraju łąki, tuż przed łąkami, kilka wyrzutni rakiet świetlnych. Rakiety, naładowane siarką, saletrą, węglem

drzewnym i opiłkami metali, zrobił w swej pracowni chemicznej na strychu ojcowskiego domu.

Po kilku minutach niebo nad błoniami rozświetliło się kolorowymi gwiazdami. Ludzie zadzierali głowy do góry, a ich twarze robiły się na przemian żółte, trupio blade, czerwone. Balonik spoglądał na zachwyconą twarz Krystyny, gdy obok niego stanął Szloma Zelman.

– Co się stało? – ze złością zapytał Balonik.

– Nadeszła wiadomość – szeptem powiedział Zelman – że marka została zastąpiona złotym polskim.

Balonik zbladł. To groziło nagłym przerwaniem festynu, nie zdąży zatańczyć z Walichradówną! Gdy sprzedawcy dowiedzą się o zamianie pieniędzy, nie zechcą przyjmować marek i zwiną swoje interesy. Wprawdzie wszyscy oczekiwali wymiany pieniędzy, bo już dłużej niepodobna było chodzić po chleb z teczką pełną banknotów, ale nikt się nie spodziewał, że nastąpi to z dnia na dzień, bez uprzedzenia.

– Zadzwoń pan do Warszawy i dowiedz się czegoś bliższego – Balonik rozkazał Zelmanowi. – I nikomu ani słowa.

Kiedy skończyły się fajerwerki, Balonik powiedział do Krystyny, żeby poprosiła swoich przyjaciół, gdyż ma niezwykle ważną wiadomość do przekazania. Rzykując, że wiadomość o wymianie marki na złoty rozprzestrzeni się, Balonik postanowił ją jednak zdradzić kilku osobom, mając nadzieję, że Walichradowie i przyjaciele Walichradów docenią to.

– Wszyscy są moimi przyjaciółmi – odrzekła Krystyna.

– W takim razie proszę wybrać kilku z nich – powiedział Balonik, ubolewając w myśli nad naiwnością Walichradówny.

– Ale o co chodzi, panie starosto? – zapytała Zofia, z niezadowolaniem obserwując, jak córka i starosta spoglądają na siebie.

– Chcę, żeby panie i osoby paniom najbliższe dowiedziały się, że z dniem dzisiejszym został zmieniony w Polsce pieniądz.

– O Boże! Co to znaczy, panie hrabio? – Zofia zwróciła się do siedzącego obok Rojka.

– Do usług, dobrodziejko.

– Słyszał pan?

– Słyszałem, dobrodziejko.

– I co będzie?

– Nic nowego, dobrodziejko – odrzekł znudzony hrabia Rojek.

Po chwili wszyscy honorowi goście wiedzieli o zamianie marki na złote. Ale ku zdumieniu Balonika na żadnym z nich nie zrobiło to większego wrażenia, a niektórzy, jak Więckowski, nawet uśmiechali się ze skrytym zadowoleniem.

– Czy to naprawdę takie ważne? – Krystyna zapytała Balonika.

– Sądziłem, że tak, gdyż praktycznie marki stały się bezwartościowymi papierami. Ci ludzie – Balonik pokazał na błonia pełne pijanych i krzykliwych mężczyzn – piją i jedzą w gruncie rzeczy za darmo, bo tak, jakby płacili liśćmi z drzewa.

– Choć raz mają coś za darmo – roześmiał się Józef. – Szkoda tylko, że o tym nie wiedzą. Pójdę już – Józef wstał.

– Ale pan im nie powie? – przestraszył się Balonik.

– Nie.

Józef postanowił pójść do ratusza do Szlomy Zelmiana. Gdy go przed chwilą zobaczył obok starosty, przypomniał sobie, iż powracając do Natalinka chciał koniecznie porozmawiać z Zelmanem, żeby mu opowiedzieć, jak świat jest inny od tego tutaj, w Natalinie i Natalinku, jak bardzo inny, a zarazem taki sam. Nie zrobił tego myśląc, że Szlema, całe życie zamknięty pomiędzy Wisłą a Kamionką, nie zrozumie, na czym polega ta inność i równocześnie jedność świata i ludzi. Chciał mu opowiedzieć o robotnikach rosyjskich, którzy podjęli nierówną walkę z carem i Bogiem, tak jak ją jednocześnie podejmują wszyscy ludzie na ziemi, każdy

ze swoim carem i swoim bogiem. Teraz jednak, widząc Zelmana w garniturze, bez mycki i pejsów, odniósł wrażenie, że to nie ten sam Zelman, w każdym razie już nie zastraszonego Żydek, któremu, choć bał się polskich chłopów, podobało się wszystko, co polskie: zabawy w policjantów i złodziei, katolicka muzyka, polskie wojsko.

W Natalinie w porównaniu z dniem wczorajszym było pusto. Tylko na niektórych uliczkach paliły się ogniska, a przy nich siedziały grupki pijanych cyrkowców i żebraków. Józef wszedł do ratusza przestępując przez pijanego Budryka w mundurze policyjnym, który trzymał w ręku wystrugany z drewna pistolet.

## SPOTKANIE JÓZEFA Z ZELMANEM

Szloma Zelman siedząc w kancelarii nie zdziwił się, gdy ujrzał Józefa Walichrada w drzwiach.

– Siadaj – pokazał na krzesło po drugiej stronie biurka.

– Nie przyszedłem do ciebie w urzędowej sprawie – powiedział Józef, zaskoczony oschłym powitaniem.

– Tak czy inaczej drugiego krzesła nie ma. Józef usiłował przesunąć krzesło na bok, żeby nie siedzieć z Zelmanem twarzą w twarz, ale nie mógł krzesła oderwać od podłogi.

– Jest przybite – wytłumaczył Zelman.

– Co za pomysł.

– Bo ludzie przysuwają, odsuwają, że krzesło jak pies wędruje po pokoju. Odkąd przybiłem je do podłogi, ci którzy tutaj przychodzą, siedzą o wiele krócej. Za to wiercą się niemiłosiernie.

Józef rozejrzał się po kancelarii. Było tylko biurko i dwa krzesła. Na ścianie nie wisiał ani jeden obraz, nawet godło.

– Pasujesz do tego miejsca – stwierdził Józef. – Ale dlaczego tu siedzisz, kiedy wszyscy bawią się na festynie?

– A ty?

– Z jedną nogą? – odrzekł Józef myśląc z niechęcią, że teraz zacznie się rozmowa o tym, gdzie i jak nogę stracił. Ale nie. Zelman, chwilę namyślając się, zapytał:

– Po co przyszedłeś?

– To już bez znaczenia.

Józef wbrew temu, co myślał wcześniej, nie miał nic Szłomie do powiedzenia, i wyczuwał, że Szloma także nie ma o czym z nim rozmawiać. Nagle to spotkanie wydało się Józefowi całkiem bez sensu. Pożałował, że przyszedł.

– Powiedz – obojętnie poprosił Zelman.

– Tyle się zmieniło – rzekł Józef z namysłem. – Pamiętasz, jak dawniej rozmawialiśmy o naszych Bogach?

– Pamiętam.

Gdy mieli po dziesięć lat, kłócili się, który Bóg jest lepszy: Bóg katolików czy Bóg Żydów? Szloma twierdził, że Bóg Polaków. Józef, że lepszy jest Bóg Żydów. W końcu wyszło im, że Bóg Józefa jest Bogiem okrutnym, mściwym, nieustannie zagniewanym, przed którym nie można się skryć nawet w myśli i który za każdy zły uczynek, popełniony choćby nieświadomie, każe ciężko odpokutować, inaczej nie przypuści do siebie, a Bóg Zelmana



Bogiem głupim, którego można wykiwać, na przykład zwalając grzech na kogo innego, i odwrotnie niż Bóg Józefa jest za łagodny, gdyż wystarczy, że Żyd w wigilię Dnia Odpuszczenia odmówi „Kol nidre” i jest zwolniony od wszystkich obietnic w stosunku do ludzi, a także niedotrzymanych zobowiązań wobec Boga.

– Wiesz – z wahaniem odezwał się Józef – jak tylko wróciłem, to chciałem się spotkać z tobą i powiedzieć ci, że Boga nie ma.

– Bo nie ma – potwierdził Zelman takim samym, jakim cały czas mówił, obojętnym tonem.

Józef był zaskoczony i rozgniewany potwierdzeniem Zelmana.

– Nie masz prawa tak mówić – powiedział wzburzonym głosem. – Gdybyś widział ludzkie mięso wiszące na drzewach, gdybyś widział, jak rannych zdeptują ich towarzysze żołnierze, którzy uciekają z pola, gdybyś widział Kozaków, jak się po bitwie zabawiają we wioskach, i to wtedy, gdy chłopci swojego Boga proszą o zmiłowanie, gdybyś sam bezkarnie i jeszcze z błogosławieństwem kapelana strzelał do ludzi, i do ciebie strzelałoby pobłogosławieni przez innego kapelana od tego samego Boga, dopiero wtedy miałbyś prawo powiedzieć, że Go nie ma.

– Jego nie ma we mnie – cicho powiedział Zelman. – We mnie jest ciemność. Za mną jest ciemność. Przede mną ciemność. Tak chyba odczuwają umierający.

– Widziałem ich wielu – ze złością rzekł Józef. – I jeśli coś czuli, to tylko ból. Wyli z bólu. Oni by wtedy woleli być zarżnięci jak wieprze, szybko i sprawnie.

– Boga nie ma – powiedział Zelman niezmiennym tonem; mówiąc patrzył na ścianę ponad głową Walichrada – ale bez Boga nie można żyć. Dziwne, prawda? Czasami chciałbym zmówić jak dawniej „Szema” wierząc, że On mnie słucha. Nie mogę. Pozostałem sam, sam z sobą.

Józef milczał. On także tęsknił za „Ojcie nasz”, uspokajającym, utwierdzającym w przekonaniu, że jest się w wielkiej rodzinie Boga Ojca Wszechmogącego, któremu można zaufać w godzinie trwogi. Lecz Bóg Ojciec zawiódł Józefa i miliony żołnierzy, i żony, i matki, i dzieci żołnierzy. W Józefie pozostała tylko tęsknota za Bogiem z modlitw i marzeń o wiekuistym życiu.

Więcej nie rozmawiali. Chwilę posiedzieli w milczeniu i pożegnali się, wykrzywiając usta w nikłym uśmiechu, jak dwaj zwaśnieni ludzie, którzy tylko pragną zachować twarze przed postronnymi świadkami.

Gdy Józef wyszedł z miasta i na polach Natalinka znalazł się sam na sam z rozgwieżdżonym niebem, podobnym do otwartego w zdumieniu oka, w którym odbijają się światła ziemi, naraz tak bardzo zapragnął wejść w krwiobieg tamtego sprzed lat życia, nieśmiertelnego, ofiarowanego za cenę dotrzymania dziesięciu przykazań, że uklęknął na ziemi i żarliwie, na przekór wzbraniającej się przed tym myśli, wyszeptał: „Ojcie nasz, któryś jest w niebie, święć się imię twoje, przyjdź królestwo twoje, bądź wola...” Przerwał czując, że słowa, które wypowiada, są martwe, że on sam jest martwy, że ziemia, na której kłęczy, jest martwa, że wszystko dokoła jest martwe, bo bez Boga.

– Boże! – krzyknął w noc. – Tak pragnę, abyś był! Bądź! Bądź!

Znad błoni, gdzie odbywał się festyn, napłynęła z wiatrem muzyka. Słysząc ją było raz ciszej, raz głośniejsze.

Józef poszedł do Natalinka i od razu wszedł do piwnicy, gdzie stały gąsiory z jabłecznikiem. Pił przez tydzień. Nikomu nie pozwolił wejść do piwnicy, kiedy w niej siedział, ani do swojego pokoju, do którego szedł na noc z kilkoma butelkami wina. Dopiero w niedzielę rano Lucjan odważył się otworzyć drzwi piwnicy. Węsząc patrzył w ciemność ledwie rozjaśnioną płomykiem świecy, skąd po chwili zapytał Józef:

– Chcesz się napić?

Lucjan zaprzeczył ruchem głowy.

– Napij się – Józef, pijany, wyszedł po schodach. – Pij – przystawił butelkę do warg Lucjana, ale Lucjan odwrócił się i wino pociekło mu po brodzie. – Powinieneś pić, prędzej zdechniesz. – Józef spojrzał na kucającego Lucjana i roześmiał się: – Mówią, że zostaliśmy stworzeni na obraz i podobieństwo Boga, ale ty spośród nas jesteś jego najprawdziwszym zwierciadłem, choć i tobie wiele brakuje. Rozumiesz, co do ciebie mówię? – Józef, nie otrzymując odpowiedzi, wypił do końca wino z butelki. – Tamten jegomość w niebie także niczego nie rozumie, wszystko się zgadza. Powiedz, Lucjan, czy nie chciałbyś chodzić jak normalny człowiek, na dwóch nogach? Wzięliby cię do wojska, poszedłbyś na wojnę, postrzelałbyś sobie. Chciałbyś strzelać? Każdy chłopak chce. Potem, jak się przyzwyczaić, to do ludzi strzela się tak samo jak do zwierząt. Kiedy człowiek biegnie, zapamiętaj, trzeba mierzyć w piersi albo plecy. Wtedy jest szansa, że trafisz w cokolwiek, w głowę albo nogi. Mieliśmy snajpera, który celował tylko w jaja. Jak trafił, to tamten wył, że słycać go było na całym froncie. Któregoś dnia jeden z naszych strzelił snajperowi w łeb, z bliska, o tak jak do ciebie. Później temu, co strzelił do snajpera, wszyscy z plutonu egzekucyjnego władowali po jednej kuli, ale nie w jaja, chłopaki uważali. Ciebie nie przyjmą do wojska, bo jak staniesz na baczność? – zaśmiał się Józef. – Mam pomysł. Nauczę cię jakiejś sztuczki, stania na głowie albo lepiej na fujarze, jeśli w ogóle masz taki instrument, i będziemy razem jeździć po jarmarkach i zarabiać forszę. Ale właściwie to czego chciałeś? – zapytał Józef, poważniejąc.

– Do kościoła – z wysiłkiem wybełkotał Lucjan.

– Do kościoła? – Józef był zaskoczony. – No tak, dzisiaj niedziela. Wszyscy pojechali. Ciebie nie zabrali, żebyś aniołków nie wystraszył. Nigdy nie byłeś w kościele?

– Raz z Kubą, ale w zwykły dzień – odrzekł Lucjan, nabierając głębokiego oddechu przed każdym słowem.

– Jedziemy! – Józef rzucił pustą butelkę w głąb piwnicy. Na nieosiodłanym koniu wjechali na plac kościelny. Akurat skończyła się msza o dziewiątej. Niektórzy jeszcze żegnali się z proboszczem, który stał na schodach przed kościołem. Inni wsiadali do powozów, wiele osób rozmawiało na placu. Wszyscy byli roześmiani, pogodni, jak przystało na bożą słoneczną niedzielę. Tylko zwykli obywatele Natalina, którzy na piechotę chodzili do kościoła, w pośpiechu umykali z placu.

Zofia Walichradowa szła po Krystynę, która stała z Więckowskim i pannami Truskowskimi, gdy zobaczyła jadących na koniu Józefa i Lucjana. W pierwszym odruchu chciała pobiec do nich i zatrzymać konia, ale Józef już był pod schodami kościoła. Zsadził Lucjana, a gdy sam zsunął się z konia, dopiero widać było, jak bardzo jest pijany. Ledwie utrzymywał równowagę na szczudłach. Zofia z przerażeniem pomyślała, że dla Krystyny wszystko stracone, bo który z przyzwoitych mężczyzn zechce się połączyć z kobietą, u której w rodzinie rodzą się potworki. Do tego jeszcze pijany Józef na żebraczych szczudłach. Zawróciła do męża i Kuby, którzy siedzieli w powozie.

– Róbcie coś, na Boga! – powiedziała drżącym głosem. – On chce naszą rodzinę wystawić na pośmiewisko i kościół zbezczęścić.

– Dlaczego? – Feliks ze zdziwieniem popatrzył na żonę.

– Nie widzisz? – Zofia spojrzała na Lucjana, który na czworakach wchodził po schodach.

Lucjan przy Józefie idącym o kulach wyglądał jeszcze pokraczniej, nie jak człowiek przypominający psa, ale jak pies podobny do człowieka.

– Jedziemy – powiedział Feliks. – Zawołaj Krystynę. On niech robi, co chce.

Józef z Lucjanem zatrzymali się przed księdzem, który rozmawiał ze starostą Balonikiem.

– Gdzie wikary? – zapytał Józef, łapiąc proboszcza za ramię.

– Idzie – ksiądz pokazał na wymykającego się chyłkiem z kościoła drzwiami od zakrystii starego wikarego.

– Księżę wikary! – krzyknął Józef.

Wikary obejrzał się z bojaźnią, niepewny, czy to jego wołają.

– Niech ksiądz podejdzie tutaj. Pamięta mnie ksiądz? – zapytał Józef, gdy wikary podszedł bliżej.

– Nie – odrzekł wikary, przyglądając się uważnie Józefowi.

– Dawniej przychodziłem z jednym Żydem, żeby posłuchać...

– To pan – przerwał wikary. – Pamiętam. Leżeliście w ogrodzie, ale później to on już sam przychodził.

– Chcę, żeby ksiądz zagrał to samo, co wtedy.

– Synu, czy ja pamiętam... – stropił się wikary. – A poza tym spójrz – podniósł do góry dłoń z opuchniętymi stawami – już wszystkiego nie potrafię.

– Potrafi ksiądz. Ksiądz grał to w czasie burzy i nam się mieszało, czy to grzmoty, czy organy.

– Ale...

– Niech ksiądz idzie szybko grać, cokolwiek – ze zniecierpliwieniem powiedział Józef, widząc, że Lucjan nie czekając na niego wchodzi do kościoła.

Józef chciał muzyki dla Lucjana, żeby przeżył on jak najmocniej swoje spotkanie z Bogiem, tak mocno, aby wiara w Boga mogła na całe życie w nim pozostać, aby nie był sam, sam ze swoim pokracznym ciałem, które skazało go na stokroć większą samotność niż innych ludzi.

– Dobrze – wikary zgodził się i wszedł za Lucjanem do kościoła.

Wówczas do Józefa podszedł starosta Balonik i od razu zaczął z gniewem mówić:

– Niech pan sobie wyobrazi, że ani rabin, ani proboszcz nie chcą go pochować na swoich cmentarzach.

– Kogo? – zapytał Józef.

– Nie wie pan? Zelmana.

– Szloma Zelman nie żyje?

– Od trzech dni. Myślałem, że pan wie. Strzelił sobie w głowę z mojego nagana, jeszcze mogą mieć nieprzyjemności. Ale nie rozumiem, dlaczego to zrobił. Wszystko układało się jak najlepiej. Przepowiadałem mu wielką karierę, to był bardzo zdolny urzędnik.

– Jak to się stało?

– Rano, jak codziennie, przyniósł mi listę osób, które powinienem przyjąć. Zachowywał się jak zwykle, milczał i tylko odpowiadał na moje pytania. Pół godziny później usłyszałem strzał. Wbiegłem do kancelarii, patrzę, Zelman leży pod biurkiem. Chciałem odsunąć biurko, ale było przybite do podłogi. Gdy go wyciągnąłem, już nie oddychał. Dlaczego on to zrobił?

– Gdyż Boga nie ma, a bez Boga nie można żyć – Józef cicho powtórzył słowa Zelmana i wtedy z kościoła wypłynęły nabrzmiące tony organów.

Wypłynęły z taką mocą, że zdawało się, iż drzwi i okna są za małe, żeby ta muzyka, uciekając na wolność, mogła się pomieścić. Proboszcz z jękiem zszedł stopień niżej i rzekł zaskoczony:

– Co on wyprawia?

Dźwięki organów wylały się na plac przed kościołem. Tam, oczyszczone ze stęchlizny kościoła, zlały się z rzeźkim, górskim powietrzem. Zaczęły szumieć sosny i płynąć potoki, aż konie przy powozach łapczywie rozdeły nozdrza i wesoło zastrzygły uszami.

## KRYSTYNA I BALONIK

Na festynie, podczas tańca, Balonik wyznał miłość Walichradównie. Powiedział, że kocha ją od tego dnia, w którym zobaczył ją w Natalinku. Nic więcej nie zdążył powiedzieć, gdyż Zofia nagle zdecydowała, że czas wracać do domu.

Balonik później przez kilka dni zastanawiał się, pod jakim pretekstem mógłby pojechać do Natalinka. Wreszcie natrafiwszy w poaustriackich dokumentach na nazwisko barona Marcina Walichrada, przy którym wyliczony był szereg zasług dla rozwoju przemysłu w Galicji, Balonik postanowił zapytać Walichradów, czy zgodzą się, aby powstające w Natalinie gimnazjum nosiło imię barona Marcina Walichrada.

Feliks nie zgodził się. Krystyna, zauważywszy przez okno Balonika rozmawiającego z ojcem, chciała wybiec do niego. Była pewna, że Balonik do niej przyjechał. Ale matka zatrzymała ją w drzwiach, pytając:

– Dokąd?

– Do pana starosty – odpowiedziała Krystyna, rumieniąc się.

– Nie pójdziesz. Urzędnik bez nazwiska i pieniędzy to nie znajomość dla panny z dobrego domu. Dzisiaj jest starostą tutaj, jutro może być gdzie indziej albo w ogóle nie być starostą.

– Ja chcę z nim tylko porozmawiać – rzekła Krystyna, przyłapując się na tym, iż nie mówi całej prawdy.

Chciała z Balonikiem porozmawiać, ale i patrzeć na niego, i żeby on patrzył na nią, tak jak w czasie tańca. Widziała zza firanki, jak starosta z wyczekiwaniem spogląda w okna, i pomyślała, że Więckowski nigdy tak nie robił, że Więckowski zawsze zachowywał się w taki sposób, jakby ona miała obowiązek służyć mu towarzystwem.

Krystyna od następnego dnia po festynie czekała na Balonika. I choć wiedziała, że ojciec nie przyjmuje nikogo z miasta, to jednak była zawiedziona, że Balonik nie przyjeżdża. Po tym, co powiedział w czasie tańca, czuła się mu przynależna. Ale nie rozumiała, co oznacza, że starosta ją kocha. Sama kochała matkę, ojca, braci, Boga, Ojczyznę i nie wyobrażała sobie, że można pokochać jeszcze coś lub kogoś, kto jest spoza kręgu rodziny. Z kochaniem tamtych już się urodziła, od maleńkości wiedziała, że ich kocha. Tylko dziwiło Krystynę, że przypominanie sobie wyznania Balonika sprawiało jej większą przyjemność niż dawniej czułości matki i pochwały ojca.

Krystyna widząc przez okno, że Balonik po krótkiej rozmowie z ojcem wsiada do bryczki, postanowiła zobaczyć się ze starostą nawet wbrew woli rodziny. Tylko nie wiedziała, jak to zrobić i dopiero po kilku tygodniach wpadła na pomysł, żeby Lucjana, który nie umiał czytać, wysłać na pocztę z listem do Balonika.

Po pierwszym spotkaniu Krystyny i Balonika pod dziką gruszą, rosnącą w połowie drogi pomiędzy Natalinem a Natalinkiem, Krystyna już wiedziała, że kochać mężczyznę, który nie jest ojcem ani bratem, to znaczy pragnąć być z nim nieustannie. Tylko kilka minut stali pod drzewem, zamieniając zaledwie parę słów. Na pożegnanie pocałowali się – delikatnie przywarli do siebie wargami, uważając, aby nie dotknąć się nosami i brodami. Musieli pocałunkiem zwiędzić grozę spotkania w tajemnicy przed wszystkimi ludźmi.

Krystyna już następnego dnia rano, gdy zaspana zeszła na śniadanie, zaczęła ze zniecierpliwieniem oczekiwać czwartku, na który znowu była umówiona z Balonikiem. Przy śniadaniu uświadomiła sobie, że nie potrafi swobodnie śmiać się i że to, co bawiło ją wczoraj, nie bawi dzisiaj. Książka o bolszewickiej Rosji, którą guwernantka czytała przy śniadaniu, ze śmiesznej zrobiła się straszna, no bo żeby cała wioska obowiązkowo cesała się jednym grzebieniem uwiązany do studni? Zofia widząc, iż córka zachowuje się inaczej, przyjrzała

się jej uważnie. Nabrzmiące piersi Krystyny zaniepokoiły ją. Z kolei spojrzała na Więckowskiego, zastanawiając się z przestachem, czy oni potajemnie nie spotykają się. Ale Więckowski, ponuro wpatrzony w talerz, był tak pochłonięty jedzeniem, że trudno go było w tej chwili o cokolwiek posadzać. Chyba, pomyślała Zofia, że mu mięso nie smakuje.

– Dobra pieczeń, panie hrabio? – zapytała Zofia.

– Tak – obojętnie odrzekł Więckowski, lecz zaraz, jakby budząc się, dodał z ożywieniem: – bardzo dobra, skąd przypuszczenie, że zła. W Natalinku podaje się wybornie. Nigdzie nie jem z taką przyjemnością.

Krystyna ledwie się powstrzymała, żeby nie powiedzieć: „Kłamiesz pan”. Aż się zaśmiała na myśl, jak wszyscy byliby zdumieni. Już w nocy, zasypiając z wywołanymi w wyobraźni dotknięciami rąk Balonika, który trzymał ją za ramiona, znienawidziła Więckowskiego za to, że nie pragnął jej jak kobiety. Więckowski podobał się jej i plotki, które chodziły po dworach, że we Lwowie rozkochał w sobie niejedną pannę, jeszcze bardziej wzmagaly pragnienie Krystyny, aby mu się spodobać, spodobać tak bardzo, żeby już nigdy nie spojrzął na inną. Teraz Krystynie chciało się śmiać z tamtych pragnień, gdyż była przekonana, że nigdy nie zostanie żoną Więckowskiego, choćby i cały spadek po ciotce przypadł mu w udziale. Dzięki temu przekonaniu Krystyna poczuła się podwójnie dorosłą kobietą – oprócz tego, że ma mężczyznę, to jeszcze sama zdecyduje o swoim zamążpójściu.

W następny czwartek, gdy tylko zegar zaczął wybijać północ, Krystyna cicho wyszła z sypialni i szybko, żeby zdążyć przed ostatnim uderzeniem, które tłumilo kroki, otworzyła drzwi na werandę. Na dworze, zadowolona, iż udało się jej niepostrzeżenie wyjść, głęboko odetchnęła. Widzieli ją jednak Kuba i Lucjan, którzy spali w pokoju na parterze, i którzy odtąd każdego czwartku spojrzeciami odprowadzali Krystynę.

Pod dziką gruszą Krystynie i Balonikowi szybko minął rok. Nie zauważyli, że na drzewie, pod którym się spotykali, zamiast prawdziwych są śnieżne kwiaty, a potem, że znowu prawdziwe i że obok drogi, w miejsce śniegu, ścielą się żółte niedośpiałki. W nocy wszystko wyglądało jednakowo. Dopiero to drugie lato, a z nim znienacka podchodzące świty, które rozjaśniały ziemię nagle jak żarówka w pokoju, uprzytomniło im, że nie zatrzymali czasu pod dziką gruszą. Wtedy, rozchodząc się, spostrzegali, że najważniejszego nie powiedzieli sobie, nawet o ślubie nie wspomnieli, choć w dni poprzedzające spotkanie i Krystyna, i Balonik przygotowywali się do poważnych rozmów o ich przyszłym życiu. Lecz po tygodniu tęsknego oczekiwania na spotkanie szkoda im było czasu na rozmowy, które musiałyby ich usta i ciała oddzielić od siebie.

I w końcu nie zdążyli porozmawiać. Robotnicy leśni zobaczyli starostę z Walichradówną i po kilku dniach całe miasto wiedziało o ich schadzkiach. Baby pracujące w polu u Walichradów zapytały Zofię, kiedy ślub. Były zaskoczone, że Walichradowa nic nie wie.

W ostatni czwartek lipca Krystyna nie przyszła pod dziką gruszę. Zamiast niej zjawił się Kuba.

– Pojechała z matką pod Lwów, do rodziny – powiedział Kuba.

– Jadę tam! – zdecydowanie odrzekł Balonik, patrząc na wschód.

– Po co? Nie będzie tam całe życie.

– Nie mogę czekać.

Balonik pomyślał, że nie zdoła wyżyć bez czwartkowych nocnych spotkań. Spotkania z Krystyną przydawały mu zapału do pracy. Pomiędzy czwartkami przewodził zebraniom rady miejskiej, pisał raporty i polecenia, pisał artykuły do „Obywatela”, jeździł na wiece utworzonego przez siebie Stronnictwa Jedności Narodowej. Robił to wszystko między innymi i po to, żeby czwartkowa noc nadeszła jak najprędzej. Bez nadziei na spotkanie z Krystyną czas wydłużyłby mu się bez końca, tak że nie byłby w stanie zapełnić go żadną pracą.

– Gdzie ona jest? – zapytał Balonik.

– Gdy wróci, dam panu znać – powiedział Kuba. – Ale czy zamierza pan poślubić

Krystynę?

– Chciałbym – odrzekł Balonik.

– Rozmawialiście o tym?

– Nie. Nie było czasu. Teraz pojedę do niej i zapytam. Proszę mi szybko powiedzieć, gdzie ona jest?

– Gorączka z pana – zaśmiał się Kuba.

– Inaczej każę pana aresztować! – krzyknął Balonik. – Pana, wszystkich, cały ten wasz dom.

– Niech się pan nie denerwuje. Krystyna najdalej za miesiąc wróci. Wtedy oświadczy się pan.

– Oświadczy? Niech pan nie kpi. Jej ojciec nigdy nie zgodzi się, żeby wyszła za mnie. A może pan potrafi go przekonać? – zapytał Balonik z nadzieją.

– Nie potrafię. Ale poradzić mogę. Niech pan porwie Krystynę. To się Feliksowi spodoba, lubi mocnych mężczyzn.

– Porwać? Jak?

– Na koniu, oczywiście.

– Nie umiem jeździć konno. A poza tym jeśli panu Walichradowi nie spodoba się porwanie i zgłosi na policję, to ja, starosta, wyjdę na porywacza kobiet. Zresztą mamy dwudziesty wiek, nie średniowiecze. Porwać, co za pomysł? – rozżościł się Balonik.

– Pańska wola – powiedział Kuba odchodząc.

– A na jakim koniu? – z daleka zapytał Balonik, lecz Kuba nie odpowiedział.

Zofia, dowiadując się o schadzkach pod dziką gruszą, wyjechała z Krystyną do krewnych, którzy mieszkali blisko Lwowa. I tak miała tam jechać, żeby się dowiedzieć, jak ostatecznie przedstawia się sprawa spadku dla hrabiego Więckowskiego. Już Zofię męczyło odwlekanie ślubu córki i pomyślała, że czas najwyższy zdecydować: albo Więckowski, albo kto inny. Od wielu miesięcy widziała, że Krystyna często z rozmarzeniem zamyśla się, uśmiecha do siebie i większą uwagę zwraca na stroje. Sądziła, że dzieje się tak za przyczyną często bywającego w Natalinku Więckowskiego, toteż była wstrząśnięta dowiadując się, iż córka spotyka się potajemnie z kim innym. I tym bardziej, pamiętając jeszcze o podobieństwie Krystyny do żony Emisariusza, postanowiła szybko wydać Krystynę za mąż, w ostateczności za któregoś z młodych mężczyzn z sąsiednich dworów.

We Lwowie Zofia dowiedziała się, że hrabina Więckowska tak kocha pieniądze, iż za życia nie odda nikomu ani grosza, że już samym napisaniem testamentu czułaby się zubożona, i że w ogóle liczenie na spadek po Więckowskiej byłoby wielką lekkomyślnością. Od tej chwili zaczęła inaczej patrzeć na zaloty Balonika.

W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia odbył się ślub Krystyny Walichradówny i Korneliusza Balonika. Feliks nie pojechał do kościoła na uroczystość ślubną i nie brał udziału w weselu. Na trzy dni, kiedy trwało wesele, poszedł do lasu na polowanie.

Balonik, gdy doszło do ślubu, był już poważanym starostą Natalina i przewodniczącym Stronnictwa Jedności Narodowej. W odnowionym ratuszu pracowało pod jego zwierzchnictwem kilkudziesięciu urzędników. W tym czasie życie w mieście uregulowało się. Był komisariat policji, sąd grodzki, kino, fabryka mebli, fabryka pudełek kartonowych, wytwórnia wody sodowej, działało Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół” i wychodziły dwa tygodniki: „Obywatel” i „Robotnik”.

Podczas wesela kawalerowie z okolicznych dworów z żalem stwierdzili, że nazbyt wcześnie ustąpili Więckowskiemu w staraniach o rękę Walichradówny i oto ładna i bogata panna nie dostała się żadnemu z nich, tylko pośledniego urodzenia Balonikowi. Niektórzy gniewali się na Więckowskiego, że tak pokpił sprawę. Więckowski był także na weselu. Siedział zamyślony przy stole, przepijając kolejno do znajomych, którzy podchodzili do niego, żeby się przekonać, czy rzeczywiście bardzo cierpi, jak w tajemnicy rozpowiadała

Zofia.

Zofia chciała pokazać, że choć córka mogła wyjść za spadkobiercę hrabiny Więckowskiej, to jednak pokierowała się miłością i dlatego wybrała mężczyznę nie najlepszego urodzenia. Wprawdzie sama Zofia już tak bardzo nie przejmowała się złym pochodzeniem Balonika, a podczas trzech weselnych dni doszła do wniosku, że wysokie stanowisko państwowe jest lepszym kapitałem na przyszłość niż ziemski majątek, zwłaszcza w tych latach urodzaju, kiedy zboże trzeba było za bezcen sprzedawać. A co do pochodzenia, myślała, niewiele znaczy nawet najstarszy herb, gdy siedzi się na zadłużonym majątku. Przekonała się o tym także w czasie wesela, gdy właśnie dobrze urodzeni zwracali się do Balonika z prośbami o dobrze płatne stanowiska na urzędzie. Sprawiało jej przyjemność, kiedy zięć odpowiadał, że na wysokie stanowisko trzeba zasłużyć pracą i talentem na niższych szczeblach administracji państwowej.

Trzeciego dnia wesela Balonik i Krystyna przenieśli się do ratusza, do czteropokojowego mieszkania, które na przyjazd żony Balonik przystroił kwiatami. Gdy Balonik na rękach przenosił Krystynę przez próg, policjanci na znak komendanta Dziaka oddali trzy salwy powitalne. Zaraz po wystrzałach Balonik ogłosił amnestię dla aresztantów i rozkazał Dziakowi uwolnić ich z aresztu. Dziak zrobił to niechętnie i za pół godziny, gdy kilkunastu aresztantów odśpiewało pod oknami starosty „Sto lat”, zamknął ich z powrotem za zakłócanie porządku publicznego.

Po wyjeździe ostatnich gości Feliks wrócił z polowania. W zaśnieżonych butach, patrząc na wygniecione kanapy i odsunięte od stołów krzesła, przeszedł przez puste pokoje. Nie znajdując nikogo obcego, powiedział:

– Wyjechali.

Zofia nie wiedziała, czy Feliks mówi to z ulgą, czy z żalem. Poszła za mężem do salonu, gdzie Feliks zatrzymał się przed krzywo wiszącym portretem barona Marcina.

– Wyjechali – powtórzył prostując portret.

– Tak. Będą mieszkać w ratuszu – powiedziała Zofia i zaraz dodała niepewnym głosem – a nam czas pomyśleć o posagu dla Krystyny, bo jakkolwiek jej mąż o nic się nie dopomina, to przecież kawałek ziemi należy się córce.

Feliks, nagle odwracając się do Zofii, wykrzyczał z wykrzywioną w gniewie twarzą:

– Dom i ziemia należy do tych, którzy na niej mieszkają! Innym wara. Kto wyszedł z tego domu i zamieszkał w mieście, nie ma prawa do ziemi naszych ojców. I nie wolno im tutaj powrócić. Ziemia nie lubi zdrajców.

– Feliksie? – Zofia, przerażona, odstąpiła krok do tyłu. – Własne dzieci wypędzasz z domu?

– Same się wypędziły z ojcowizny.

– Feliksie – Zofia zatkęła – to jest przeciw Bogu.

– Milcz! – Feliks utkwiał spojrzenie w portrecie barona Marcina.

Przez godzinę stał i patrzył na obraz. Zofia podeszła z boku i widząc twarz męża nieporuszoną jak maska, przeraziła się. Feliks upodobił się do człowieka nie odczuwającego bólu, który każdego roku w czasie zbiorów pojawiał się przed kościołem Najświętszej Marii Panny. Ów mężczyzna przez kilka dni leżał na desce nabitej gwoździami, a obok niego stała miska na jedzenie. Człowiek nie odczuwający bólu patrzył daleko przed siebie, z takim napięciem, że każdy mimo woli spoglądał w tę samą co i on stronę. Jego twarz też była nieporuszoną, jak wyrzeźbiona w twardym drzewie, aż raz Zofia pomyślała, że gdyby roześmiał się, to musiałaby mu pęknąć twarz. Feliks wyglądał podobnie. Spoglądał w głąb obrazu z taką uwagą, jakby tam coś się poruszało. Zofia bała się odezwać do Feliksa, tylko bezgłośnie pomodliła się do Matki Boskiej.

Po godzinie wzdłuż okien domu przeleciał sokół. Ciężki jego skrzydeł padł na szyby. Wówczas Feliks odszedł od portretu Marcina i spojrzał za ptakiem, który usiadł na dachu

powozowni. Nie odrywając spojrzenia od sokoła wziął opartą o ścianę belgijkę, z której polował na wilki, i wyszedł na werandę. Zofia po chwili wybiegła za mężem i widząc, że celuje on do ptaka, krzyknęła:

– To sokół Józefa!

## SOKÓŁ

Sokół, chociaż już od dwóch lat mieszkał z Józefem w Natalinie, na strychu kamienicy, gdzie sobie uwił gniazdo, codziennie przylatywał do Natalinka i siadał na dachu powozowni. Dumnie wypinając białą nakrapianą pierś patrzył na swarliwe gęsi, kury, kaczki.

Józef zapragnął wyćwiczyć sokoła po przeczytaniu książki „Jak polować z sokołem”, którą kupił na jarmarku poprzedzającym wielki festyn. Z Lucjanem wypatrzył gniazdo sokoła w Białym Lesie. Były w nim dwa dopiero co opierzone pisklęta. Po dwóch tygodniach, nim młode sokoły wyzbyły się pierwszego puchu, wybrał z gniazda większego z nich. Uwiązał ptaka za łapę do ściany powozowni i karmił posiekanym mięsem myszy. Ćwiczenia rozpoczął, gdy pióra sokoła zrobiły się przy skórze twarde i białe. Wpierw chciał nauczyć ptaka, z rzemieniem przywiązanym do obrączki na łapie, siadania na ręce, chronionej do łokcia skórzaną rękawicą. Ale sokół zdawał się być najbardziej bezmyślnym ptakiem z ptaków, głępszym od kury, która przynajmniej przychodziła, kiedy sypało się ziarno. Choć umyślnie wygłodzony, wcale nie reagował na mięso leżące na rękawicy.

Po kilku tygodniach daremnych ćwiczeń Józef zamierzał zrezygnować z oswojenia sokoła i oddać go ptasznikowi za Wisłą, Janikowi, który z dawien dawna układał sokoły i jastrzębie do polowań, ale w czasie ostatniej próby sokół wzbił się wysoko ponad orzech i nagle składając skrzydła zleciał na rękę Józefa całą siłą rozpędzonego ciała. Dziobem przebił rękawicę i zranił Józefa, który jednak mimo piekącego bólu jeszcze kilka razy powtórzył ćwiczenie. Sokołowi spodobała się ta zabawa i odtąd zawsze na widok wyciągniętej ręki przylatywał do Józefa.

Na drugi rok, po polowaniach na cyranki, które sokół strącał z powietrza jak kula karabinowa, skrzydła ptaka nabrały sprężystości i takiej siły, że potrafił unieść do góry zajaca. Wtedy Józef wypuścił go na raroga, który od kilku dni krążył nad Wisłą. Sokół wzbił się wysoko w kierunku słońca. Józef, oślepiiony promieniami, nie widział go przez długą chwilę, aż pomyślał, że sokół stchórzył i poleciał gdzieś dalej. I byłby przegapił moment ataku. Sokół ze złożonymi skrzydłami, podobny do pocisku artyleryjskiego, nagle wynurzył się z tarczy słońca i zniemacka zaatakował nieprzygotowanego do obrony raroga. Raroga jak gdyby ktoś zdjął z przestrzeni pomiędzy niebem a ziemią i zbroszonego krwią rzucił na brzeg wiślanej łachy.

Od zwycięstwa nad rarogiem sokół Józefa rozsmakował się w walkach z kaniami, kobuzami i jastrzębiami, z którymi toczył najdłuższe boje. Sława sokoła rozniosła się na całą okolicę, po jednej i drugiej stronie Wisły, gdyż odkąd on zapanował na tutejszym niebie, gospodarze przestali się martwić o kurczęta, a hodowcy gołębi o gołębie. Zaś myśliwi, utrzymujący, że jastrzębie mordują im drobną zwierzynę, stali się do tego stopnia sprzymierzeńcami sokoła Józefa, że z obawy, aby go nie zastrzelić, w ogóle przestali strzelać do sokołów. Ale sława sokoła, nie wiedzieć dlaczego, bardzo denerwowała hrabiego Euzebiusza Potemkowskiego, który ostatnio wychudł tak, że skóra wisiała na nim jak na



bydłociu zdychającym z głodu.

Sokół Józefa sprawił, że na nowo rozgorzała waśń pomiędzy rodziną Walichradów a Potemkowskimi. To z kolei doprowadziło do zaostrzenia walki politycznej w powiecie, do której po narodowcach i socjalistach przyłączył się także hrabia Euzebiusz z synami.

Zaczął się od tego, że hrabia Euzebiusz kupił u Janika trzy wytresowane jastrzębie. Kupił dlatego, iż wiedział, że sokół Józefa atakuje jastrzębie pojawiające się w pobliżu Natalina. Dla trzech jastrzębi wybudował olbrzymią jak pokój klatkę i kazał ją postawić na tarasie, który wychodził na położony niżej park z drzewami sprowadzonymi z Włoch. W każdy pogodny dzień hrabia wychodził na taras i czekał na przylot sokoła. Zacierał ręce z radości wyobrażając sobie, jak to sokoła Walichrada rzuci psom. Obserwując największego jastrzębia, ważącego ponad półtora kilograma, którego przez nastroszony wygląd nazwał Dzikusem, nie miał wątpliwości, jaki będzie wynik walki z sokołem.

Odkał jastrzębie zamieszkały w klatce na tarasie, zdrowie hrabiego Euzebiusza poprawiło się. Nie było tego widać na ciele, ale jadł więcej niż zwykle i bez przerwy z zadowoleniem chichotał. Jego synowie, Adam i Jacek, mogli jeszcze raz przekonać się, co w zaufaniu powiedział im lekarz, że martwe ciało ojca utrzymuje przy życiu jedynie złość i nienawiść, które pobudzają krążenie krwi. Jacek i Adam Potemkowscy chcieli jednak, żeby ojciec żył bez złości i trosk, i umarł jak najprędzej. Kłamali, że fortuna rodziny rośnie, że obrastają w następne miliony, gdy w rzeczywistości było odwrotnie. Już na zapłacenie zaległych od lat podatków, które pod groźbą przejęcia majątku przez państwo wymusił starosta Balonik, musieli sprzedać ogromną połać lasu w Karpatach. Lecz ich wysiłki, aby hrabia Euzebiusz żył bez pobudzających obieg krwi zmartwień, były daremne. Stary hrabia złościł się i martwił z byle powodu – gdy deszcz dawno nie padał, gdy słońce świeciło za mocno albo że Pan Bóg tak urządził świat, że ludzie starzeją się i umierają.

Sokół pojawił się nad pałacowym parkiem po kilku dniach. Niespodziewanie wyprysnął zza południowego skrzydła pałacu i śmiertelnie ugodził jastrzębia, którego hrabia Euzebiusz akurat wypuścił na gołębia. Jastrząb spadł z bezwładnie rozpostartymi skrzydłami i niczym postrzępiona płachta zawisł na gałęzi kasztanowca. Drugi jastrząb zginął następnego dnia i hrabia Euzebiusz, już nie będąc pewny, czy Dzikus poradzi sobie z sokołem Walichrada, postanowił zastrzelić sokoła z zasadzki.

Dzikusa uwiązał do kasztanowca pośrodku parku tak, aby nie mógł wzbić się wyżej niż kilka metrów nad koronę drzewa, a dokoła rozstawił lokajów ze strzelbami. Tymczasem sokół nie nadlatywał. Lokaje po dwóch dniach daremnego czatowania zaczęli zbierać się przy źródle pomiędzy cyprysem a wierzbą płaczącą i grać w karty. Trzeciego dnia gry w wista, kiedy stawką był usypany na chusteczce do nosa stos miedziaków, tak się zapamiętali, że nawet nie usłyszeli przeraźliwego „kri kri” Dzikusa. Nie dostrzegli także podchodzącego zarządcy. Oprzytomnieli dopiero na widok obcej ręki wyciągniętej po pieniądze.

Hrabia Euzebiusz wyrzucił lokajów z pracy i żeby choć trochę zemścić się za zabicie jastrzębi, kazał synom wydawać gazetę „Ziemiańin” i w niej zwalczać poglądy wyrażane na łamach „Obywatela”, pisma Stronnictwa Jedności Narodowej.

## PROFESOR ŁUKASZ WALICHRAD

Balonik na jednym z zebrań rady miejskiej, zaraz po uchwaleniu podatków od psów,

powiedział:

– Za chwilę przedstawię panom dyrektora gimnazjum w Natalinie.

Członkowie rady spojrzeli na siebie ze zdziwieniem. Rok temu ulegli namowom starosty i uchwalili, że w Natalinie powstanie gimnazjum, ale od tamtego czasu nie było o tym mowy. Syn komendanta straży pożarnej, Wiącek, który brał udział w posiedzeniach rady jako przedstawiciel młodego pokolenia natalinian, rzekł ze śmiechem:

– Pan zapomniał, panie starosto, że w Natalinie nie ma gimnazjum.

– Właśnie z dniem dzisiejszym powołałem na stanowisko dyrektora gimnazjum w Natalinie tymczasowo dyrektora gimnazjum w budowie, znanego uczonego, profesora Łukasza Walichrada.

– Znam to nazwisko. Czy jest profesorem mineralogii na uniwersytecie lwowskim? – zapytał Morgenbesser, który jako współpracownik kilku zagranicznych instytutów rolniczych znał wiele nazwisk ze świata nauki.

– Tak, to on – odrzekł Balonik.

– To rzeczywiście wybitny uczonek – potwierdził Morgenbesser.

– Kosztowało wiele wysiłku, żeby go namówić do zamieszkania w naszym mieście.

– Że się zgodził? – Morgenbesser nie potrafił ukryć zdumienia.

– Przekonałem go. Zresztą jest z mojej rodziny – z dumą powiedział Balonik. – Zaraz go panom przyprowadzę.

Po wyjściu starosty członkowie rady miejskiej zaczęli się kłócić, czy gimnazjum jest w ogóle miastu potrzebne.

– Skąd weźmiemy pieniądze dla nauczycieli? – zapytał Cwyngier.

– Możemy opodatkować na to właścicieli kotów i gołębi – odrzekł rejent Szpak – ale czy znajdzie się tylu młodych chętnych do nauki.

– Najważniejsze – wtrącił sędzia Napierski – to, gdzie to gimnazjum będzie się mieścić.

– Proszę się o to nie martwić – powiedział Balonik, akurat wchodząc z przyszłym dyrektorem gimnazjum. – Przedstawiam panom pana profesora Łukasza Walichrada.

Profesor Walichrad lekko pochylił głowę.

– Miło mi panów poznać.

Członkowie rady byli zaskoczeni młodzieńczym wyglądem profesora. Spodziewali się ujrzeć starca z brodą, podpierającego się laską, a przynajmniej poważnego, o surowym wyglądzie człowieka w okularach, jak przystało na dyrektora gimnazjum. Tymczasem przed nimi stał szczupły i wysoki mężczyzna w rozpiętej pod szyją koszuli i jeszcze uśmiechał się tak, jak gdyby członkowie rady czymś go rozbawili.

Łukasz Walichrad był od dawna zainteresowany budową geologiczną północnego obrzeża Zapadliska Przedkarpacia, które kończyło się na granicy Wisły w okolicach Natalina. Kilka razy przyjeżdżał do Natalinka, żeby znad Wisły pobrać próbki ziemi i skał.

W Natalinku, gdy przyjeżdżał Łukasz, robiła się świąteczna atmosfera. Zofia kazała myć podłogi, piec świeży chleb, kłaść nowe obrusy na stoły. Nawet Feliks na czas pobytu Łukasza stawał się rozmowniejszy i weselszy. Przy Łukaszu nigdy nie poskarżył się na miasto, jakby zapominając, że Łukasz żyje w tym mieście, które Michała, w młodości zacnego człowieka, zrobiło szaleńcem. Razem oglądali obrazy w salonie i Feliks, wykorzystując okazję, dowiadywał się o tych sportretowanych członków rodziny, którzy z Natalinka przenieśli się do Lwowa.

Łukasz zajmował największy pokój na piętrze, w którym stał kredens z porcelaną znaczoną trójgłowymi smokami. Krystyna, którą najbardziej cieszył przyjazd stryja Łukasza, przynosiła mu rano śniadanie: kawę i ulubione przez Łukasza podpłomyki z cukrem. Łukasz śmiał się, że przyjeżdża do Natalinka tylko dla podpłomyków, ale zaraz po śniadaniu wychodził z domu i włączył się po lasach, wądołach, wzdłuż Wisły i zbierał ziemię do płóciennych woreczków. Wieczorem wracał roześmiany, w ubraniu upakowanym błotem. Z

jednej z dalszych wypraw w górę Wisły przyniósł nefryt wielkości bobu i podarował go Krystynie mówiąc, że jest to kamień święty, symbol pięciu najważniejszych cnót ludzkich: miłosierdzia, sprawiedliwości, mądrości, odwagi i skromności.

Po odjeździe Łukasza Krystynie zdawało się, że nagle zamknięto wszystkie okiennice, zrobiło się głucho i ciemno.

Balonik i Łukasz Walichrad spotkali się po raz pierwszy, gdy syn Balonika miał dwa lata. Krystyna wiedząc, że mąż myśli o utworzeniu gimnazjum w Natalinie, powiedziała, że dobrze byłoby namówić stryja Łukasza, aby został dyrektorem gimnazjum. Balonik nie chciał z nim o tym rozmawiać, gdyż nie wierzył, że ktokolwiek może zrezygnować z posady na uniwersytecie i przenieść się do małego prowincjonalnego miasteczka. Ale w końcu, nieustannie nagabywany przez Krystynę, zaproponował Łukaszowi stanowisko dyrektora gimnazjum. Łukasz ku zdziwieniu Balonika odrzekł, iż zastanowi się nad tą propozycją.

Łukasz Walichrad prowadził wykłady z mineralogii na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Był autorem pionierskiej pracy o surowcach skalnych na Przedkarpaciu i przetłumaczonej na kilka języków „Tajemniczych właściwości kamieni”. Kamieniami zajmował się przy okazji poszukiwania surowców. Znajdując je nie potrafił być obojętny na ich kolory i zmienne, nigdy niepowtarzające się faktury. Książka o właściwościach niektórych kamieni stała się, mimo woli Łukasza, podręcznikiem dla znachorów, zaklinaczy chorób i wróżbitów, aż Łukasz musiał ogłosić w „Głosie Lwowa”, że „Tajemnicze właściwości kamieni” nie mogą uchodzić za dzieło pomocne medycynie, a są tylko zbiorem porzekadeł o szlachetnych kamieniach.

Propozycja, jaką złożył starosta Natalina, była dla Łukasza znakiem, że oto los sam podpowiada, co ma robić dalej. Z badań Łukasza wynikało, że w okolicy Natalina, w miejscu gdzie przed milionami lat przelewały się fale Morza Miocenckiego, powinna znajdować się siarka. W związku z tym Łukasz już niejednokrotnie myślał, żeby w Natalinie kupić dom i rozpocząć systematyczne badania tej ziemi.

Pod koniec roku akademickiego Łukasz zdecydował się. Napisał do Balonika, że zgadza się objąć stanowisko dyrektora gimnazjum. Dwa miesiące później, w środku lata, przyjechał do Natalina z dobytkiem załadowanym w dwa wagony kolejowe. W jednym wagonie były książki, w drugim prasy, wagi, mikroskopy, minerały. Tymczasowo, do ukończenia przebudowy dawnej pensji ciotki Zuzy, w którym miało się mieścić gimnazjum i mieszkanie dyrektora, książki i aparatura zostały złożone w podziemiach ratusza, a Łukasz zamieszkał w Natalinku.

Rok trwała przebudowa pensji na gimnazjum. W tym czasie Łukasz, mimo namów Balonika, ani razu nie przyszedł na posiedzenie rady miejskiej. Balonik był tym zawiedziony i zaczął powoli przychylić się do uwag członków rady, którzy mówili, że zachowanie Łukasza uwłacza godności dyrektora gimnazjum i godności członków rady miejskiej, skoro Łukasz został jej honorowym członkiem. Rejenta Szpaka najbardziej bolało, że Walichrad nie dość iż swojej wiedzy nie używa miastu, to jeszcze z chłopami włóczy się po lasach i własnoręcznie rozgrzebuje ziemię. Ale po roku nieoczekiwanie, kiedy się go już nikt nie spodziewał, Łukasz przyszedł na posiedzenie rady miejskiej i oznajmił, że niedaleko miasta odkrył duże pokłady granitu i piaskowca, które mogą aż nadto zaspokoić potrzeby powiatu na te budowlane surowce. Balonik, pierwszy doceniając wagę tych wiadomości, zapytał niecierpliwie:

– Gdzie się one znajdują?

Łukasz podszedł do wiszącej na ścianie mapy powiatu natalińskiego.

– Tutaj, w odległości sześciu kilometrów – palcem pokazał kilka miejsc na mapie. – Z moich obliczeń wynika, że piaskowca jest co najmniej na dwadzieścia lat eksploatacji.

Balonik bez najmniejszego zastanowienia przełożył wszystkie inne sprawy do następnego

posiedzenia rady.

– Szybka eksploatacja odkrytych złóż to wielka szansa dla naszego miasta – powiedział Balonik. – W tej chwili jest to dla nas sprawa najważniejsza, toteż ogłaszam, że z tą chwilą powstało Miejskie Przedsiębiorstwo Eksploatacji Kamieniołomów.

– Przedsiębiorstwo można założyć, owszem, czemu nie – odezwał się sędzia Napierski – ale dobrze byłoby przekonać się wcześniej, czy jest w ogóle po co zakładać.

– Profesor Walichrad jest wybitnym znawcą w dziedzinie surowców i możemy mu wierzyć na słowo – ze złością powiedział Morgenbesser.

– No dobrze – rzekł rejent Szpak – ale jak stamtąd będziemy wywozić te kamienie?

– Złoża są nad samą Wisłą – Łukasz jeszcze raz pokazał na mapę – więc tym samym zostaje rozwiązana sprawa transportu.

– Tak. Przedsiębiorstwo będzie miało własne galary – zdecydowanie powiedział Balonik, jakby już od dawna zastanawiał się nad tym. – Zbudowaniem trzech galarów zajmie się pan Rumiński. Termin: od dzisiaj dwa tygodnie.

– Tak jest – odrzekł siwy mężczyzna w mundurze leśnika.

– Pan – Balonik wskazał na Wiącka – postara się o środki wybuchowe. O ile pamiętam, to pańska specjalność.

Członkowie rady roześmiali się przypominając sobie, iż kilka miesięcy wcześniej wyleciał w powietrze strych komendanta straży pożarnej, na którym młody Wiącek urządził sobie laboratorium.

– W tej dziedzinie jestem najlepszym specjalistą w Natalinie – z dumą powiedział Wiącek, patrząc zaczepnie na niektórych członków rady.

– Niewątpliwie – potwierdził Dziak. – Tylko zastanawiam się, czy w takim wypadku kamieniołomy nie są za blisko miasta.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – nasrożył się Wiącek.

– Żeby któregoś dnia nie zasypał nas grad kamieni – odrzekł Dziak.

– Wypraszam sobie! – krzyknął Wiącek.

– Panowie, ciszej! – napomniął Balonik. – Nie zapominajcie, że wśród nas jest pan profesor – dodał obawiając się, że posiedzenie, jak to się często zdarzało, zakończy się kłótnią.

– Niech panom nie przeszkadza moja skromna osoba – powiedział Łukasz z uśmiechem i Wiącek, zawstydzony, usiadł spokojnie.

Sześć lat później mieszkańcom Natalina regularnie, dwa razy na dzień, towarzyszyły odgłosy wybuchów z kamieniołomu. Pierwszymi, równo obrobionymi kostkami granitowymi został wyłożony rynek, a po nim czterokilometrowa droga do stacji kolejowej.

Natalin dzięki nowym ulicom stał się miastem o wiele czystszy, a przynajmniej bez miejsc w środku miasta, w których dawniej nigdy nie wysychało błoto, za to bardzo hałaśliwym. Stukoty kopyt końskich, turkoty kół i odgłosy silników samochodowych każdego ranka wdzierały się do sypialni Baloników.

Krystyna, już matka trzech synów, szybko przywykła do miejskich hałasów i nawet je polubiła, tak że niepokoiła ją nazbyt długo przeciągająca się cisza, gdy przez rynek nie przejeżdżał ani jeden wóz. Kiedy nastawała, przypominał się jej Natalinek, w którym nie była od wesela. W Natalinku zawsze czuła się jak w nocy, z której nagle może wyłonić się coś złego. W ratuszu nikt nie mógł nadejść niespodziewanie. Krystyna rozróżniała trzaskanie poszczególnych drzwi i po tym się orientowała, czy ktoś wchodzi do gabinetu męża, czy do sekretariatu. Ale Krystynie brakowało Natalinka. Zaraz po weselu, gdy matka powiedziała, że z ojcem dzieje się coś niedobrego i że Krystyna przez jakiś czas nie może przyjeżdżać do domu, ona wcale się tym nie przejęła. Dopiero po dwóch latach zaczęła tęsknić za rozległym podwórzem Natalinka, skąd można było patrzeć daleko na wszystkie strony świata. Coraz częściej podchodziła do okna sypialni, z którego w szczelinie pomiędzy apteką a domem

Altosika widać było kawałek ściany i okno rodzinnego domu. Czasami dostrzegła utykającego ojca, powolnego Kubę lub biegnącego na czworakach Lucjana.

Balonik także często patrzył przez to samo okno sypialni, ale on z niecierpliwym pragnieniem, żeby równa jak stół ziemia po zachodniej stronie miasta stała się jak najprędzej własnością miasta. Wiedział jednak, że to może stać się nie prędzej, jak po śmierci teścia. O tej upragnionej ziemi, tak bardzo potrzebnej duszącemu się Natalinowi, nigdy nie rozmawiał z żoną, gdyż raz mu wyznała, że im dłużej mieszka w Natalinie, tym bardziej tęskni za Natalinkiem. Lecz Krystyna знаła plany Balonika i rady miejskiej co do ziemi Natalinka i było jej żal, iż nadejdzie taki dzień, w którym obcy ludzie pobudują się w Natalinku. Żydzi otworzą szynki i granitowymi ulicami jak obrożami związana zostanie ziemia Walichradów, aż w końcu przestanie istnieć.

## DWA POGRZEBY

Feliks, kilka tygodni po niecelnym strzale do sokoła Józefa, gdy tylko rozbił dachówki na werandzie, przywołał Bysałę i powiedział:

- Na jutro rano zrób mi porządną trumnę.
- Po co? – zapytał zdziwiony Bysała. – Przecież nikt nie umarł.
- Ja umrę – rzekł Feliks.

Zofia, powiadomiona przez Bysałę o dziwnym żądaniu Feliksa, zaraz pojechała do doktora Mogunckiego, który od niedawna mieszkał w Natalinie. Powiedziała Mogunckiemu o trumnie i wyrazie twarzy Feliksa, kiedy patrzył na portret barona Marcina. Doktor chciał przyjechać i zbadać Walichrada, ale Zofia nie zgodziła się na to, mówiąc, że każda osoba z miasta wywołuje u męża wielkie rozdrażnienie. Więc Moguncki poradził, żeby dopóki nie będzie miał możliwości zbadać Feliksa, rodzina spełniała każde jego życzenie bez sprzeciwu i nie okazywała nazbyt wielkiego zdziwienia, gdy Feliks zachowa się inaczej niż zwykle.

Zofia powtórzyła Bysale słowa doktora i Bysała zabrał się do przycinania desek na trumnę. Następnego dnia powiedział Feliksowi, że trumna gotowa. Feliks poszedł do powozowni, gdzie stała trumna, i sprawdził, czy nie ma w niej zadziurów.

- Może pomalować? – zapytał Bysała.
- Nie trzeba. Idź teraz przebrać się w świąteczne ubranie i powiedz Kubie, żonie i dzieciom, żeby się także przebrały.
- Po co?
- Pójdziecie mnie pochować
- Dobrze – odpowiedział Bysała udając, iż nie widzi nic nadzwyczajnego w tym, że Feliks chce się żywcem pochować.

Gdy ubrani na czarno Kuba, Bysała i Bysałowa, Zofia z oczami czerwonymi od płaczu i dwóch synów Feliksa weszli do powozowni. Feliks leżał w trumnie. Pod głową miał biały jasiek, w rękach trzymał krzyżyk.

- Feliksie... – odezwała się Zofia z płaczem.
- Nie zapomnijcie o łopatach – surowym tonem, unosząc się na łokciu, powiedział Feliks.
- Nie zapomnimy – ospale odrzekł Kuba – tylko zastanawiam się, kto ciebie poniesie. We dwóch nie damy rady.
- Trzeba zawołać chłopów – podpowiedziała Zofia, mając nadzieję, że nim się zejda.

Feliksowi wróci zdrowy rozum.

– Żadnych obcych! – rozżłościł się Feliks siadając w trumnie. – Staszek i Włodek pomogą, a i ty, Zosiu, chyba mi nie odmówisz tej ostatniej posługi?

– Nie odmówię – przez łzy odpowiedziała Zofia. – Ale ty jesteś żywy, Feliksie, jeszcze ci nie pora na cmentarz.

– Nie martwcie się. Umrę, zanim dojdziemy do cmentarza. Sami widzieliście, że wszyscy postępowali tak, jakby mnie już nie było, więc ja tylko dopełniam formalności. No to w drogę – Feliks położył się i zamknął oczy.

Kilkuosobowy kondukt wyszedł z Natalinka na drogę, która biegła do miasta. Było południe. Słońce świeciło prosto na twarz Feliksa, który niecierpliwie potrząsając głową odganiał siadające na nos i oczy muchy. Bysała niośł trumnę z przodu, Kuba z tyłu. Synowie Feliksa usiłowali im pomóc, ale byli za niscy i tylko rękami, od spodu, dotykali trumny. Za trumną szła Zofia z Martą Bysałową, a za nimi Lucjan, który już po przejściu kilkudziesięciu kroków stracił zainteresowanie pogrzebem. Lucjan co chwilę zabawiał się wywracaniem na zieloną pszenicę, która wolno kładła się pod jego ciężarem. Starał się przywołać do tej zabawy Stanisława i Władysława, ale oni z natężeniem wpatrywali się w wystającą z trumny dłoń ojca i z gniewem odpychali Lucjana.

Zofia prawie mdlała na myśl, co będzie, gdy Feliks nie opamięta się, nim wejdą do miasta. Już i tak mieszkańcy Natalina opowiadali niestworzone rzeczy o tym, co dzieje się w Natalinku.

Kiedy kondukt znalazł się pod dziką gruszą, z brzozowego zagajnika oddzielonego od drogi łąką z dywanem dmuchawców wyszło kilka kobiet z narzuconymi na plecy wiązkami brzozowych gałęzi. Baby, zapominając, że niosą gałęzie kradzione z lasku Walichrada, zaczęły z ożywieniem mówić do siebie.

Feliks postłuszał obce głosy i gwałtownie usiadł. Bysała nie wytrzymał ciężaru i trumna osunęła się z jego ramienia. Feliks przeleciał przez głowę do tyłu i wypadł z trumny na drogę. Szybko powstał i patrząc w stronę zagajnika, rzekł z gniewem:

– Obcy chodzą po mojej ziemi.

Wówczas baby, przerażone, że z trumny wypadł żywy człowiek, porzucając gałęzie pognały wzdłuż lasku do miasta. Tymczasem Feliks uprzytomnił sobie, że on, mieszkaniec Natalinka, nie może dać się pochować na cmentarzu w Natalinie.

– Wracamy do domu – rozkazał.

W Natalinie w ciągu kilku godzin rozeszły się kłójące się z sobą wieści o Feliksie Walichradzie, zwariowanym dziedzicu Natalinka. Jedni mówili, że umarł, inni, że zmartwychwstał. Członkowie rady miejskiej zebrali się na ratuszu i czekali na starostę, który, mieli nadzieję, przyniesie potwierdzenie wiadomości o śmierci Walichrada. Ale Balonik wysłał swojego zastępcę, komisarza Patkolo, żeby oznajmił członkom rady, iż Feliks Walichrad czuje się dobrze i że on, starosta, nie rozumie, skąd wzięły się plotki o śmierci jego teścia. Członkowie rady miejskiej byli zawiedzeni, a najbardziej Adam Janusz Podgórecki, który tymczasem zdążył napisać mowę pożegnalną nad grobem Feliksa.

Feliks od czasu swego niedoszłego pogrzebu całymi dniami przesiadywał w salonie, rozmawiając z Walichradami z obrazów na ścianie. Zapomniał o rodzinie i gospodarce, którą musiał się zająć stary Kuba. Portrety zastąpiły Feliksowi żywych ludzi. Czasami zdejmował je ze ścian i rozkładał na krzesłach wokół stołu, zawsze dbając, aby na naczelnym miejscu, przodem do drzwi, znajdował się portret Józefa Bartłomieja Walichrada w kontuszu. Feliks najchętniej sadowił się obok Emisariusza i wiódł z nim długie dysputy o szkole rycerskiej, która, mówił Feliks, powinna powstać w Polsce. Barona Marcina nie lubił. Zarzucał mu, że przez wybudowanie fabryki na wyspie przyczynił się do rozbudowy Natalina. Kilka razy zdarzyło się, że Feliks brał domowników za zjawy nie z tego świata i na ich widok kreślił w powietrzu znak krzyża. Zofia bała się, że jeśli Feliks będzie częściej uważał za żywych tych,

co są na obrazach, to dostanie całkowitego pomieszania zmysłów, tym bardziej iż już dzieciom zaczęło się udzielać szaleństwo ojca. Władysław twierdził, że słyszał obce głosy w salonie – gdy nikogo obcego nie było w domu.

W końcu Zofia zwróciła się po radę do księdza Domolewskiego, który objął parafię Najświętszej Marii Panny po śmierci Stanclika, i Domolewski powiedział, iż to nic innego, jak tylko złe duchy nawiedziły Natalinek, i dał Zofii wodę poświęconą przez samego papieża. Nic to jednak nie pomogło, choć Zofia obficie skropiła każdy obraz z osobna. Feliks prowadził w salonie jeszcze bardziej ożywione rozmowy i co gorsza, znowu powrócił do myśli o pogrzebie. Któregoś dnia powiadomił domowników oburzonym głosem, że dotąd na rodzinnej ziemi nie został pochowany ani jeden mężczyzna z rodu Walichradów i przez to nie był przypieczętowany święty, nierozzerwalny związek z ziemią przodków. Zaraz też poszedł do salonu i zaczął krzyczeć na Walichradów z obrazów, że żaden z nich nie zdobył się na śmierć i pochowanie w Natalinku.

W okolicy Natalina były cztery cmentarze. W mieście: katolicki, żydowski i mały cmentarz na skarpie wiślanej, gdzie chowano tylko zakonników z klasztoru dominikanów. Po zachodniej stronie Natalinka znajdował się jeszcze zarosły trawą i brzozaami stary cmentarz zmarłych na cholere. Feliks nie chciał być pochowany na żadnym z nich i głośno użalał się, że na rodzinnej ziemi nie ma miejsca dla jego kości. Raz, gdy tak Feliks biadolił, odezwał się baron Marcin, zauważając, że założenie nowego cmentarza to najprostsza rzecz pod słońcem, wystarczy tylko ziemię poświęcić. Masz rację, powiedział uradowany Feliks, i po raz pierwszy spojrzał życzliwiej na Marcina. Natychmiast zawołał Bysałę i kazał załadować na wóz kilkadziesiąt palików do pomidorów.

– Jest za późno na sadzenie pomidorów – rzeki Bysała.

– Ładuj, nie gadaj.

Z palikami pojechali pod dziką gruszę. Feliks wszedł na łąkę i tam, gdzie było najrówniej, odmierzył kwadrat trzydzieści kroków na trzydzieści i na bokach tego kwadratu kazał Bysałe wbić paliki.

– Co tu będzie? – zapytał Bysała, bojąc się, że przyjdzie mu brać udział w jakimś nowym wariactwie Feliksa.

– Cmentarz – odrzekł Feliks. – Dobre miejsce. Każdy, kto będzie przejeżdżał drogą, musi zauważyć nasz cmentarz.

Po wyznaczeniu terenu Feliks wysłał Bysałę do Golejówka po murarzy, żeby postawili mur i bramę.

Bartosikowie w ciągu tygodnia postawili mur i szeroką bramę, taką, aby można było powozem wjechać. Wtedy Feliks posłał po księdza Domolewskiego, żeby niezwłocznie zjawił się z kropidłem i wodą święconą. Ksiądz skwapliwie przyjechał, ale dopiero pod dziką gruszą zorientował się, że nie będzie przepędzał demonów, tylko nowy cmentarz poświęcał. Zrobił to, choć nie miał zgody biskupa.

Członkowie rady miejskiej, gdy tylko dowiedzieli się o cmentarzu na łące, zażądali od starosty, aby nie dopuścił, póki nikt nie jest pochowany, do założenia nowego cmentarza, gdyż zburzy on cały plan zabudowy ziemi Walichradów. Balonik odpowiedział, że każdy obywatel ma prawo pochować się na swojej ziemi, jeśli tylko taka jego wola.

– Przecież nie możemy się liczyć z wolą wariata – powiedział z oburzeniem sędzia Napierski. – Możemy go...

– Panie sędzio – Balonik poblady z gniewu przerwał mu porywczym głosem – raczy pan zapamiętać na całe życie, że nikt w rodzinie Walichradów nie jest i nie był wariatem. Zrozumiał pan?

– Tak jest – odrzekł przestraszony Napierski.

Pozostali członkowie rady byli zaskoczeni. Nigdy nie widzieli starosty tak rozgniewanego, iż zdawało się, że jest na granicy furii, że ledwie się powstrzymuje, aby nie spoliczkować

Napierskiego.

Balonik przez chwilę patrzył na skulonego sędziego, a gdy przeniósł spojrzenie na członków rady miejskiej, to odnieśli oni wrażenie, iż mają do czynienia z kimś, kto władny jest zażądać od nich natychmiastowej śmierci. Tego dnia ci, którzy sądzili, że wszystko co związane z karierą Balonika w tak młodym wieku było pomyślnym zbiegiem przypadków, uwierzyli, że starosta może dojść nawet do godności prezydenta, o czym sam kilka razy napomknął.

Balonik, gdy wrócił do gabinetu, także zastanawiał się nad swoim zachowaniem na posiedzeniu rady. I jemu wydało się dziwne, że z taką stanowczością wystąpił w obronie teścia, którego czasami sam nazywał wariatem. Po namyśle wyznał przed sobą, że podobają mu się tacy nieokiełzani ludzie jak Feliks, Józef i ci wszyscy z Natalinka, których choć już dawno nie ma na ziemi, to wciąż żyją w opowieściach natalinian. Balonik, mimo że od niedawna mieszkał w Natalinie, wyczuwał, że Walichradowie są w stanie skrzyknąć cały powiat, jeżeli zaszłaby potrzeba stawić zbrojny opór, i ponadto stwierdził, że głos niesprzedajnego Feliksa na Stronnictwo Jedności Narodowej oznaczałby w praktyce oddanie tysięcy głosów na to samo stronnictwo i zapewniłby Balonikowi miejsce w Sejmie. Ale jak pozyskać Feliksa?

Po poświęceniu cmentarza Feliks pomyślał, że będzie upokarzające dla przyszłych Walichradów, jeżeli dopiero on, jeden z ostatnich w starym rodzie, zapoczątkuje rodowy cmentarz; po wielu latach, gdy może tylko napisy na grobach będą świadectwem istnienia Walichradów, kto dowie się, że Walichradowie żyli na tej ziemi jeszcze za królów polskich? Długo zastanawiał się, aż przyszedł mu do głowy pomysł: pochowa portrety i na grobach wykuje nazwiska sportretowanej rodziny.

Znowu przywołał Bartosików i kazał im wybudować na cmentarzu pod dziką gruszą pięć grobowców. Najokazalszy z nich, pośrodku cmentarza, miał być dla Józefa Bartłomieja. Pozostałe dla Emisariusza, dla siebie, Juliusza i dla Marcina.

Kiedy grobowce były gotowe, Feliks uroczyście oznajmił Walichradom z obrazów, że zostaną pochowani na rodowym cmentarzu. Przeprosił, że nie dla wszystkich wybudował osobne grobowce, i wtedy ciotka Zuza roześmiała się, pytając:

– Komu potrzebne są nasze grobowce?

– Muszę zrobić porządek w naszej rodzinie – powiedział Feliks. – Wpierw pochowam was jak trzeba...

– Feliksie – przerwał Juliusz łagodnym głosem – tobie mniej chodzi o porządek w rodzinie. Chcesz zatrzymać stary porządek świata.

– A co, zły jest?

– Zły, dobry. To bez znaczenia. Świat to nie jesteś ty, Feliksie, ani nasza rodzina. Świat jest ponad nami, a jeśli się będziesz mocno zapierał, stanie się z tobą to, co z drzewem w lesie, które nie nadaża rosnać za innymi.

– Zamilcz lepiej – rozzłościł się Feliks. – W Natalinku będzie tak, jak sobie to... – nie dokończył, uświadamiając sobie, że z chwilą odejścia Józefa i Krystyny już nie jest tak, jak sobie umyślił.

– Sam widzisz – dodał Juliusz.

– Widzę, że wszystko idzie na złe. Trzeba to powstrzymać.

– Niczego nie powstrzymasz – wtrącił Marcin. – Miasto wcześniej czy później wybuduje się na naszej ziemi, bo nie może w nieskończoność rosnać w górę. A rosnać musi. Nie da się go ściąć siekierą.

– Dopilnuję, żeby na naszej ziemi nie wyrosło.

– Dzieci nie dopilnowałeś, a co dopiero...

– Wyrośnie jak ciasto – roześmiała się ciotka Zuza.

– Po mojej śmierci.



– Co za różnica.

Zofia, stojąc za drzwiami salonu, z przerażeniem słuchała, jak Feliks rozmawia z samym sobą, choć chwilami nie była pewna, czy to jego głos. Ale nie miała odwagi otworzyć drzwi.

Kiedy kosiarze wynosili na ramionach pięć trumien, do Natalinka przyjechał ksiądz Domolewski. Poproszony o poprowadzenie pogrzebu bez nieboszczyka do ostatniej chwili nie wiedział, co robić. Bał się Walichrada i bał się gniewu biskupa, ale w końcu stwierdził, że biskup daleko, a szaleńca ma pod samym nosem i lepiej nie narażać się bez potrzeby. Wziął tylko zamiast wody święconej zwykłą wodę studzienną. Gdy orszak żałobny przygotowywał się do wyjścia, natalinianie, Polacy i Żydzi, powiadomieni wcześniej przez kosiarzy o mającym się odbyć niezwykłym pogrzebie, tłumnie zebraли się po zachodniej stronie miasta. Siedzieli na murze, drzewach i dachach pobliskich domów. Komendant policji, Dziak, rozstawił wzdłuż muru sześciu uzbrojonych policjantów, a w odwodzie, na ratuszu, trzymał w pogotowiu trzydziestu policjantów ściągniętych z posterunków w głębi powiatu. Dziak, od kiedy przed ośmioma laty został niemalże stratowany przez strajkujących robotników w Zamościu, panicznie bał się wielkich zgromadzeń. Od tamtego czasu, gdyby to od niego zależało, to ludzie chodziliby na msze według imiennej listy, lecz nie więcej niż pięćdziesiąt osób naraz, i kazałby budować fabryki zatrudniające najwyżej stu robotników, a poza tym marzyły mu się miasta o przestronnych ulicach, z wieżami strażniczymi na skrzyżowaniach, skąd byłoby widać każdego przechodnia. Z początku komendant policji chciał przeszkodzić zbiegowisku po zachodniej stronie miasta, gdyż ludzie zbierali się tam bez uzgodnienia ze starostwem, ale Balonik zabronił mu wtrącać się w tę sprawę.

Po kilku godzinach wyczekiwania, gdy niektórzy natalinianie klnąc, że zmarnowali tyle czasu, zaczęli wracać do domów, kondukt wyruszył z Natalinka. Jednocześnie za Wisłą ukazała się czarna jak kapelusze Żydów chmura.

Chmura i kondukt wolno nachodziły na siebie. Za pół godziny, gdy w cmentarną bramę wszedł kosiarz z krzyżem, chmura przesłaniając słońce zawisała nad cmentarzem. Zrobiło się cicho. Słychać było furgoty pojedynczych ptaków, które uciekały do lasu.

Chłopi włożyli trumny do grobowców i zbici w gromadę czekali na obiecaną zapłatę. Ksiądz, stojąc obok grobowca pośrodku cmentarza, mówił modlitwę za umarłych, gdy na otwarty modlitewnik pacnęła kropla deszczu. Domolewski w pośpiechu skończył modlitwę, zamknął modlitewnik i w tej samej chwili na ziemi lunęła ściana deszczu, który wszystkich przygniótł do ziemi. Kuba, biorąc Zofię za rękę, wciągnął ją do grobowca Józefa Bartłomieja i usiłując przekrzyczeć szum spadającej wody, nawoływał, żeby się wszyscy chowali do grobowców. Ale zdołali się tam pomieścić Walichradowie, ksiądz i tylko kilkunastu chłopów. Pozostali chłopi po omacku chodzili po cmentarzu, gdyż przez strugi deszczu nie mogli dojrzeć bramy.

Ksiądz Domolewski, znalazłszy się w jednym grobowcu z Feliksem, Zofią i Kubą, uklęknął i zaczął głośno przeproszać Boga, że wziął udział w tym szatańskim dziele.

Deszcz głucho dudnił po dachu grobowca. Po kilku minutach woda zmieszana z ziemią i trawą wpłynęła do środka. Zofia i ksiądz wyszli na trumnę, lecz gdy wody nalało się do kolan, trumna, zaczęła pływać i Zofia, nie utrzymując równowagi, wpadła do wody.

Feliks, stojąc w bezruchu, nie odzywał się. Nie odpowiadał Zofii i Kubie, którzy pytali go, czy wraca z nimi do domu.

– Feliksie, trzymajmy się wszyscy za ręce i uciekajmy stąd – powiedział Kuba podchodząc do Feliksa.

Feliks nie poruszył się. Był sparaliżowany.

## GOŚCIE STAROSTY

W piątki zbierali się u starosty, w jego mieszkaniu, najpoważniejsi obywatele powiatu natalińskiego. Zawsze, niejako z urzędu, przychodzili dwaj zastępcy Balonika: komisarz Patklo i komisarz Widerek, który był także redaktorem naczelnym „Obywatela”. Regularnie co piątek przychodził sędzia Napierski i rejent Szpak, ale oni przychodzili tylko po to, żeby się kłócić z sobą. Nigdy nie byli tego samego zdania. Raz nawet sędzia Napierski dlatego uniewinnił posądzonego o zabójstwo, że rejent nazwał oskarżonego największym zbrodniarzem, jakiego ludzkość wydała. Ponadto do starosty przychodzili: aptekarz Cyran – przewodniczący Związku Aptekarzy, Altosik – Żyd przechrzta, dyrektor Przedsiębiorstwa Eksploatacji Kamieniołomów, które zatrudniało dwustu robotników, prezes banku rolnego Milden i jedyny poeta w Natalinie – Adam Janusz Podgórecki. Podgórecki, autor nikomu nieznanym wierszy, był zatrudniony w starostwie jako kronikarz. Balonik wyręczał się też nim, kiedy jakiejś ważnej osobie trzeba było odpisać, że sprawa potoczyła się nie tak, jak by sobie tego ważna osoba życzyła, ale jednocześnie, że nie została załatwiona odmownie. Podgórecki był mistrzem w pisaniu tego rodzaju listów. Rzadziej, co drugi, trzeci piątek, ale nigdy razem, przychodzili do starosty przeor klasztoru dominikanów i proboszcz Domolewski. Obaj księża nie mogli się porozumieć co do podziału wsi w mieście. Domolewski uważał, że z racji usytuowania kościoła Najświętszej Marii Panny tuż przy rynku, do jego parafii powinno należeć śródmieście, a więc rynek i przylegające doń ulice, gdzie mieszkali najbogatsi katolicy. Walka księży o śródmieście była walką o pieniądze, które wpływały do księzowskich kieszeni jako opłaty za chrzty, wesela, pogrzeby i zwyczajne datki podczas mszy. Tymczasem, nie mogąc się pogodzić, tracił i klasztor, i kościół, gdyż gospodarze obu świątyń podkupywali sobie wiernych coraz niższymi opłatami za usługi religijne, aż przybytki boże w Natalinie zaczęły słynąć na okolicę z prawie darmo udzielanych ślubów i darmowych pogrzebów.

Wyjątkowo na piątkowe spotkania przychodził Morgenbesser, który niedawno zdobył złoty medal na światowej wystawie róż (wyhodowana przez niego nowa odmiana róży została wpisana do światowego katalogu jako „Róża Morgenbessera”), Łukasz Walichrad, profesor Altbauer – nauczyciel matematyki w gimnazjum i profesor Zamojre, do którego przychodziły książki i gazety z całego świata. Niektóre z nich, ku zdumieniu gimnazjalistów, Zamojre czytał od prawej do lewej strony lub od dołu do góry. Na opłacanie przesyłek z zagranicy wydawał wszystkie pieniądze. Od lat chodził w jednym i tym samym ubraniu, które na siedzeniu i łokciach świeciło jak mundurki najbiedniejszych uczniów. Zamojre był ulubionym nauczycielem w gimnazjum. Gimnazjaliści z zaciekawieniem i zdumieniem dowiadywali się od niego, że Bóg jest tak wszechogarniający, iż nie ma religii, która mogłaby objąć całą jego Istotę, że nie tylko oni, katolicy i Żydzi, mają swoich osobnych Bogów, ale na każdym obszarze geograficznym ludzie czczą innego boga i inne święte księgi. Od Zamojre po raz pierwszy usłyszeli o bogach Wisznu i Sziwa, o świętych księgach Buddy spisanych w języku magadhi, które dotąd nie zostały odnalezione, o Kao-daj, Tao, Allachu.

Do Balonika przychodził także, ale nie częściej niż raz na trzy miesiące, ksiądz katecheta Poryło, spowiednik gimnazjalistów. Odkąd gimnazjaliści przestali się spowiadać z grzechu Onana, mówiąc, że to, co wypływa z potrzeby ich duszy i ciała, nie jest grzechem, Poryło nazwał Zamojre mącicielem umysłów niewinnej młodzieży i poskarżył dyrektorowi. Ale Łukasz Walichrad powiedział, że pogłębianie wiadomości uczniów nie prowadzi do wyrzeczenia się Boga, i zaraz odprawił spowiednika.

Kilka razy przyjechał do starosty Wyrot – wójt ze Skowierzyna, wsi na południowym

krańcu powiatu. Wyrot, co niepokoiło Balonika, zorganizował spółdzielnię ludową, do której zapisali się chłopci z kilkunastu wsi. Spółdzielnia ludowa oprócz wypożyczalni maszyn rolniczych miała także kasę oszczędnościowo-pożyczkową. Balonikowi nie podobało się, że wójt ze Skowierzyna zyskuje coraz większą popularność, ale ze względu na przyszłe wybory postanowił żyć w zgodzie z Wyrotem, mimo że domagał się on coraz większych praw dla spółdzielni. Komendant Dziak ostrzegał, że to, co robi Wyrot, śmierdzi komuną, i że starosta za często ustępuje wójtowi. Balonik jednak myślał, że w zamian za poczynione wójtowi ustępstwa, tuż przed wyborami wejdzie z nim w układy i zapewni sobie głosy większości chłopów w powiecie. Z tego samego powodu tolerował poczynania kolejnego piątkowego gościa – Józefa Walichrada, co do którego opinia komendanta policji była jednoznaczna. Dziak podejrzewał Józefa o poglądy komunistyczne. Józef przyjaźnił się z Czechnowskim, wydawcą „Robotnika”, organizatorem strajków robotniczych w Kielcach, który dążył do utworzenia w Natalinie związku zawodowego robotników. Był on dwa razy aresztowany i przesłuchiwany przez Dziaka, ale za każdym razem szybko wychodził z aresztu, gdyż Józef wstawiał się za nim u starosty. Dziak usiłował przeciwstawić się Balonikowi mówiąc, że tolerancja prowadzi do anarchii, a anarchia do rewolucji. Trzeba to przetrzymać, odpowiadał Balonik, zostaną posłem i wtedy zaprowadzimy porządek. Balonik wiedział od komendanta policji, że Józef często spotyka się z Czechnowskim, że do domu Józefa przychodzą robotnicy z kamieniołomów i mieszkańcy Kamionki, ale ani razu poważnie nie pomyślał, że Józef, w końcu współwłaściciel dużych połaci ziemi, może naprawdę pragnąć, aby mu odebrano ziemię, tak jak rosyjskim właścicielom ziemskim odebrali bolszewicy. Jednakże martwiła Balonika sytuacja w powiecie, pełnym coraz bardziej butnych chłopów i politykujących robotników. Ubolewał, że do wyborów jest jeszcze rok i w tym czasie nie może podjąć energicznych kroków, żeby nie zrazić do siebie wyborców. Musiał pohamowywać gorliwość komendanta policji, który od dawna chodził z kilkudziesięcioma nakazami aresztowań w kieszeni, w tym z nakazem aresztowania Józefa Walichrada, i obiecać mu, że po wyborach będzie rozróżniał tylko dobrych i złych obywateli, bez względu na powinowactwa rodzinne.

Na piątkowe spotkania przychodziły też kobiety. Siedziały przy osobnym stole, z panią domu, Krystyną Balonikową, i objadały się konfiturami. Balonik dbał, żeby Krystyna była dobrze ubrana. Specjalnie dla niej prenumerował „Dzienniki Mody”. Dzięki temu Krystyna stała się wyrocznią mody w Natalinie. Żony członków rady miejskiej podpatrywały, jaki Krystyna nosi krój sukienek, i szyły sobie takie same. Z kobiet dwie zwracały na siebie uwagę: ładniejsza od aktorek z amerykańskich filmów córka profesora Altbauera, w której podkochiwali się wszyscy starsi gimnazjaliści i która chciała pojechać do Warszawy do Studia Teatralnego, i Laufrowa, wdowa po nauczycielu rysunku, który kiedy się wydało, że uwiódł ucznia, strzelił sobie w usta. Laufrowa, oszepecona wolem wielkości pięści, który wyrastał jej z szyi, prowadziła ożywione życie towarzyskie. Nie opuszczała zebrań w sali „Sokoła” ani w czytelnicy miejskiej, gdzie występowali prelegenci z odczytami o księżycu, Pigmejach, magnetyzmie. Poza tym była przewodniczącą Koła Kobiet Katolickich, które miało za zadanie sprawować nadzór nad moralnym wychowaniem młodzieży w mieście. Kobiety katolickie wybrały Laufrową na cenzora filmów wyświetlanych w kinie „Orzeł”. Chodziła na pierwsze projekcje każdego nowego filmu i potem zawiadamiała członkinie Koła, czy ów film nadaje się, aby go oglądały dzieci lub mężowie. Ani razu nie powiedziała, że jakiś film jest niedozwolony dla mężów czy młodzieży. W ciągu jednego roku Laufrowa stała się namiętną kinomanką. Na „Szejku” z Rudolfem Valentino w roli tytułowej była jednaście razy i jednaście razy wychodziła z kina zapłakana bardziej niż po śmierci swego męża. Na „Kleopatrze” była jeszcze więcej razy. Tak się jej ten film spodobał, że z funduszy Koła Kobiet Katolickich kupiła wszystkim członkiniom bilety i zaprowadziła do kina. Ale gdy członkinie zobaczyły, że Theda Bara, która grała Kleopatrę, jest częściej naga niż ubrana,

hurmem wyszły z sali kinowej i następnego dnia zwolniły Laufrową ze stanowiska cenzora.

Do starosty przychodził jeszcze rabin Rozenblatt, doktor Moguncki, właściciel wytwórni wody sodowej Fabian, czasami przyjeżdżali właściciele okolicznych dworów, ale ktokolwiek by nie był, każdego piątku rozmowy schodziły na temat ziemi leżącej po zachodniej stronie Natalina. Krystynie przykro było słuchać, jak obcy bez wysiłku, niby bogowie, dzielą ziemię Natalinka, przeznaczając ją pod bank rolny, sąd grodzki czy szkołę rolniczą, o którą upominał się Morgenbesser. Na domiar tego Krystyna z żalem posłyszała, że i Łukasz ma swoje plany co do Natalinka. Łukasz powiedział tajemniczo, że nic nie będzie się budować w Natalinku, tylko kopać wielką dziurę. Balonik słysząc to pomyślał, że Łukasz jest znowu na tropie jakiegoś odkrycia, może o wiele bardziej ważnego niż kamieniołomy, i na wszelki wypadek rozkazał Dziakowi zainteresować się pracami Walichrada.

Dziak, mimo że wysyłał za Łukaszem swoich najlepszych tajniaków, nie dowiedział się nic, co mogłoby zainteresować starostę, oprócz tego, że Łukasz potajemnie spotyka się z córką Altbauera.

## WIELKIE ODKRYCIE

Łukasz, wracając z czterema gimnazjalistami z Piekła, zajechał do Natalinka. Na rozradowanej twarzy dyrektora gimnazjum widniał uśmiech. Właśnie dzisiejszego dnia dokopał się do głębokości dwudziestu metrów i to, co znalazł wewnątrz ziemi, potwierdziło jego hipotezę na temat występowania siarki w ziemi natalińskiej. Dowód – rudę siarki – wiozł na wozie w dwu workach. Kuba, gdy tylko przywitał się z Łukaszem, wyniósł z piwnicy dzban wina.

– Tak, Kubo, nie było lepszej okazji do wypicia jak dzisiaj – powiedział Łukasz.

– Im też nalać? – zapytał Kuba, pokazując na czterech gimnazjalistów siedzących pod orzechem.

– Lepiej niech Marta da im kompotu, choć podejrzewam – zaśmiał się Łukasz – że woleliby to samo, co my.

Kuba krzyknął w głąb domu, żeby Marta przyniosła chłopakom coś do picia.

– Niech przyjdą tutaj, darmozjady! – odkrzyknęła Marta.

Łukasz zauważył, że odkąd Feliks leży sparaliżowany, w Natalinku zrobiło się weselej. Nie straszycie go widmo niczym niewytłumaczonego gniewu Feliksa ani jego nieznośne milczenie. Spod oczu Zofii zniknęły ciemne bruzdy wyżłobione przez łzy. Także zmieniło się zachowanie Władysława i Stanisława.

Stanisław, starszy syn Feliksa, był najczęściej karany uczniem w gimnazjum. Każdego tygodnia stawał przed biurkiem dyrektora, swojego wuja, z karteczką od wychowawcy, że znowu kogoś pobił. Stanisław stał się bardzo uczulony na rozmowy o Natalinku i ojcu. W razie podejrzenia, że koledzy rozmawiają o jego ojcu, rzucał się na nich z pięściami, nie bacząc, czy są silniejsi od niego, czy słabsi. Łukasz wiele razy tłumaczył Stanisławowi, że ciekawość jest najzwyczajniejszym zjawiskiem i że on, zamiast bić się, powinien opowiadać o Natalinku, aż przekona gimnazjalistów, że w Natalinku żyje się tak samo jak gdziekolwiek indziej. Ale Łukasz to wyczuwał, Stanisław nie ufał ani jemu, ani żadnemu z profesorów lub kolegów z klasy. Małomówny i patrzący na wszystkich wrogo, był nie lubiany przez profesorów. Ksiądz katecheta powiedział na zebraniu rady pedagogicznej, że Stanisław nie

ma życia wewnętrznego, że jest kukłą przyobleczoną w ludzką skórę. Z tej wypowiedzi księdza katechety Łukasz domyślił się, że Stanisław bardzo oszczędnie spowiada się ze swoich grzechów. Toteż kiedy Łukasz dostał pismo z policji, żeby wzmóc czujność nad Stanisławem Walichradem, gdyż nazbyt często widuje się go w Kamionce, dzielnicy zamieszkaanej przez (jak to określiła policja) ludność stojącą na najniższym poziomie moralnym, był ogromnie zaskoczony, że Stanisław tam znalazł sobie przyjaciół. Ta samodzielność spodobała się Łukaszowi i zaczął traktować Stanisława jak dorosłego mężczyznę, a któregoś dnia pokazał mu pismo z policji. Stanisław uważnie przeczytał i po raz pierwszy wydusił z siebie: „Dziękuję stryjowi”. Odtąd zbliżyli się do siebie i Stanisław, przez lojalność, bił się rzadziej, tylko wtedy, kiedy umyślnie chciał dostać się do gabinetu dyrektora. Za ostatnim pobytem u dyrektora Stanisław niby od niechcenia powiedział, że uczeń Iwanicki będzie musiał zrezygnować z nauki, gdyż jego rodzice nie mają pieniędzy na czesne. Wówczas Łukasz obiecał, że zwolni Iwanickiego z opłat, i uzmysłowił sobie, że to nie pierwszy uczeń, którego zwalnia z czesnego za poręką Stanisława. Potem dowiedział się, że wszyscy ci, za którymi wstawiał się Stanisław, mieszkają w Kamionce, i Łukasz z ciekawości, co tak interesuje Stanisława w tej dzielnicy, jednej niedzieli tam poszedł.

Ubrany w jasny garnitur, z laseczką, wszedł na ulice, na których nie było niedzieli. Grupa półnagich wyrostków, którzy pobili się o wyrzucony przez Łukasza niedopałek cygara, przejęła go odrazą, a gdy kilkanaście kroków dalej zobaczył leżących pod płotem pijanych mężczyzn, zawrócił. Bał się wejść w głąb rozciągającej się przed nim nędzy, mimo że nie tak dawno nędza jawiła mu się jako coś egzotycznego, aż czasami marzyło mu się, iż jest biednym studentem, utrzymującym się z korepetycji i mieszkającym w nieopalanym pokoju. Później, poświęcając pracy naukowej zainteresowanie ludzką dolą, zapomniał o skrytym pragnieniu, żeby być biednym. I tak po latach wiedział wszystko o minerałach, z których zbudowana jest skorupa ziemską, potrafił ze znanstwem artysty zwrócić uwagę na niewidoczne na pierwszy rzut oka desenie na kamieniu czy ogień wewnątrz kamienia, ale ludzie stanowili dla niego blok skalny o nieznanym i, jak sądził, mało ciekawym strukturze.

Wyłomu pośród ludzi nie potrafiła uczynić nawet córka profesora Altbauera, Emma, z którą Łukasz co tydzień spotykał się w swoim mieszkaniu w gimnazjum. Emma w czasie każdego spotkania prosiła o zgodę na wyjazd do Warszawy, gdzie chciała dostać się do szkoły teatralnej, i Łukasz za każdym razem zgadzał się bez namysłu, jeszcze obiecując polecić Emmę swoim znajomym w Warszawie. Pewnego dnia córka Altbauera wyjechała bez pożegnania z Łukaszem, a po kilku tygodniach nadeszła wiadomość o jej samobójczej śmierci. Łukasz wówczas pomyślał; że zapewne Emma nie dostała się do wymarzonej szkoły teatralnej, i zapomniał o niej.

Po spacerze do Kamionki Łukasz, sam nie wiedząc z jakiego powodu, zaczął myśleć o Emmie i nagle zaskoczony doszedł do wniosku, że Emma dlatego tak często aż do znudzenia prosiła o zgodę na wyjazd do Warszawy, gdyż chciała, aby Łukasz nie pozwolił jej jechać.

Następnego dnia Łukasz poprosił do gabinetu profesora Altbauera, który od śmierci córki unikał dyrektora gimnazjum i nigdy pierwszy nie odezwał się do niego.

– Panie profesorze – powiedział Łukasz zduszonym głosem – zrozumiałem, że jestem podłym człowiekiem.

– Nie jest pan podły – odrzekł Altbauer, nie patrząc na Łukasza.

– W takim razie – Łukasz pomyślał, że matematyk nie wiedział o jego spotkaniach z córką – muszę panu z wielką przykrością wyjawić...

– Nie jest pan podłym człowiekiem – przerwał Altbauer – tylko głupim. Jest w panu tyle życia, co w tych kamieniach – matematyk powiódł wzrokiem po widocznych za szybami gablot ametystach, jaspisach, agatach, opalach, i dodał cicho – nawet tutaj nie znalazł pan miejsca dla niej.

Kiedy Łukasz, zabrudzony ziemią, siedział z Kubą w Natalinku na werandzie i spoglądał

na leżące na wozie worki z rudą siarki, już był zdania, że ludzie są tak samo różni od siebie jak kamienie – że jak kamienie są ludzie z wewnętrznym żarem, z których wybuchają igielki ognia jak z bladezielonych nefrytów pekińskich, i że są ludzie, z których nawet najlepszy szlifierz nie wydobędzie choćby poblasku.

Łukasz podniósł szklanę z jasnożółtym jabłecznikiem i wystawił ją do promieni słońca, które wpadały przez dziurę w dachu werandy, jeszcze niezałataną po niecelnym strzale Feliksa do sokoła. Z dna szklanki, mieniając się kolorowo, uciekały pęcherzyki powietrza.

– Słowo daję – rzekł Łukasz – gdybym nie wiedział, że to jabłecznik, dałbym sobie głowę uciąć, że piję najlepsze węgierskie wino.

– Dobrze jest – obojętnie powiedział Kuba i pokazując na wóz zapytał: – A co Łukasz wiezie w tych worach?

– Złoto, Kubo, złoto tej ziemi. To prawda, co mówię – zapewnił Łukasz, widząc grymas zniecierpliwienia na twarzy Kuby. – Tylko że leży ono głęboko w ziemi. Jak go wydobyć, będziemy bogaci, wtedy przestaną istnieć takie dzielnice jak Kamionka – dodał z zamyśleniem.

– Łukaszu, tamto złoto jest przeklęte – surowo przestrzegł Kuba. – Jeśli Marcin nie dał rady...

– To on wiedział?

– Należało do niego.

– O czym, Kubo, mówisz?

– A ty?

– Zaraz pokażę. Pawlicki! – Łukasz przywołał jednego z gimnazjalistów, którzy pili kompot pod orzechem.

– Słucham, panie dyrektorze – przed Łukaszem stanął gruby chłopak o dziewczęcych wargach.

– Przynieś rudy w słoiku.

Pawlicki podszedł do wozu, nasypał do słoika kilka garści brunatnej mokrej ziemi i wrócił z nią na werandę.

– Wysyp na podłogę – powiedział Łukasz i gdy Pawlicki to zrobił, Łukasz uklęknął i do wgłębienia w stożku ziemi wysypał zapalki z pudełka i podpalił je.

Kiedy zapalki zgasły, małymi, pełzającymi płomykami zaczęła się palić ziemia. Ulatywał duszący dym, który nisko ścieląc się wleciał do wnętrza domu.

– Matko Przenajświętsza! – z kuchni dobiegł przerażony głos Marty. – Śmierdzi piekłem!

Marta wybiegła na werandę i przeżegnała się. Dopiero wtedy podeszła bliżej palącej się ziemi.

– Niech pan dyrektor nie zabiera z piekła ziemi – ostrzegła. – Jeszcze się tu szatany zbiegną.

– Zapowiada się, że to bogata ruda siarki – powiedział Łukasz, nie mogąc opanować bijącej z twarzy radości. – Tylko jeszcze nie wiem, jak rozległe jest złożo. W każdym razie Staszic miał rację.

– Co tam Staszic – lekceważącym tonem odezwał się Pawlicki. – Polska geologia zaczyna się dopiero od pana dyrektora.

– Pawlicki, za karę, że nie doceniasz roli Staszica, dokopiesz się do dna Morza Miocenińskiego – surowo powiedział Łukasz. – Zrozumiano?

– Ja tylko powtarzam, co było napisane w „Przeglądzie Geologicznym” – obruszył się Pawlicki.

– To nie powtarzaj głupot. Odmaszerować. Pawlickiemu spodobała się myśl, żeby dotrzeć do dna Morza Miocenińskiego, które kilkanaście milionów lat temu przelewało się w tym miejscu. W wyobraźni już widział ogromny głęboki dół a w nim siebie, odkrywającego jeszcze nikomu nieznanne minerały. Pozostali gimnazjaliści dowiadując się, że Pawlicki ma się

dokopać do Morza Mioceńskiego, zrobili się bladzi z przestachu.

– To największa kara świata – wyszeptał Lipczyk, patrząc z podziwem na dyrektora.

– To ty już nigdy w życiu gimnazjum nie skończysz – powiedział Janiszewski. – Dyro nie popuści, dopóki kary nie odbębnisz.

– Ale nie powiedział, do kiedy mam się dokopać – zaśmiał się Pawlicki, a po namyśle dodał: – Myślę, że jemu chodzi o to, żebym w ogóle, w swoim życiu, dokopał się do dna miocenu.

– Potem, jak skończysz gimnazjum, to ci może na wała usiąść.

– Ja chciałbym się dokopać – rzekł Pawlicki.

– To siedź w Piekłe dniami i nocami, wariacie – ze złością powiedział Janiszewski.

Od dwóch lat pojawił się w gimnazjum wymyślony przez dyrektora nowy rodzaj kary: pogłębianie dołu w wysuszonej odnodze Wisły, która znajdowała się dwa kilometry od Natalina. Łukasz postanowił wykorzystać naturalne niskie położenie odnogi, żeby prędzej dotrzeć do ziemi zawierającej siarkę. Kazał zbudować tam szopę na łopaty i taczki. Gimnazjaliści nazwali to miejsce Piekłem. Podchwycili tę nazwę od właściciela Sokołówki, Dwernika. Gdy Dwernik zabierał ze szkoły swego syna, któremu tylko ksiądz katecheta wystawiał dobre oceny, to przez cały korytarz krzyknął do dyrektora Walichrada, że nie pozwoli, aby jego dziecko przymuszano do kopania dziury do piekła.

W Piekłe z największym zapalem pracował Pawlicki. Polubił odsłanianie coraz to nowych pokładów ziemi i zbieranie interesujących kamieni, których nazw szukał potem w podręczniku. To Pawlicki pierwszy znalazł ostrygę mioceńską i otwornice z rodzaju Heterostegina, które upewniły Łukasza, że w tym miejscu musi znajdować się siarka.

## KŁĘSKA BALONIKA

Korneliusz Balonik w dniu, w którym miały się odbyć upragnione wybory, stracił wszystko, co było dla niego najcenniejsze: stanowisko starosty i szanse na zrobienie politycznej kariery, i nie mógł zrozumieć, jak to się stało. Był tak pewien zwycięstwa, że dwa tygodnie przed wyborami zamówił u krawca smoking na swoje pierwsze wystąpienie w Sejmie.

Mieszkając z Krystyną i dziećmi w Natalinku wielokrotnie analizował swoją taktykę przedwyborczą i nieodmiennie dochodził do wniosku, że nie popełnił ani jednego błędu.

Na trzy miesiące przed wyborami rozesał w teren mówców ze Stronnictwa Jedności Narodowej, wyposażając ich w przemówienia napisane przez Adama Janusza Podgóreckiego. Samego Podgóreckiego posłał do Skowierzyna, najbardziej liczącej się wsi w powiecie, którą rządził Wyrot.

Adam Janusz Podgórecki przyjechał do Skowierzyna z obietnicą państwowej pożyczki na wybudowanie cukrowni, o którą od dłuższego czasu zabiegał Wyrot. Podgórecki mówiąc o pożyczce nadmienił, że zostanie ona zrealizowana natychmiast po wyborze Balonika na posła. Ale o głosy chłopów walczyło więcej partii. Jeszcze Podgórecki nie wyjechał ze Skowierzyna, gdy zjawił się agitator nowej partii – partii ziemiańskiej. Był nim kuzyn hrabiego Potemkowskiego – wytwornie ubrany Pogonowski, który przed wyjściem z auta, żeby przypodobać się chłopom, zdjął buty. Chłopi, widząc Pogonowskiego boso, zaczęli kpić i śmiać się z niego, ale Pogonowski, niezrażony kpinami oświadczył, że jaśnie oświecony

obrońca ludu i wiary polskiej, pan hrabia Potemkowski, ofiarowuje gminie, na ręce znanego z uczciwości wójta Wyrota, połowę pieniędzy potrzebnych na wybudowanie cukrowni, a drugą połowę hrabia przyrzeka dostarczyć, gdy tylko zostanie wybrany posłem na Sejm. Wyrot, tłumiąc śmiech, który go porywał na widok białych jak robaki pod kamieniami stóp Pogonowskiego, odrzekł, że docenia hojność hrabiego i dziękuje w imieniu gminy.

Balonik, dowiadując się o darze Potemkowskiego, jeszcze raz wysłał do Skowierzyna Podgóreckiego, aby powieść Wyrotowi, że do zbudowania cukrowni potrzebna jest przede wszystkim zgoda starosty i budulec z kamieniołomów i że starosta jeszcze nie jest zdecydowany, czy w powiecie jest rzeczywiście konieczna cukrownia. Wójt Skowierzyna wysłuchał Podgóreckiego i odrzekł, że nie wierzy ani zapewnieniom hrabiego, ani starosty, ale że z dwojga złego woli wybrać tego, który sprawuje władzę. Po tym oświadczeniu Wyrota Balonik, spokojny o głosy chłopów, skierował mówców do Kamionki, gdzie żyła połowa mieszkańców Natalina.

Starosta parokrotnie wizytował Kamionkę w towarzystwie członków rady miejskiej i obiecał mieszkańcom tej najbiedniejszej dzielnicy, że wybuduje wodociągi i fabrykę. Ale potem, po naradach z inżynierami, doszedł do przekonania, że aby wybudować wodociągi, trzeba wcześniej wyburzyć połowę ruder w Kamionce, a na postawienie fabryki nie było miejsca.

Starostwo już dawno utraciło kontrolę nad rozbudową Kamionki. Wbrew przepisom powstawały tam domy z dykty, blachy, gliny. Budowano je w każdym wolnym miejscu, w ogródkach albo tuż przy ulicach, które z tego powodu zrobiły się tak wąskie, że dwa wozy nie mieściły się obok siebie. W lesie domów Kamionki potworzyły się zagmatwane ścieżki, na których gubili się nawet tajniacy Dziaka, a były wypadki, że gubili się na zawsze, bez śladu.

Balonik, zdając sobie sprawę, że teraz dla pozyskania głosów mieszkańców Kamionki nie wystarczą same obietnice, wyposażył mówców w darmowe kwity na pobranie budulca z kamieniołomów i pozwolenia na budowy domów. Ale ludzie z Kamionki nie chcieli kwitów. Wzięło tylko dwóch. Potem okazało się, że byli to funkcjonariusze policji w cywilu. Wówczas Balonik przypomniał sobie, że w ostatnich raportach Dziaka było coś o nielegalnej organizacji w Kamionce, więc przywołał komendanta i zapytał:

- Co dzieje się w Kamionce?
- Dużo się dzieje, panie starosto.
- Proszę krótko.

I Balonik dowiedział się, że na zebraniach organizowanych przez Czechnowskiego robotnicy coraz częściej wykrzykują antyrządowe hasła, że policjanci znaleźli w Kamionce ulotki szkalujące państwo polskie i że istnieje podejrzenie, iż w Natalinie działają komuniści.

- Tę Kamionkę najchętniej puściłbym z dymem – odezwał się zamyślony Balonik.
- To można zrobić – rzekł porywczo Dziak. – Trzeba tylko zaczekać na odpowiedni kierunek wiatru, żeby pożar nie przeniósł się na pozostałe dzielnice.
- Zwariował pan?
- W takim razie nie widzę innego wyjścia, jak zamknąć parę osób.
- Kogo, na przykład?
- Czechnowskiego i z przykrością to mówię, pana Józefa Walichrada. Obaj cieszą się dużym poważaniem wśród tej hołoty.
- Dobrze, ale po wyborach.
- Po wyborach może być za późno, panie starosto. Moi ludzie wietrzą coś niedobrego, aż ostatnio boją się chodzić do Kamionki. Sądzę, że tam przygotowuje się demonstrację.
- Bzdury – powiedział Balonik.

Komendant Dziak wyszedł z gabinetu starosty z postanowieniem napisania raportu do Lwowa. Już od dawna nosił się z zamiarem złożenia skargi na starostę, że ten, nie zdając sobie sprawy, jak niebezpieczni są zorganizowani robotnicy, paraliżuje pracę policji. Dziak



obawiał się, że jeżeli nie napisze do centrali, to napisze za niego kto inny i wówczas wyjdzie, że on, odznaczony w wojnie z bolszewikami i prawie śmiertelnie zraniony przez komunistów, pozwala im się swobodnie organizować.

Tymczasem Balonik, bardziej dla uspokojenia sumienia aniżeli wiary w zorganizowaną w Natalinie partię komunistyczną, kazał Podgóreckiemu napisać coś na komunistów. Adam Janusz Podgórecki w ciągu nocy napisał „Mały katechizm komunisty” i rano, z podkrążonymi oczami i z pomiętym kołnierzykiem, wszedł do gabinetu starosty.

– Panie starosto, napisałem na komunistów wiersz o ogromnym wyrazie artystycznym i jeszcze większej wymowie politycznej.

– Przeczytaj pan.

– Bardzo chętnie – Podgórecki odszedł kilka kroków do tyłu i zaczął czytać.

Wiersz podobał się Balonikowi.

– Niech pan to zanieś do drukarni i każe wydrukować w tysiącu egzemplarzach.

– A honorarium? – zapytał Podgórecki.

– Dostanie pan.

– Ale pieniądze chciałbym teraz, nie po wyborach – zastrzegł Podgórecki.

– Prawdziwy artysta nie pyta o pieniądze. Lecz dobrze, dobrze, dostanie pan razem z pensją.

Balonik pomyślał, że „Mały katechizm komunisty” musi zwyciężyć z ulotkami, które w sposób ordynarny, bez rymu, domagały się ziemi dla bezrolnych chłopów, pracy dla robotników i sojuszu z Krajem Rad.

Nazajutrz „Mały katechizm komunisty”, wydrukowany na błyszczącym kredowym papierze, został rozlepiony w mieście. Ale po dwóch dniach komendant policji doniósł, że na wszystkich ulotkach skreślone jest słowo „komunista” i dopisane „Balonista”.

– Odkryć sprawcę i aresztować! – w tym wypadku starosta był bezwzględny.

Okazało się, że ulotki napisane przez Podgóreckiego jednak miały swoją wagę. Gdy mówcy po raz drugi wyruszyli do Kamionki, prawie każdy mieszkaniec tej dzielnicy brał kwit na materiał budowlany z kamieniołomów, aż kwitów zabrakło.

Tylko Dziakowi nie spodobała się nagła odmiana nastrojów mieszkańców Kamionki, ale Balonik machnął ręką na obawy komendanta policji i z kolei zajął się Żydami.

Zaprosił do ratusza rabina i kilkunastu najbogatszych Żydów w Natalinie, pomiędzy nimi Landbauma i Jampallera, którzy za starostwa Balonika dorobili się trzech szynków, i oświadczył im wprost, że jeśli gmina nie będzie głosować na niego, to odbierze koncesje na prowadzenie szynków i sklepów.

W dniu wyborów Balonik obudził się zmęczony, ale w pogodnym nastroju. Chwilę patrzył z okna sypialni na rynek, gdzie panowało mniejsze niż codziennie ożywienie, i na widoczny w oddali Natalinek, w którym od lat leżał sparaliżowany Feliks, i cicho, żeby nie obudzić żony, przeszedł do gabinetu. Tam zjadł śniadanie i czekając na pierwsze wyniki wyborów, które mieli dostarczyć komisarze, zabrał się do poprawiania mowy, jaką zamierzał wygłosić na posiedzeniu Sejmu. Właśnie pisał o konieczności zwiększenia uprawnień starostów, przede wszystkim gdy dotyczyły pierwszeństwa wykupu ziemi w najbliższym sąsiedztwie miast, gdy postyszał hałas – jakby ktoś pędził duże stado krów przez rynek. Podchodząc do okna pomyślał, że może już wiadomo, iż wygrał w wyborach, i natalinianie schodzą się, aby uczcić jego zwycięstwo. Wówczas rozległo się „Wyklęty powstań ludu ziemi, powstańcie, których dręczy głód” i Balonik zobaczył wchodzący na rynek tłum ludzi z czerwonymi chorągwiemi, a na czele tłumy Czechnowskiego i wspierającego się na szczudłach Józefa.

– Więc komuniści – wyszeptał z przerażeniem Balonik.

Balonik nie zdawał sobie sprawy, jak długo stoi przy oknie. Niby we śnie widział, jak Józef, upuszczając jedno szczudło, wali się na granitowe kostki, jak demonstranci kamieniami i granitowymi kostkami rzucają w policjantów i okna ratusza, słyszał brzęk szyb i strzały

karabinowe, krzyki rannych i wrzaskliwe komendy Dziaka wydawane ze schodów ratusza. Gdy Balonik uprzytomnił sobie, że komendant policji nie pytał o pozwolenie użycia broni, na rynku zapanowała cisza. Z kilkudziesięciu mężczyzn leżących na bruku paru usiłowało wstać. Jeden z nich, który trzymał drzewce czerwonej chorągwi, chciał ją wznieść, ale osłabiony puścił drzewce i płachta zakryła go całego. W tej samej chwili Balonikowi rynek zlał się z niebem.

Kiedy ocknął się z omdlenia, zobaczył nad sobą doktora Mogunckiego i Dziaka, który zaraz zameldował:

– Bunt uśmierzony, panie starosto. – Ośmiu buntowników zabitych, stu sześciu pod kluczem.

– Czego chcieli? – zapytał Balonik.

– To komuniści, panie starosto.

– Co z wyborami?

– Lokale wyborcze są obstawione policjantami – odrzekł komendant Dziak. – Ale wybory trzeba będzie przełożyć.

– Tak, trzeba przełożyć – cicho potwierdził Balonik wiedząc, że następne wybory odbędą się już bez niego.

## NOWI MIESZKAŃCY NATALINKA

Niedługo po Baloniku i Krystynie do Natalinka wprowadził się Łukasz, który mimo że został odwołany ze stanowiska dyrektora gimnazjum, postanowił nie wyjeżdżać i kontynuować poszukiwania rudy siarkowej.

Stanisław, choć nie brał udziału w manifestacji, został aresztowany pod zarzutem przygotowywania demonstracji antypaństwowej. Przesiedział trzy miesiące we więzieniu śledczym. Po wyjściu za kaucją wpłaconą przez Zofię, zjawił się w domu z dwudziestoletnią Jadwigą. To moja żona – przedstawił Jadwigę matce – pochodzi z Kamionki i ma tyle swojego, co na grzbiecie. Po chwili dodał, że jeśli się to matce nie podoba, to on zamieszka w Natalinie, w kamienicy Józefa. Zofia obawiała się, że gdy Stanisław wyprowadzi się z Natalinka, to jeszcze nim dojdzie do procesu, znowu zwiąże się z robotnikami z Kamionki i skończy jak Józef, zabity i nawet nie wiadomo, gdzie pochowany, więc powiedziała, że nie ma nic przeciwko temu, aby z żoną mieszkał w Natalinku. Jadwiga, wysoka, o białej cerze, spodobała się Zofii i gdyby tylko nie pochodziła z tej przeklętej dzielnicy, a ojciec jej był co najmniej urzędnikiem, byłaby gotowa pokochać ją jak własną córkę.

Zofia ubolewała nad upadkiem rodziny. Po wyjściu za mąż za Feliksa, który miał nazwisko głośniejsze niż niejeden hrabia, snuła wielkie plany na przyszłość. Jej dzieci miały wejść w możne rody, rządzić krajem i mieszkać w pałacach. Tymczasem przyszło wydać Krystynę za urzędnika bez nazwiska i majątku, a tylko o wielkiej ambicji. Myślała, że rozumie porządek nowych czasów, jakie nastąpiły wraz z niepodległością Polski. Sądziła, że nazwisko i majątek zastąpi urzędniczy tytuł i co miesiąc wypłacana pensja ze skarbu państwa. Kiedy jednak Balonik z dnia na dzień przestał być starostą – stał się nikim. Wtedy dopiero Zofia przyznała rację Feliksowi: nie powinna pozwolić córce na małżeństwo z Balonikiem. Po tym, co stało się jeszcze z Józefem i Stanisławem, i Zofia zaczęła uważać miasta za siedliska zła i zepsucia, toteż niełatwo było się jej pogodzić z tym, że z Kamionki, tego

miejsca, gdzie sługom piekła najłatwiej przychodziło zdobywać dusze, przybyła do Natalinka kobieta, i to od razu jako żona Stanisława.

Po przyjeździe Stanisława Zofia poszła do pokoju, w którym leżał sparaliżowany Feliks, i opowiedziała, co się ostatnio przydarzyło: że Krystyna i Balonik zamieszkali w Natalinku, że Łukasz już nie jest dyrektorem gimnazjum i także u nich mieszka, że Józef zginął od kul policjantów, a Stanisław pojął za żonę miastową dziewczynę. Głośne mówienie do męża uspokajało Zofię. Już dawno pogodziła się z chorobą Feliksa i przestała spraszać do Natalinka lekarzy i znachorów.

Po oberwaniu chmury, kiedy Feliksa ogarnęła niemoc we wszystkich członkach, nie było tygodnia, żeby ktoś nie badał Feliksa. Znachor z Bobowej poradził Zofii serię mocnych przestrahów, takich, jak się wyraził, które mogłyby mocnego i zdrowego chłopca przyprawić o pomieszenie z poplątaniem.

Zofia wzięła sobie do serca zalecenia znachora i przez kilka tygodni usiłowała straszyc męża. W nocy owijała się w białe prześcieradła i wchodziła do pokoju, w którym leżał Feliks. O różnych porach dnia i nocy krzyczała, że dom się pali, że bandyci napadli na dwór albo że ludzie z miasta budują się na ziemi Natalinka. Do Feliksa nic nie docierało. Leżał bez ruchu, ze spojrzeniem utkwionym w sufit. Gdyby nie to, że w czasie karmienia połykał jedzenie, nie wiadomo byłoby, czy żyje.

Kuracja przeprowadzana przez Zofię nie pomagała Feliksowi, za to w domu wszystko stało na głowie. Domownicy nigdy nie mając pewności, czy Zofia wzniesła prawdziwy, czy fałszywy alarm, w białej prześcieradła wybiegali przed dom albo żegnali się i kropili dokoła siebie wodą święconą, jeśli w porę nie odróżnili Zofii owiniętej w białe prześcieradło od prawdziwego ducha. Wszyscy, oprócz Lucjana, chodzili nieprzytomni z niewyspania. Bysała kładł się do łóżka z siekierą pod poduszką. Marta kilkakrotnie uciekała z Natalinka, ale Bysała sprowadzał ją i uspokajał mówiąc, że to się niedługo skończy, gdyż albo Feliks wyzdrowieje, albo on Zofię zatłucze siekierą. Nie doszło ani do jednego, ani do drugiego, gdyż którejś nocy Kuba pochwycił Zofię i wsadził ją do łóżka prosząc, żeby zdrowie Feliksa zostawiła w rękach Boga, jeśli nie chce, aby Natalinek przemienił się w dom wariatów.

Zofia zajęła się wnukami, których przybywało każdego roku. Z konieczności była im jednocześnie babką, dziadkiem i ojcem, gdyż Stanisław został po procesie we więzieniu, a Balonik, nie mogąc się pogodzić z porażką, dostał rozstroju nerwowego i kiedy nie miał akurat ataku hysterii, przygotowywał się do założenia nowej partii, która miała zrzeszać wyrzuconych z pracy urzędników, rządów i oficjalistów.

Zofia wychowywała dzieci surowo, tak jak tego dawniej chciał Feliks. Pomyślała, że skoro jej marzenia nie ziściły się co do dzieci, to musi spowodować, żeby wnuki same od siebie dążyły do wielkości i wywyższenia nazwiska Walichradów. Na portretach zawieszonych z powrotem w salonie uczyła wnuków historii rodziny.

Gdy dzieci, wraz z dziećmi Bysałów, było siedmioro, czterech chłopców i trzy dziewczynki, Zofia kazała łóżko z Feliksem przenieść do małego pokoju na piętrze, gdzie wisiał zakurzony obraz z trzema królami podążającymi do Betlejem, a dotychczasowy pokój Feliksa przeznaczyła na sypialnię dla wnuków.

Mroźnego lutowego dnia, gdy w studni trzeba było lód wyrąbywać, Zofii przybył jeszcze jeden wnuk. Przywiozła go kobieta w futrze z soboli, która nim Bysałowa zdążyła zawołać Zofię, wsiadła do sań i odjechała. Na ganku pozostał chłopak z czarnymi włosami i czarnymi oczami.

– Rany boskie, podrzutek! – krzyknęła Zofia, patrząc na chłopca i oddalające się drogą sanie. – Czyj ty jesteś? – zapytała po chwili chłopca.

– Przyjechałem do dziadka Feliksa – odrzekł chłopiec. – Mam list do niego – wyjął list z kieszeni palta.

– Jaki on tam dla ciebie dziadek – rozzłościła się Zofia, ale w rysach chłopca dostrzegła

coś bardzo znajomego. – Daj list.

– Mogę dać tylko dziadkowi – stanowczo odpowiedział chłopiec i schował list za siebie.

– Daj, smarkaczu – Zofia wyszarpnęła list z ręki chłopca i otworzywszy przeczytała: „Nazywam się Józef Walichrad i siódmego kwietnia skończę siedem lat. Moja matka umarła w Warszawie. Ojcem jest Józef Walichrad”.

Wówczas Zofia jeszcze raz przyjrzała się chłopcu i nie miała wątpliwości, że jest synem zabitego podczas demonstracji Józefa. Był jakby jego miniaturą. Kuba także od razu rozpoznał w nim dziecko Józefa, a to, że młody Józef już pierwszego dnia pobił starszego o trzy lata Jeremiasza, syna Balonika, i natychmiast zainteresował się szablami i strzelbami, było tylko potwierdzeniem jego pochodzenia. Kuba, widząc zachowanie młodego Józefa, zdziwił się po raz nie wiadomo który, jak wszystko na świecie się powtarza. Józef po kilku dniach czuł się w Natalinku tak, jakby mieszkał w nim od urodzenia. Jako pierwszy z dzieci odważył się podejść blisko Feliksa i ukłuć go w piętę, żeby się upewnić, że dziadek jest naprawdę zaczarowany w trupa.

## STANISŁAW

Komendant policji Dziak, aby usprawiedliwić strzelanie do manifestujących robotników, wystarał się o dowody, z których wynikało, że w Natalinie istniała organizacja komunistyczna, a jednym z jej przywódców, wraz z Czechnowskim i Józefem Walichradem, był Stanisław.

Stanisław został skazany na cztery lata więzienia. W Wiśniczu, czwartym z kolei więzieniu, do którego był przewieziony, podczas godzinnego spaceru na dziedzińcu zobaczył Czechnowskiego. Czechnowski szedł kilku więźniów przed nim i ledwie powłócząc nogami nie nadązał za spacerującymi. Stanisław myślał, że Czechnowski nie dostrzegł go, ale wieczorem więzień roznoszący kolację podrzucił gryps od Czechnowskiego. „Józef zginął w obronie robotników i chłopów. To winno być testamentem dla ciebie” – przeczytał Stanisław na małej karteczce i doświadczył uczucia, że to, co dzieje się poza nim, popycha go na drogę walki, której wcale nie pragnie.

Czuł się niesłusznie skazany, czuł się kimś, kto został przypadkowo zaplątany w sprawę demonstracji w Natalinie, toteż ze zdumieniem dowiadywał się od współwięźniów, że tysiące robotników w całej Polsce zbierają podpisy pod proklamacją domagającą się jego uwolnienia, a także iż w gazetach komunistycznej Rosji piszą o nim i o Czechnowskim jako o męczennikach cierpiących za sprawę robotniczo-chłopską. Tymczasem Stanisław wcale nie poczuwał się do wspólnoty z robotnikami i chłopami, nawet mierzyły go żądania ziemi dla każdego chłopca, jakby tej ziemi miało wystarczyć dla każdego z nich. Chodził do Kamionki wyłącznie po to, żeby widywać się z Jadwigą.

Po raz pierwszy zobaczył ją na zebraniu w starej szopie, którą redaktor Czechnowski przerobił na Klub Robotnika. Na zebranie przyszedł z Józefem, który od dawna zadawał się z robociarzami z Kamionki. Później Stanisław chodził sam do Kamionki, z ciekawości, gdyż tylko tam mógł zobaczyć polowanie na szczury, bójkę na noże czy piętnastoletnie prostytutki, które sprzedawały się za bochenek chleba.

W to, co mówił Czechnowski w Klubie Robotnika, Stanisław nie wierzył. Czechnowski wmawiał mieszkańcom Kamionki, że i oni mogą mieszkać w dużych jasnych domach i

codziennie jeść biały chleb z kiełbasą, tylko trzeba, aby zaczęli domagać się o swoje prawa głośno i w zwartej masie. Stanisław dziwił się, po co Czechnowski to mówi, gdyż tak jak on nie może być Żydem, chociażby najbardziej tego pragnął, tak mieszkańcy Kamionki nie mogą mieszkać w dużych domach. Wydawało mu się normalne, że robotnicy są z urodzenia przypisani do Kamionki, jak on do Natalinka, i nie wyobrażał sobie ani ich w Natalinku, ani siebie w Kamionce. Podobne rzeczy powtarzał Józef, co jeszcze bardziej dziwiło Stanisława. Kiedy w czasie procesu prokurator pokazał pisane ręką Józefa rezolucje, domagające się ośmiogodzinnego dnia pracy dla robotników i ziemi bez wykupu dla chłopów, Stanisław w milczeniu potwierdził, że Józef posunął się za daleko.

Gdy zobaczył Jadwigę, jak wchodzi do brudnej szopy, pomyślał, że i ona jest nie stąd. Jej twarz, okolona złocistymi warkoczami, w porównaniu z ogorzałymi twarzami mężczyzn – jaśniała. Miała czystą śnieżnobiałą bluzkę z cienkiego lnu, aż Stanisław z żalem pomyślał, że zażółci ją dym nikotynowy, który kłębamii unosił się nad głowami mężczyzn. Po wejściu Jadwigi, z jednej z pierwszych ławek wstał pijany mężczyzna w czapce z oderwanym daszkiem i powiedział, żeby redaktor przestał pieprzyć od rzeczy, tylko postarał się o karabiny, a oni już sami zrobią porządek z panami. Bogacze mają wojsko i policjantów, odrzekł Czechnowski, więc same karabiny to jeszcze za mało. Pijak znowu wstał, gotując się przemówić, gdy podeszła do niego ta dziewczyna o złocistych włosach i poprosiła drżącym głosem, żeby poszedł z nią do domu. Pijak ze złością uderzył dziewczynę w kark. Stanisław zerwał się z ławki, ale siedzący obok Józef zagroził mu drogę szczudłem. Wtedy miał żal do Józefa, że nie pozwolił i sam nie wystąpił w obronie dziewczyny. Dopiero wiele tygodni później zrozumiał, że Józef nie chciał bronić tej jednej młodej kobiety, gdyż wówczas musiałby bronić wszystkich kobiet w Kamionce przed pijanymi ojcami, braćmi, mężami.

Od tego dnia Stanisław chodził do Kamionki, żeby poznać Jadwigę. Kiedy dowiedział się, że Iwanicki z gimnazjum jest kuzynem Jadwigi, postarał się o zwolnienie go z płacenia czesnego. W zamian Iwanicki poznał go ze swoją kuzynką.

W manifestacji w dniu wyborów Stanisław nie wziął udziału, gdyż wolał pozostać z Jadwigą w pustym Klubie Robotnika. Siedzieli niecałą godzinę, gdy z daleka postyszeli strzały. Po kilku minutach ktoś gwałtownie otworzył drzwi szopy i krzyknął: „Walichrad zabity!”

Następny raz Stanisław zobaczył się z Jadwigą za pół roku, kiedy za kaucją został wypuszczony z aresztu śledczego. Z więzienia przyjechał prosto do niej i razem poszli do kościoła. Świadcami na ślubie byli organista i Iwanicki.

We więzieniu, z bezsilnej złości na policjantów, sąd, Czechnowskiego, na wszystkich, którzy widzieli w nim komunistę, Stanisław przyjął narzuconą mu rolę jednego z przywódców ruchu robotniczego w powiecie natalińskim. Z początku nawet pochlebiali mu, gdy współwięźniowie wyręczali go w wynoszeniu kibla z celi, a przy podziale paczek z jedzeniem jego obdarowywali największą cebulą. Poza tym rozmawiali z nim tak, jakby on o wszystkim wiedział najlepiej. A Stanisław dopiero z rozmów we więzieniu dowiedział się, że takie dzielnice jak Kamionka są w każdym mieście, że nędza i brud nie są czymś wyjątkowym. Wówczas uzmysłowił sobie, że zajmuje bardzo dogodne miejsce na ziemi i nie może przyłączyć się do robotników, gdyż musiałby walczyć przeciwko sobie, swojej rodzinie, swoim dzieciom. Kiedy jeszcze powiedziano mu, że komunistyczna partia dąży do zorganizowania w Polsce takiej samej rewolucji jak w Rosji – przeraził się. Rewolucji bolszewickiej, która odebrała ziemię ludziom takim jak on i jego rodzina, i skazała ich na poniżenie w biedzie albo ucieczkę za granicę, nie uważał za sprawiedliwą.

Gdy skończył się wyrok, Stanisław nie wiedział, co robić.

Im bliżej było do dnia wyjścia na wolność, tym jaśniejsze stawało się dla niego, że pragnie spokojnie żyć w Natalinku, doglądać gospodarstwa, jeździć na polowania i nigdy więcej nie mieć do czynienia z policją i sądami.

Na miesiąc przed wyjściem z więzienia Stanisław usiłował wyzwolić się spod narzuconej mu roli przywódcy robotników. Przestał odzywać się do współwięźniów, mając nadzieję, że zrozumieją, co oznacza jego milczenie. Wtedy jednak rozeszła się wieść po więzieniu, że Walichrad milczy, gdyż wietrzy prowokatora pośród towarzyszy.

Stanisław wróciwszy z więzienia przez dwa dni był wesoły. Ze swoim trzyletnim Arturem, którego zobaczył po raz pierwszy po przyjeździe do Natalinka, i z pozostałymi dziećmi bawił się w wojny i chowanego. Jak szaleni biegali po domu i ogrodzie. Ze starszymi chłopcami poszedł na polowanie na kuropatwy, z Łukaszem, który mieszkał w jednym z alkierzy, rozmawiał o przyszłej kopalni siarki.

Trzeciego dnia przyszedł do Natalinka wędrowny sprzedawca świętych obrazków. Stanisław siedział wtedy na werandzie. Słyszając, jak sprzedawca namawia Martę do kupienia obrazu świętego Franciszka z ptaszkami, podszedł do sprzedawcy i odciągnął go do ogrodu. Rozmawiali długo, aż Zofia dziwiła się, co wspólnego może mieć Stanisław ze sprzedawcą obrazków. Po rozstaniu się z nim Stanisław poszedł do pokoju i kazał sobie podać butelkę wina, potem drugą, trzecią. Przez kilka dni, ku rozpacz Łukasza, wypijał jabłecznik. Tymczasem Kuba powtarzał rozsierdzonym głosem, że powinien umrzeć, aby nie widzieć, jak życie się powtarza.

We wtorek, gdy minął tydzień od powrotu Stanisława z więzienia, do Natalinka przyjechał komendant Dziak z dwoma policjantami. Dziak wyjął przepaszającym tonem, że przychodzi wyłącznie dlatego, że wczoraj minął tydzień, w którym Stanisław powinien zgłosić się na posterunek, jako że wyrokiem sądu jeszcze przez rok pozostaje pod obserwacją policji, co oczywiście – tłumaczył grzecznie Dziak – jest tylko formalnością, ale on, stróż prawa i porządku, musi dopilnować przestrzegania i takich formalności.

– Wejdz pan – Zofia ustąpiła z drzwi Dziakowi. – A wy nie – policjantom zagroziła drogę.

– Zostańcie tutaj – powiedział do nich komendant. – Co prawda jest to wbrew przepisom, ale dla pani...

– Do góry – przerwała mu Zofia, pokazując na schody. Poszła pierwsza i otworzyła drzwi pokoju Stanisława i Jadwigi. Stanisław pijany leżał na łóżku. Pościel wokół niego zabrudzona była rzygowinami, Jadwiga, siedząc na krześle przy otwartym oknie, nie poruszyła się na wejście Dziaka i teściowej. Wydawała się całkiem zrezygnowana. Zofii zrobiło się jej żal.

Przez cztery lata nieobecności Stanisława Jadwiga czuła się obco w Natalinku, tym bardziej że z początku Zofia często podkreślała, że Jadwiga przyszła do nich z całkiem innego świata. Z czasem uczucie obcości tak ośwładnęło Jadwigę, że gdy Zofia chciała już przyjaźni z synową, Jadwiga, nie wierząc w jej dobre zamysły, odpowiadała wrogim milczeniem. Nie mogły się porozumieć.

Tym razem Zofia, zostawiając Dziaka w drzwiach, podeszła do Jadwigi i bez słowa przytuliła jej głowę do swojego brzucha. Jednocześnie krzyknęła do komendanta policji:

– On był niewinny!

Komendant policji, patrząc na leżącego bez czucia Stanisława, rzekł zadowolonym głosem:

– Bardzo dobrze.

– Ty bezbożniku – z nienawiścią powiedziała Zofia.

– Proszę powiedzieć panu Walichradowi, że usprawiedliwiam jego wczorajsze niestawienie się na posterunek – Dziak uśmiechnął się. – Upił się, zrozumiała rzecz. Ale nie mógł to zacząć pić kilka lat wcześniej? Wtedy na pewno nie doszłoby do nieszczęścia. Do widzenia paniom – komendant policji wyszedł z pokoju.

Zofia, tuląc głowę Jadwigi, powiedziała cicho:

– Wybacz mi.

– To wszystko przeze mnie – rzekła Jadwiga. – Stanisław do mnie przychodził do

Kamionki.

– Przekłete miasto – szepnęła Zofia, po raz kolejny przyznając rację mężowi. – Ale dlaczego on teraz pije?

Jadwiga nie odpowiedziała. Kilka godzin później wyszła z domu i nie wróciła na noc.

Stanisław, budząc się rano, zobaczył siedzącego przy łóżku Kubę.

– Czego chcesz?

– Masz zamiar upijać się do końca życia? – obojętnie zapytał Kuba.

– Co ci do tego. Zresztą chciałbym. Gdzie Jadwiga? Niech mi zaraz przyniesie butelkę – Stanisław mówił ze zniecierpliwieniem. Po chwili dodał zbolalym głosem: – Kubo, ja wiem, że to jest okropne i w gruncie rzeczy nie ma sensu, ale muszę natychmiast wypić. Zawołaj Jadwigę!

– Nie ma jej.

– Poszukaj.

– Ona odeszła – powiedział Kuba.

– Jak to: odeszła?

– Wzięła kilka swoich rzeczy i poszła. Wcześniej powiedziała mi, że rozumie, iż nie możesz siebie i całej swojej rodziny poświęcić.

– Co ty gadasz?

– Tak powiedziała, i jeszcze, że chce ci pomóc.

– Więc ona wiedziała – wyszeptał Stanisław.

Stanisław wracał z więzienia żywiąc skrytą nadzieję, że z rozmów i planów omawianych we więzieniu nic nie wyniknie, że komuniści zostawią go w spokoju, ale zjawił się wędrowny sprzedawca obrazków z umówionym hasłem. I Stanisław zaczął pić, żeby odwlec moment podjęcia decyzji.

Po rozmowie z Kubą wyszedł na ganek. Świeciło ciepłe wrześnie słońce, nad Wisłą krążyły bociany gotujące się do odlotu, i Stanisławowi ucieczka Jadwigi wydała się czynem tak niedorzecznym, jak ucieczka z domu dziesięcioletniego chłopaka, który wcześniej czy później musi powrócić. Nawet przez chwilę pomyślał, że Jadwiga siedzi w zaroślach na skraju lasu i obserwuje go. Po chwili kazał zaprząć konia do dwukółki i pojechał do Kamionki.

Gdy tylko zobaczył blaszano-drewniane domy, w których szpary zalepiane były gliną i słomą, i na krętych uliczkach ujrzał grających w klipę chłopców, dożywotnio przypisanych tej ulicy, tyle że później będą się na nią zwałac pijani, poczuł się tak, jakby to on sam więził tych chłopców w Kamionce.

Wracając z Jadwigą do Natalinka, okrężną drogą, obok Białego Lasu, powiedział cicho, że takie dzielnice jak Kamionka powinny zniknąć z powierzchni ziemi, że nie miałby sumienia spokojnie żyć wiedząc, jak żyją ludzie w Kamionce.

## CZEŚĆ III

### WOJNA

Wybuch wojny polsko-niemieckiej we wrześniu tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku zastał Stanisława we więzieniu, w którym znowu został osadzony, tym razem rzeczywiście jako jeden z przywódców ruchu robotniczego. Znajdował się wtedy w Opatowcu – w celi z trzema członkami zdelegalizowanego obozu radykalnego, którzy ratunek dla Polski widzieli w wytopieniu komunistów, Żydów i masonów, z dwoma Ukraińcami z konspiracyjnej organizacji wojskowej, która stawiała sobie za cel wybicie wszystkich Polaków mieszkających w pobliżu Lwowa, i z Żydem ortodoksa, który namawiał Izraelitów, aby wykupili od Polaków wszystkie ziemie nad Wisłą. Ale w celi więziennej wszyscy oni zjednoczyli się we wspólnym froncie przeciwko Milutkiemu, strażnikowi z krótko przyszytym wąsikiem, który za najmniejsze uchybienie dyscyplinie więziennej katował drewnianą pałą. Walichrad, radykałowie, Ukraińcy, Żyd w jednym byli zgodni: wszelką działalność rewolucyjną, wywrotową czy jakąkolwiek inną należy rozpocząć od utopienia Milutkiego w gównie.

Więźniowie dopiero trzeciego dnia wojny dowiedzieli się o jej wybuchu. Tego dnia nie dostali śniadania i od rana nie pokazał się żaden strażnik. Nie słychać było przekleństw i wrzasków Milutkiego. W południe, nie mogąc doczekać się jedzenia, więźniowie zaczęli walić pięściami w drzwi, ale z korytarzy odpowiadały tylko echa uderzeń. Wówczas ktoś rozpaczliwie zawołał, że więzienie podpalają. Więźniów ogarnął strach. W kilku celach wyważyli drzwi. Prawie jednocześnie mieszkańcy Opatowca otworzyli bramę opuszczonego przez strażników więzienia i uwolnili wszystkich więźniów, powiadamiając przy tym o wojnie z Niemcami.

Pierwsi, obawiając się powrotu strażników, wybiegli za bramę więźniowie kryminalni. Ukraińcy z celi Walichrada rozeszli się w różne zakamarki więzienia, żeby poszukać Milutkiego, któremu poprzysięgli śmierć. Stanisław przez dwie godziny naradzał się z grupą komunistów. Mówił, że teraz powinni zaprzestać działalności partyjnej, aby nie dezorganizować obrony kraju. Bernacki z Warszawy, podając za przykład rewolucję rosyjską, która wybuchła w czasie wojny, twierdził wręcz przeciwnie, że właśnie trzeba wykorzystać zamieszanie w kraju i przygotować rewolucję. Kilku innych namawiało do ucieczki do Rosji, gdyż byli zdania, że czy Polska wygra wojnę, czy przegra, w obu wypadkach czeka ich z powrotem więzienie. W końcu postanowili, że każdy decyduje na własną rękę. Stanisław powiedział, że wraca do domu i wstępuje do wojska.

Ale jego droga do odległego o trzysta kilometrów Natalinka trwała ponad miesiąc. Z początku szedł pod prąd uciekającej masy ludzi, furmanek, dorożek, aut i otepiałyh ze zmęczenia żołnierzy polskich. Patrole wojskowe zatrzymywały go co kilka kilometrów. Że szedł w przeciwnym kierunku niż wszyscy i nie miał przy sobie żadnych dokumentów, dwa



razy posądzono go, że jest szpiegiem niemieckim. Za pierwszym razem już miał lufę karabinu przystawioną do piersi. Wówczas uratował go nalot niemieckich bombowców. Chorąży, który zatrzymał Stanisława, skrył się do przydrożnego rowu, gdzie za chwilę upadła bomba. Drugi raz, oskarżony o kierowanie nalotem junkersów, gdyż tuż przed pojawieniem się samolotów wyjął chusteczkę z kieszeni, został wybawiony przed samosądem cywilów przez kapitana artylerii. Powiedział on, że zabiera szpiega do sztabu na przesłuchanie. Kilka kilometrów dalej puścił Walichrada radząc mu, żeby dopóki linia frontu się nie ustali, szedł w tę samą stronę co uciekinierzy.

Stanisław posłuchał kapitana. Szedł z uciekinierami to na wschód, to na południe lub północ, w zależności od informacji, gdzie znajdowali się Niemcy. Zdawało się, że są wszędzie. Ich samoloty z czarnymi krzyżami na skrzydłach nadlatywały ze wszystkich stron, dniami i nocą, niezauważenie jak karabinowe pociski. Ale samych Niemców Walichrad nie widział. Z rozmów z żołnierzami dowiadywał się, że często i oni, przegrupowywani bez końca, nie widzieli hitlerowców.

Piechotę, na furmankach, wojskowych ciężarówkach, zatoczył koło: Zamość, Chełm, Włodzimierz, Bełżec – i w tym ostatnim mieście, niespodziewanie, znalazł się oko w oko z żołnierzami, którzy mieli czerwone gwiazdy na czapkach. Czerwonoarmiejcy stali wzdłuż drogi, z karabinami na plecach, i czujnie, ale spokojnie, obserwowali przechodzących Polaków. Stanisław, zaskoczony, przyglądał się jednemu z żołnierzy rosyjskich.

– Ty nie rozmyślaj – odezwał się żołnierz. – Ty ubiegaj bystro ostsuda. Tu budiet Rossija.

– Gdzie? – odruchowo zapytał Walichrad.

– Wsiudu, wsia ziemia za mnoj – Rosjanin pokazał za siebie i dodał obojętnie: – Wy, Polaki, uże wojnu proigrali.

Stanisław był oszołomiony. Ze zdumieniem patrzył na Polaków, którzy całymi rodzinami, bez słowa, z nieruchomymi twarzami przechodzą za kordon żołnierzy rosyjskich. Także zastanawiał się, co teraz myślą ci, którzy ratunku dla ludzi pracy i samych siebie szukali u Stalina.

Stanisław, czując się oszukany, wszedł na drogę prowadzącą w kierunku Chełma. W uszach brzmiały mu słowa żołnierza rosyjskiego: „Wy, Polaki, uże wojnu proigrali”. Tłumy uciekinierów i maszerujące nie wiadomo dokąd oddziały wojsk polskich, którym nagle zabrakło miejsca do odwrotu, potwierdzały słowa Rosjanina.

Walichrad dotarł do Natalinka na początku października. Wszędzie byli już Niemcy. Idąc od wschodniej granicy, która nieoczekiwanie przesunęła się trzysta kilometrów w głąb Polski, widział zbombardowane miasta i spalone pojedyncze domy. Bał się, żeby podobny los nie spotkał Natalinka. Dwór stał wyzywająco samotnie i chwilami Stanisławowi wydawało się niemożliwe, aby ocalał Natalinek, skoro zostało zbombardowanych i spalonych tysiące mniej okazałych i widocznych domów. Omijał miasta, w których Niemcy wprowadzili godzinę policyjną i od zmroku do świtu, do każdego, kto nie był w hitlerowskim mundurze, strzelali na ulicach bez ostrzeżenia. Walichrad niedaleko Natalinka zobaczył mistrzów w strzelaniu do ludzi. Byli nimi żołnierze w czarnych mundurach, ze skrzyżowanymi piszczelami na czapkach. Z odległości sześciuset metrów czołgowym pociskiem trafili w dziesięcioletniego chłopca, który szedł skrajem lasu. Stanisław leżał wtedy ukryty w kopie siana, tak blisko czołgu, że czuł ciepło bijące od pancerza.

Aby ominąć Natalin, w którym mogło być pełno Niemców, musiał przejść przez Kozią Górę. Wspinał się na nią jak ścigany, mdlejąc ze zmęczenia. Uspokoił się, gdy z Koziej Góry zobaczył nienaruszony dom rodzinny. Z komina ulatywał jasny dym.

Na polu, za Kamionką, leżał wywrócony do góry kołami samochód pancerny. Dzika grusza, która dawniej rosła obok drogi prowadzącej z Natalinka do Natalina, znajdowała się pośrodku szerokiej, rozjeżdżonej gąsienicami czołgów drogi. Dalej, na wieży ratusza w Natalinie, powiewała flaga ze swastyką.

Gdy zrobiło się ciemno, Stanisław przedostał się przez bagnistą wyspę i w ubraniu przepłynął Kamionkę. Na brzeg wyszedł pod figurą świętego Antoniego. Tam, osłonięty krzakami dzikiej róży, pod którą ścieliła się warstwa opadłych płatków, wylewał wodę z butów, gdy posłyszał kroki na ściernisku i szept:

– Tutaj.

Stanisław schował się w krzak.

– Trzeba kopać głęboko – znowu dobiegł go szept.

Po chwili Stanisław zobaczył dwie sylwetki mężczyzn, a pomiędzy nimi skrzynię, na której mimo ukrytego za chmurami księżycy błyszcząły główki stalowych gwoździ. Rozpoznał mężczyzn: Kuba i Łukasz.

– Kuba! – szepnął Stanisław, wychodząc z krzaków.

Kuba, prostując się gwałtownie, wysunął łopatę do przodu niby karabin z bagnetem.

– To ja, Stanisław.

– Więc żyjesz – stwierdził Kuba i zaraz zabrał się do kopania w ziemi.

– Aleś mnie nastraszył – powiedział Łukasz drżącym głosem.

– Stój! – Stanisław złapał Kubę za rękę i zapytał ze zdziwieniem – w tym miejscu chcecie srebro chować?

– To nie srebra.

– Obojętnie co. Wszyscy zakopują pod krzyżami albo figurami świętych. Tylko patrzeć, jak tu Żydzi zaczną znosić złoto, jeśli jeszcze tego nie zrobili.

– Rzeczywiście – przyznał Łukasz. – Nie pomyśleliśmy o tym. Więc gdzie?

– Najlepiej na pastwisku. Chodźcie – Stanisław poprowadził Kubę i Łukasza na środek pastwiska. – Tutaj będzie łatwo zapamiętać – pokazał na dwór, którego czarna sylwetka rysowała się na tle jaśniejszej strony nieba. – Na przedłużeniu komina znajduje się czubek orzecha, a pod kątem prostym od tego miejsca figura ze świętym Antonim.

– Dobrze – zgodził się Łukasz.

Gdy Kuba kopał dół, Łukasz zdradził Stanisławowi, że skrzynia zawiera mapy z udokumentowanymi złożami rud siarkowych.

Po przykryciu darnią miejsca, w którym zakopana została skrzynia, poszli do Natalinka. W salonie siedziała cała rodzina z wyjątkiem Feliksa. Zofia robiła na drutach. Stanisław widząc to uśmiechnął się. Matka, odkąd dodatkowo przyjęła na siebie rolę dziadka i ojca wszystkich dzieci w Natalinku, żyła w nieustannym ruchu, nigdy nie siedziała z robótką w ręku. Stanisław ucałował matkę i podszedł do Jadwigi i dwóch synów: Artura i Tomka, oraz do leżącej w kołysce dwuletniej Zosi, która jak i Artur urodziła się, kiedy Stanisław był w więzieniu. Ucieszyło go, że mała Zosia podobna jest do matki.

Po kilkunastu minutach radości z powrotu Stanisława, mieszkańcy Natalinka umilkli zawstydzeni, że ich usta śmieją się, gdy nad polską ziemią panuje złowieszczy Hakenkreuz. Zofia znowu wzięła robótkę. Zrobiło się cicho. Tylko Balonik, który siedział pod zegarem, szeptał coś do siebie. Po chwili Zofia cisnęła robótkę o podłogę i powiedziała ze złością:

– Przecież nic będziemy tak siedzieć dzień po dniu. Nim skończy się wojna, musimy...

– Wojna dopiero się zaczęła – wtrącił piętnastoletni Józef. – Teraz Anglicy i Francuzi...

– Anglicy i Francuzi zdradzili nas, a Rosjanie zaszli od tyłu – Stanisław przerwał Józefowi i znowu w salonie zrobiło się cicho.

Następnego dnia, wcześniej rano, Stanisław, Łukasz i Kuba siedzieli na werandzie i obserwowali niemieckich motocyklistów, którzy tam i z powrotem jeździli przez Natalinek. Hitlerowcy, przejeżdżając obok dworu, dla zabawy celowali w Walichradów z karabinu maszynowego i śmiali się rehotliwie.

– Feliks nie ścierpiałby tego – odezwał się Kuba.

Gdy motocykliści wreszcie odjechali, Stanisław opowiedział swoją drogę od więzienia w Opatowcu.

– A jak było u was? – zapytał na końcu.

Łukasz powiedział, że gdy on, Władysław, Wacek Bysała i osobno, jak się później okazało, Józef poszli do punktu zbornego, zostali odprawieni jako nie nadający się do wojska – że za starzy, że za młodzi lub bardziej potrzebni na miejscu,

Pierwszymi zabitymi w Natalinie były dwie kobiety, Zginęły od bomby, którą niemiecki dywersant zostawił w przechowalni bagażu na dworcu kolejowym, Po dwóch tygodniach wojny cofające się wojsko polskie usytuowało linię obrony na skarpie wiślanej, ale zaledwie okopali się i wycięli sosny, żeby zabezpieczyć pole ostrzału dla dwóch dział, do których, co widział Józef, mieli cztery pociski, wsiedli na konie i pojechali na wschód. Po południu tego samego dnia przyszło kilkunastu piechurów polskich, a zaraz za nimi Niemcy. Polacy zajęli stanowiska w okopach wykopanych przez poprzednich żołnierzy i zaczęli strzelać do hitlerowców. Po kilku minutach strzelaniny z miasta wyjechały dwa czołgi niemieckie. Tylko trzem żołnierzom polskim udało się skarpą zbiec do Wisły i popłynąć w dół.

Stanisław dowiedział się jeszcze, że Dziak wpisał się na Volksliste i gorliwie informował Niemców, którzy z Polaków mają broń lub radio.

– Wy dobrze ukryliście strzelby? – zapytał Stanisław.

– Zaraz po wywieszeniu ogłoszenia, że trzeba zdawać broń, zaniósłem na posterunek żandarmerii trzy strzelby, dwa sztucery, dwie szable i cztery noże myśliwskie – beznamiętnie wyliczył Kuba.

– Dlaczego to zrobiłeś? – Stanisław ze zdumieniem spojrział na niego. – Broń wcześniej czy później będzie potrzebna.

– Miałem czekać, aż Dziak sam przyjdzie? Wszyscy wiedzieli, że mamy strzelby.

– Ale ojciec... – Stanisław nie dokończył; chciał powiedzieć, iż ojciec nigdy Kubie nie wybaczy, że dobrowolnie oddał broń.

Gdy następnego wieczoru siedzieli w salonie i nie mogąc znieść ciszy jeden za drugim bezmyślnie powtarzali, że trzeba zorać pole, drewna narąbać na zimę, zrobić konfitury, odszukać rządę z Golejówka, który od wybuchu wojny nie pokazał się ani razu w Natalinku, rozległo się ciche, ale wyraźne pukanie do okna. Stanisław zgasił światło i otworzył okno. Wówczas z czerni nocy dobiegł nieznajomy męski głos:

– Powiedźcie dyrektorowi Walichradowi i Stanisławowi, że muszą natychmiast uciekać. Rano przyjdą po nich Niemcy.

– Kto wy jesteście? – zapytał Stanisław, wychylając się przez okno.

Nie otrzymał odpowiedzi. Zobaczył tylko plecy mężczyzny, który wchodził do ogrodu. Jednak bez wahania on i Łukasz zawierzyli głosowi z ciemności. Prędko zapakowali do walizek po kilka par skarpet i koszul, kalesony, ręcznik. Od Zofii, oprócz pieniędzy, dostali po pięć napoleondorów, które Zofia wyjęła ze skrytki w piwnicy. Po baronie Marcynie, który wysyłał swoje wyroby do wielu krajów świata, pozostało w skrytce wiele różnych monet i dużo takich, jakich już od dawna nie było w obiegu. Wartość luidorów z popiersiami królów francuskich, florenów z lilią na stemplu czy srebrnych guldenów Zofia oceniała na wagę kruszcu.

Łukasz i Stanisław wyszli z domu przed północą. Do rana, rozgrzewając się butelką jabłeczniaka, którą w ostatniej chwili przyniósł Kuba, czekali w zaroślach na skraju starego cmentarza. Stamtąd dobrze było widać Natalinek. O siódmej godzinie sprawdziły się słowa nieznajomego mężczyzny. Pod dwór zajechała ciężarówka kryta zielonym brezentem, z której wyskoczyło kilkunastu żołnierzy Wehrmachtu. Z gotowymi do strzału pistoletami maszynowymi otoczyli dom, a na ganek wszedł oficer z dwoma żołnierzami i Dziakiem w niemieckim mundurze. Stanisław, rozpoznając Dziaka, przeklął z nienawiścią. Żołnierze kolbami karabinów wyważyli drzwi i weszli do domu. Długo nie wychodzili. Stanisław bał się, żeby kogoś z rodziny nie wzięli za zakładnika. – Wracajmy tam – powiedział Łukasz – w końcu nic złego nie zrobiliśmy Niemcom, może chcą się tylko czegoś dowiedzieć. – Po

chwili, odpowiadając na zdumione spojrzenie Stanisława, dodał: – Niemcy to naród o wielkiej kulturze, przecież nie będą strzelać do nas jak do psów. – Jak do psów, nie – cicho powiedział Stanisław, mając przed oczami czołgistów strzelających do chłopca.

Niemcy nikogo nie zabrali z Natalinka. Przeszukali dom, szopę na narzędzia rolnicze, powozownię i odjechali. Wtedy Stanisław zmienił plany. Postanowił nie odjeżdżać z Łukaszem do Krakowa, gdzie Łukasz miał przyjaciół wśród profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, tylko pozostać blisko rodziny. Ponadto zrodziła się w nim myśl o zabiciu Dziaka. Teraz, gdy Dziak zaprzedał się Niemcom, zrobił się bardziej niebezpieczny niż sami hitlerowcy. Jako były komendant policji wiedział wszystko o mieszkańcach Natalina i okolicy.

Stanisław odprowadził Łukasza do najbliższej wsi, w której był przystanek kolejowy, a sam poszedł do lasu, żeby odszukać dom, gdzie dawniej, jak opowiadał Kuba, mieszkał Juliusz – pustelnik, uzdrowiciel, przez jednego z biskupów uważany za świętego. Stanisław nigdy nie był w pustelni Juliusza. Wiedział tylko, że znajduje się ona nad stawem, dającym początek strumieniowi, który za Natalinem wpływał do Kamionki.

Do pustelni dotarł po dniu marszu. Dom miał nienaruszony dach i ściany, ale wewnątrz wyglądał tak, jakby ktoś szukał ukrytych skarbów. Brakowało drzwi, okien, odkute były kawałki tynku ze ścian, z podłogi powyrywane deski i potłuczone kafle pieca. W pierwszej izbie, na belce pod sufitem, wisiał nietoperz. Na podłodze pełno było skorków i czarnych jak węgiel krawców. Stanisław, sprawdzając, czy pod podłogą nie ma żmij, odkrył gniazdo myszy z małymi. Kilkanaście ślepych myszek, czerwonych jak surowe mięso, deptało sobie po głowach i długich ogonach.

## EGZEKUCJA

Stanisław przez trzy tygodnie, do pierwszych przymrozków, mieszkał w pustelni, żywiąc się mięsem zajęcy schwytych we wnyki, nim pod osłoną bezksiężycowej nocy odważył się po raz pierwszy pójść do Natalinka.

Cicho zapukał do okna pokoju, w którym spali Kuba i Lucjan. Kiedy mu odemknęto drzwi, był zdziwiony, że cała rodzina jest na nogach. Myślał, że obudził ich swym cichym pukaniem, ale zaraz dowiedział się, co było powodem bezsenności.

Poprzedniego dnia odbyła się na rynku egzekucja trzydziestu dwóch natalinian, wśród nich byli: stary hrabia Jacek Potemkowski, przeor dominikanów, Morgenbesser, który nie przyznał się, że jest Niemcem z pochodzenia, właściciel największej apteki Cyran, profesor Zamojre i Altbauer, jeden z policjantów, który odmówił pełnienia służby pod rozkazami niemieckimi, Adam Janusz Podgórecki, Kurdziel, z którym Stanisław siedział we więzieniu, sędzia Napierski. Pozostali rozstrzelani pochodzili z Kamionki i byli to akurat ci, których Dziak podejrzewał o sprzyjanie komunistom. Kiedy ich aresztowano, nikomu z natalinian nie przyszło do głowy, że mogą być rozstrzelani, tym bardziej że były to tak znane i poważane osoby, jak przeor czy hrabia Potemkowski. Z początku rodziny mogły odwiedzać aresztowanych, przynosić im papierosy, książki, hrabiemu nawet przydzielono osobną celę. W dniu, w którym rozeszły się pogłoski, iż aresztowani zostaną zwolnieni, pod ratusz zajechały dwa autobusy wojska. Ktoś się dowiedział, że to Mordkommando, i ludzie pochowali się po domach.

W południe hitlerowcy ustawili się dokoła ratusza, skąd sprężystym krokiem wyszedł SS-Hauptsturmführer, który dowodził żołnierzami z autobusów. Oficer dał ręką znak i wówczas z ratusza, pod eskortą żołnierzy, wyszli aresztowani natalinianie. Na twarzy hrabiego Potemkowskiego, który był podtrzymywany przez przeora, malował się gniew przemieszany z lękiem. Na rynku zapanowała cisza. Natalinianie, którzy stali ukryci w bramach dokoła rynku, słyszeli głębokie oddechy aresztowanych i splunięcia Kurdziela. Kilka osób dosłyszało, jak Morgenbesser odpowiada niemieckiemu oficerowi: „Ich bin Pole”.

Hitlerowcy zaprowadzili aresztowanych pod zachodnią ścianę ratusza, na której spiętrzone były worki z piaskiem przywiezione przez żołnierzy. SS-Hauptsturmführer kazał im stanąć w szeregu, blisko siebie, jakby mieli pozować do zdjęcia. Cyranowi, który stał na boku, kazał przysunąć się bliżej do co chwilę spluwającego na ziemię Kurdziela. Gdy wszyscy ustawili się tak, jak sobie tego życzył niemiecki oficer, ze stojącego nie opodal autobusu wyszli żołnierze z karabinami maszynowymi i położyli się na ziemi, w odległości dwudziestu kroków od ustawionych w szeregu natalinian. Aresztowani i obserwujący z domów i bram mieszkańcy Natalina spoglądali z niedowierzaniem na SS-Hauptsturmführera, który powoli podchodził do plutonu egzekucyjnego. Wydawało im się niemożliwe, aby nastąpiło to, co miało nastąpić. Gdy dowódca Mordkommando podniósł rękę do góry, zrobiło się cicho, jakby nagle życie zamarło w Natalinie.

– Feuer! – rozkazał oficer, ręką przecinając powietrze.

Ojciec przeora zdążył przeżegnać się w imię Ojca i Syna i upadł z ręką przyciśniętą do piersi. Stary hrabia, patrząc ze zdumieniem na walących się obok mężczyzn, stał najdłużej. Kiedy i jego dosięgnęła seria karabinu maszynowego, upadł na Kurdziela. Wówczas strzały umilkły, ale ich echo jeszcze długo rozchodziło się po ulicach miasta.

Zofia nie pozwoliła, żeby Stanisław był w domu dłużej niż pół godziny. Włożyła mu do kufierka ciepłą bieliznę, chleb, kilka pęt suszonej kiełbasy i gdy tylko Józef skończył opowiadać o egzekucji, której był świadkiem, powiedziała drżącym z przestachu głosem:

– Uciekaj. Oni mogą w każdej chwili przyjechać. Ten... – urwała, rumieniąc się mimo woli, gdyż słowo, jakim chciała zastąpić nazwisko Dziaka, było słowem tak wulgarnym, że sama nie wiedziała, skąd wzięło się w jej myśli.

Stanisław dowiedziawszy się, którzy obywatele Natalina zostali rozstrzelani, był przekonany, że Niemcy wybrali ich z pomocą Dziaka. Tylko Dziak, mógł wiedzieć, że rozstrzelanie tych trzydziestu dwóch natalinian z Natalina miasto martwe.

– Zabiję go – szepnął Stanisław wychodząc.

Kuba odprowadzając Stanisława na podwórze wręczył mu sześciostrzałową belgijkę i dwie paczki naboju.

– Weź, przyda ci się.

– Kubo, jak mogłem posądzić cię, że wszystko oddałeś Niemcom – powiedział Stanisław przeprasającym tonem.

– Więcej nie przychodź do domu. Oni mogą obserwować. W razie czego wyślę do ciebie Józefa albo Lucjana. Idź, niedługo wyjdzie księżyc – ponaglił Kuba.

## OPERACJA „JUDEN”

W ciągu całego miesiąca po egzekucji nie zginął ani jeden mieszkaniec Natalina. Niemcy

tylko poturbowali kilkunastu chałaciarzy, zastrzelili parę psów i aresztowali Maczka, pisarza z kancelarii rejenta Szpaka, ponieważ nie oddał radioodbiornika. Natalinianie, którzy w egzekucji nie stracili nikogo bliskiego, powoli przyzwyczajali się do nowej sytuacji. Uczyli się handlować po nowemu, z pominięciem sklepów. Gromadzili mąkę, mydła, mięso w wekach. Zaczęli także chodzić innymi ulicami, gdzie było dużo bram i gdzie w porę mogli zejść z drogi i oczu niemieckim żandarmom i Dziakowi, przede wszystkim jemu. Mieszkańcy Natalina, domyślając się, jaki był udział Dziaka w egzekucji, bali się go bardziej niż samych Niemców.

Z nadejściem Niemców spełniły się marzenia Dziaka o pracy policyjnej. Podlegając Balonikowi, który chcąc zadowolić wszystkich wyborców naraz, krępował ręce policji, a potem staroście Pimpelowi, uważającemu, że na tropieniu bandytów i komunistów zna się lepiej od komendanta policji, Dziak czuł się niedocenionym i zbędnym funkcjonariuszem. Rządy w Niemczech podobały mu się; Hitler stawiał sprawę jasno: kto jest Żydem albo kto nie popiera NSDAP, ten jest wrogiem narodu niemieckiego. I dopiero hitlerowcy potrafili docenić fachowość Dziaka. Przy jego pomocy została ułożona lista trzydziestu pięciu osób, którzy z racji zajmowanych stanowisk w administracji polskiej, przekonań politycznych lub będący z innych powodów w poważaniu miejscowej ludności, mogli stanowić zagrożenie dla nowej władzy. Z trzydziestu pięciu osób wpisanych na listę trzy nie zostały pochwycone – Stanisław i Łukasz Walichradowie oraz dwudziestoletni Kostek, przywódca młodych robotników.

Dziak, w kilka tygodni po wkroczeniu Niemców mianowany inspektorem kryminalnym, przedstawił komendantowi Natalina, SS-Sturmbannführerowi Buchholzowi, sposób na oczyszczenie miasta z elementów niepewnych, którymi w mniemaniu Dziaka byli wszyscy mieszkańcy Kamionki. Komendant Buchholz słysząc, że Dziak mówi o spaleniu dzielnicy, powiedział, że ów projekt zostanie zrealizowany natychmiast po uporaniu się z problemem żydowskim.

Do tego, co dotyczyło wyznawców Mojżesza, Dziak nie wtrącał się. Domyślał się, że Niemcy już przyjechali z gotowymi planami względem Żydów. Niedługo zaczęli je realizować. Tydzień przed świętami Bożego Narodzenia na murach Natalina ukazały się obwieszczenia podpisane przez dowódcę SS i policji Buchholza. W obwieszczeniu było, że pierwszego dnia świąt, o godzinie dziewiątej, mają się zebrać na rynku wszyscy Żydzi celem przesiedlenia do wiosek za Ranem, gdyż komendzie miasta potrzebne są kwatery dla żołnierzy. Żydom wolno było zabrać po dwie walizki osobistych rzeczy. W obwieszczeniu była groźba, że kto nie stawi się w wyznaczonym dniu, pojedzie za Ran na własny koszt i nie będzie miał zabezpieczonego tam mieszkania.

Dziak, nie będąc wtajemniczony w operację pod kryptonimem „Juden”, pozwolił sobie głośno, w obecności żandarmów, zwątpić w celowość wywożenia Żydów za Ran, skoro tymi samymi środkami transportu można ich wywieźć do obozu przymusowej pracy. Kilka godzin po wyrażeniu tej uwagi Dziak został wezwany do SS-Sturmbannführera Buchholza.

Dziak, przeklinając siebie za nieostrożność, natychmiast zameldował się u komendanta miasta, którego biuro mieściło się w dawnym gabinecie starosty. Lecz wbrew obawom został powitany przez Buchholza uśmiechem, poczęstowany cygarem i zapytany, czy on, Dziak, wyobraża sobie, że Rzeszę Niemiecką stać na utrzymywanie Żydów w obozach?

– Ja, so ist es, Herr Sturmbannführer – szybko, prężąc się na baczność, odrzekł Dziak.

– Das ist wahr – zgodził się Buchholz – jesteśmy bogatym narodem, ale prowadząc wojnę nie możemy przemienić się w samarytan.

– Jawohl, Herr Sturmbannführer.

– Gut. Sehr gut – Buchholz uśmiechnął się. – Danke.

Dziak odmeldował się i wyszedł z gabinetu, nie bardzo rozumiejąc, o co chodziło komendantowi. Ale wyczuł, że uśmiechy, cygaro, rozmowa znaczyły tyle, co udzielenie mu

pochwały. Wieczorem, jeszcze rozpamiętując rozmowę z Buchholzem, doszedł do przekonania, że z tą przeprowadzką Żydów to coś nie tak, i na wszelki wypadek, gdyby mieli być rozstrzelani, ułożył listę najbogatszych, umieszczając na niej wszystkich tych, od których jeszcze za polskich rządów brał największe łapówki.

Dziak potrzebował dużo pieniędzy. Od manifestacji w Natalinie, podczas której zginęło ośmiu robotników, regularnie co pół roku jeździł do Warszawy. W upatrzonym przez siebie „Bristolu”, wydając w ciągu trzech nocy wszystkie jakie miał pieniądze, przeistaczał się w niezależnego od nikogo na świecie ziemianina z Kresów, człowieka wielkiej fortuny. W apartamentach pił najlepsze wódki z poetami, aktorami, alfonsami i prostytutkami. Gdy na trzeci dzień budził się, zapominając o duszących go w nocy zmorach i nie pamiętając o samotności i paskudnej służbie na prowincji, od razu stawał się służbistym policjantem. Wówczas gdyby nie brak munduru, który leżał w przechowalni bagażu na dworcu, kazałby sprawdzić, czy leżące w jego łóżku kobiety są zarejestrowane w wydziale obyczajowym policji.

Kilka dni po rozmowie z SS-Sturmbannführerem Dziak poczuł, że nadchodzi pora, aby pojechać do Warszawy. Lecz dowiedział się, że „Bristol” jest „nur für Deutsche” i może w nim zamieszkać tylko jako inspektor niemieckiej policji kryminalnej. Przez krótką chwilę pomyślał, że oto wymarzony porządek, jaki zaprowadzają Niemcy, uczynił, że na całe życie pozostanie Dziakiem, zwykłym inspektorem kryminalnym, jakich są tysiące, gdyż jako folksdojcz nie może marzyć o wysokim stanowisku w niemieckiej policji, że już nigdy nie przeistoczy się w bogatego pana polskiego, stokroć potężniejszego od niego samego i jego przełożonych, że już nigdy nie pokosztuje wolności od służby i siebie samego. Przestało liczyć się szlachectwo pieniądza i urodzenia. Ważny stał się mundur i dystynkcje. Dziak nawet nie chciał myśleć o udawaniu w „Bristolu” kogoś innego, niż był, gdyż sprawnie działająca policja niemiecka, inwigilująca nawet siebie wzajemnie, zaraz dowiedziałaby się prawdy.

Ale Dziak bał się, że bez szalonego upijania się z nikomu nieznanymi poetami i prostytutkami, bez tych kilku dni, gdy przed hotelowymi gośćmi występował jako tajemniczy bogacz, nie będzie zdolny do normalnej pracy. W końcu, nie decydując się ani pojechać, ani całkowicie zrezygnować z wyprawy do „Bristolu”, postanowił, że na razie zajmie się zdobywaniem pieniędzy.

Po wywieszeniu obwieszczeń o przesiedleniu Żydów Dziak powiedział Landbaumowi i hurtownikowi węgla Rosenowi, że dla Żydów z Natalina przeznaczonych jest do zamieszkania za Ranem kilka pałaczków i dworów, a reszta to nędzne chałupy chłopskie, i że on może dopilnować, aby w tych najlepszych domach zamieszkały najporządniejsze rodziny żydowskie; Niemcy, jak ich zna, gotowi są rozdzielić domy według listy alfabetycznej.

Dwa dni przed Bożym Narodzeniem Dziak dostał pieniądze od dwunastu najbogatszych Żydów w Natalinie. Ale po przeliczeniu oznajmił im, że tyle to by kosztowało przed wojną. Zażądał cztery razy więcej wyjaśniając, że teraz nie wszystko od niego zależy. Żydzi zrozumieli i dopłacili. Dopłacili nawet z zadowoleniem, gdyż doświadczenie nauczyło ich, że tam, gdzie pieniądze przechodzą z kieszeni do kieszeni, można sobie dobrze ułożyć życie. Jednak pozostało wielu Żydów nie mających tej pewności, a niektórzy z nich, zwłaszcza ci należący do Haszomer Hacair, nie czekając Bożego Narodzenia uciekali z miasta.

Zofia od dnia egzekucji całymi godzinami przebywała w pokoju Feliksa albo pod obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej. W tym czasie Józef, Jeremiasz i Artur często wymykali się do Natalina. Gdy weszli do Natalina po raz pierwszy od egzekucji, miasto wydało im się całkiem inne. Nade wszystko było cicho. Jeździły tylko dwie dorożki. W bocznych uliczkach nie słychać było młotków szewskich i stukotu maszyn do szycia. Cisza panowała w budynku „Sokoła”, a przylegający doń ogród, w którym znajdowały się poręcze gimnastyczne i liny do

wspinania, wyglądał jak zapuszczony cmentarz. Także Żydzi handlujący na straganach nie zachwalali, jak dawniej, głośno i śpiewnie najmocniejszych na świecie materiałów z Manchesteru, nie przywoływali do śledzi trzymanyh w prawdziwej wodzie morskiej ani bili się w piersi zaklinając, że w kiełbasie nie ma koniny. W sklepie z towarami kolonialnymi u Symchego Infelda, gdzie przed wojną, wracając ze szkoły, Józef, Artur i Jeremiasz przychodzili po landrynki w kształcie rybki, koguta czy półksiężycy, były tylko ziemniaki, kapusta i cebula. Po pomarańczach i kakao nawet zapach nie pozostał. Także gruba Infeldowa zmieniła się. Młodych paniczów z Natalinka nie poczęstowała drożdżowymi bułkami i nie pozwoliła im siedzieć w sklepie, tylko gniewnym głosem kazała im natychmiast wracać do domu.

Pierwszego dnia świąt Bożego Narodzenia, o godzinie dziewiątej, cały rynek zajęty był przez Żydów. Adwokat Goldberg, Landbaum, kupiec drzewny Est, Chajn trudniący się lichwą, chudy Epstein w bobrowym futrze, który w miarę bankructwa kolejnej fabryki był coraz bogatszy, i siedmiu innych bogatych Żydów stało wśród swoich rodzin spokojnie, czasami tylko bezradnie uśmiechając się. Pomiedzy sobą zastanawiali się, jakie będą mogli robić interesy za Ranem. Epstein najszybciej zorientował się, że przyjazd żołnierzy niemieckich stwarza nowy rynek zbytu i już kilka dni przed datą przesiedlenia postarał się o zezwolenie na otwarcie za Ranem fabryki papierosnic, zapalniczek, pasków do zegarków z kompasami, kondonów i innych przedmiotów niezbędnych w życiu każdego żołnierza. Władze niemieckie chętnie udzieliły Epsteinowi zezwolenia i jeszcze przyobiecały kredyt na rozbudowę fabryki. Chałaciarze, choć z początku bali się przenosin, widząc spokojne zachowanie się bogaczy, przestali się martwić, nawet doszli do przekonania, że mając za Ranem przyobiecane mieszkania, może lepsze od tych w Natalinie, nic w gruncie rzeczy nie tracą. To, co zostawili w domach, nadawało się jedynie na podpałkę.

Po sprawdzeniu obecności i odnotowaniu, że brakuje ponad trzystu Żydów, na rynek zajechało dziesięć ciężarówek. Do ośmiu wsiadło czterystu Żydów, do dwóch załadowano walizki i samochody odjechały. Dwom tysiącom Żydów, którzy pozostali na rynku, kierujący akcją „Juden” zastępca komendanta miasta kazał uformować się w czwórki i przejść do koszar, gdzie mieli czekać na powrót ciężarówek.

Inspektor kryminalny Dziak obserwował zbiórkę i odmarsz Żydów z pokoju przesłuchań w ratuszu. On i wszyscy granatowi policjanci mieli zakaz opuszczania posterunku na czas akcji „Juden”. Więc Dziak, żeby nie tracić czasu, przesłuchiwał wędrownego kataryniarza, którego papuga mówiła „Hitler pędzel”. Chciał dowiedzieć się, od kogo papuga nauczyła się tych słów. Kataryniarz, niski staruszek w kolejarskim mundurze, plątał się w zeznaniach raz twierdząc, że już kupił tak wyuczoną papugę, to znowu, że ptak całkiem przypadkowo skojarzył sobie te dwa słowa, bo niby skąd głupia papuga mogłaby wiedzieć, iż wódz Wielkiej Rzeszy był kiedykolwiek malarzem pokojowym, skoro on sam tego nie wie. Po kilku godzinach, gdy Dziak przesłuchiwał robotnika z Kamionki, który przed nadejściem Niemców przyjaźnił się z Kostkiem, rozległy się przytłumione serie karabinów maszynowych, jakby gdzieś daleko toczyła się zacięta bitwa. Po karabinach maszynowych słyhać było pojedyncze strzały. Wówczas zadzwonił telefon i Dziak został wezwany do koszar.

Ledwie przeszedł bramę koszar, w której stało dwóch esesmanów, zatrzymał się osłupiały. Na dziedzińcu leżeli zabici Żydzi. Trupy rozciągały się od jednej bramy do drugiej. W jednym miejscu leżały jedne na drugich, w innych pojedynczo, z rozkrzyżowanymi rękami, podkurczonymi nogami. Dziak mimo woli wyobrażał sobie, których śmierć dosięgła w biegu, których na kolanach, w modlitwie, których przytulonych do siebie. Wielu Żydów rozpoznawał. Na twarzy Epsteina zobaczył tak mocny wyraz zdumienia, że przesłaniał on wyraz śmierci, aż Dziak podszedł bliżej, żeby się upewnić, iż Epstein nie żyje. Z osłupienia wyrwał Dziaka rechotliwy śmiech esesmanów z Mordkommando, którzy palili papierosy na



kruźgankach. Dziak odwrócił się i pomyślał ze strachem, że to, jak się zachował na widok zabitych Żydów, może dojść do uszu SS-Sturmbannführera.

Do wieczora gorliwie pracował przy sortowaniu przedmiotów znalezionych przy Żydach: osobno pieniądze, osobno złote zegarki, osobno drogie kamienie, osobno złote zęby wyrywane kleszczami przez jednego z esesmanów, osobno dokumenty, okulary, buty, spodnie. Później ilości znalezionych przedmiotów wpisywał do wcześniej przygotowanych formularzy z pieczęcią policji bezpieczeństwa. Po kilku godzinach wykonywania tych prac, uzwyczajnionych przez urzędowe formularze i czynności przypominające pracę w biurze, już żadnego wrażenia nie zrobiły na Dziaku nagie trupy Żydów wrzucane na ciężarówki. Zrozumiał, że likwidacja Żydów mieści się w nowym zaprowadzanym przez Niemców porządku.

W nocy wrócił zmęczony do swego służbowego pokoju w ratuszu. Wypił butelkę wódki, którą kupił na święta, i kazał przyprowadzić kataryniarza z papugą. Wpierw zastrzelił papugę, potem kataryniarza. Następnie zajął się innymi aresztowanymi i gdy tylko oni zaczęli plątać się w odpowiedziach, nie wiedząc, dlaczego nazywają się inaczej, niż pisze w dokumencie, albo nie wiedząc, co robili na ulicy podczas godziny policyjnej, strzelał w brzuch, piersi, głowę, krzycząc, że Niemcy zaprowadzą porządek w Natalinie i Polacy staną się wreszcie uczciwymi ludźmi lub znikną z powierzchni ziemi jak Żydzi. Nad ranem przyszedł adiutant komendanta i powiedział, żeby Dziak zaprzestał przesłuchiwać, gdyż komendant nie może spokojnie spać.

## ZEMSTA

Dwa zamachy na Dziaka nie powiodły się. W pierwszym zginął Kostek, który od dnia egzekucji ukrywał się w Kamionce. Kostek, gdy Dziak szedł ulicą, wybiegł z bramy z dwururką z obciętymi lufami. Pociągnął za jeden spust, za drugi – dwururka nie wypaliła. Wówczas Dziak szybko wyjął pistolet z pochwy i wystrzelił wszystkie naboje z magazynka w brzuch Kostka.

Z listy trzydziestu pięciu osób skazanych na śmierć pozostali jeszcze Stanisław i Łukasz Walichradowie. Dziak, pamiętając o nich, co kilka tygodni robił rewizję w Natalinku, aby znaleźć ślady bytności poszukiwanych. Powziął podejrzenie, że drugi, także nieudany zamach na niego, w którym zginął jeden z granatowych policjantów, jest dziełem Walichradów.

Po tym nieudanym zamachu Stanisław jeszcze dwukrotnie trzymał Dziaka na muszce sztucera. Raz przy drodze do Jeziorka, ale wtedy napatoczyły się dwie ciężarówki żołnierzy niemieckich i Stanisław znajdując się nazbyt daleko od zwartej ściany lasu, zrezygnował z oddania strzału. Potem dowiadując się, iż Dziak i żołnierze spalili pół Jeziórka, żałował, że nie zastrzelił Dziaka mimo wszystko. Drugi raz Dziak całkiem przypadkowo znalazł się na muszce sztucera Stanisława. Tylko że wówczas Stanisław leżał w rowie za powozownią w Natalinku. Dziak zaś, po skończonej rewizji w Natalinku, kilka minut spacerował po podwórzu, jakby się prosząc o strzał. Stanisław, mając już w komorze przygotowaną dla Dziaka naciętą na czubku kulę, ledwie się powstrzymywał, aby nie nacisnąć spustu. Lecz zdawał sobie sprawę, że strzelić do Dziaka w Natalinku znaczyłoby strzelić do swojej rodziny albo skazać ją na wygnanie na zimę do lasu.

Ze tego dnia nie zastrzelił Dziaka w Natalinku, Stanisław później nie mógł sobie

wybaczyć. Podczas następnej rewizji Dziak zabił bawiącą się w ogrodzie dwuletnią Zosię i Kubę. Zosia upadła twarzą na zrobioną przez siebie babkę z ziemi. Gdy Kuba podnosił ją, Dziak strzelił w niego.

Zofia, kiedy rozległ się strzał, siedziała w pokoju u Feliksa. Wyrzała przez okno i zemdlona upadła na podłogę.

Wieczorem wszyscy mieszkańcy Natalinka, z wyjątkiem Józefa, który poszedł zawiadomić Stanisława, zebrali się w salonie dokoła stołu, na którym leżały umyte z krwi i przebrane w czyste ubrania ciała Zosi i Kuby. Zosia, ubrana w sukienkę w czerwone groszki, wyglądała przy Kubie jak dziecięca lalka, a Kuba wydawał się jeszcze roślejszy niż za życia. Zofia i Jadwiga mokrymi od łez oczami spoglądały na przemian to na Zosię i Kubę, to na obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Czuły żal do Matki Boskiej, że dopuściła do śmierci Zosi. Nie mogły się do niej modlić. Do dzisiejszego ranka kres życia Zosi znajdował się w dalekiej nie do wyobrażenia przyszłości, kiedy mieli już nie żyć Zofia, Jadwiga, Feliks, Stanisław, Bysała. O śmierci Kuby także nikt nigdy nie myślał, nawet nikt nie zastanawiał się, ile Kuba ma lat, sto, dwieście? Kuba był zawsze, jak Wisła, jak cmentarz zmarłych w czasie zarazy, jak dzika grusza na drodze do Natalina. Gdy do czuwania przy zwłokach przyłączył się Feliks wychudły, w koszuli i żołnierskich kalesonach nie związanych w kostkach, nikt nie dziwił się, że nagle wyzdrowiał. Kiedy prawa świata zostały naruszone i umierają nieśmiertelni, Feliks musiał wstać.

W dniu pogrzebu Kuby i Zosi inspektor kryminalny Dziak postawił w stan pogotowia wszystkich granatowych policjantów. SS-Sturmbannführer Buchholz, choć to on sam kazał Dziakowi zastrzelić córkę Stanisława, żeby Stanisława i Łukasza wywabić z ukrycia, nie chciał jednak na czas pogrzebu wzmocnić patroli na ulicach, ani, o co dopominał się Dziak, zażądać oddziału regularnego wojska do obstawy miasta. Buchholz wyśmiał Dziaka; niezwykłe wojska Trzeciej Rzeszy ucięły łeb galijskiemu kogutowi i lada dzień strącały mury Kremla, a on miałby się bać jakichś pomyślonych polskich szlachetków. Dziak przyznał rację komendantowi, ale mimo to, zwłaszcza od chwili kiedy się dowiedział o uzdrowieniu Feliksa, coraz częściej ogarniał go niepokój. Jakieś urywające się głosy w półśnie mówiły mu, że opowiadając się po stronie prawa, które dozwala zabijać, popełnia wykroczenie przeciwko innemu prawu, które stoi ponad nowym prawem niemieckim. Starał się te głosy odtrącać mówiąc sobie, że są one przeżytkami jego dawnego narodu, którego wyparł się nie dla srebrników, tylko w imię nowego porządku na świecie i dobrej policyjnej roboty.

W noc poprzedzającą dzień pogrzebu Dziak nie mógł usnąć. Im bardziej usiłował siebie przekonać, że niepokój, jaki go ogarniał po zastrzeleniu Kuby i wnuczki Feliksa Walichrada jest nieuzasadniony, tym więcej czuł się niespokojny, a o świecie, nie śpiąc ani jednej godziny, wstał z łóżka owładnięty paniką. Policjantom, mimo wczesnej pory, wydał rozkaz otoczenia cmentarza. Był przekonany, że jeśli Stanisław jest w pobliżu i wie o śmierci córki, to przyjdzie na jej pogrzeb.

W południe kondukt z dwiema trumnami wszedł do Natalina. Za trumnami szli Walichradowie z Feliksem na przedzie, Balonikowie, Bysałowie. Nikt nie płakał. Feliks utykając na nogę szedł pochylony do przodu, ze wzrokiem utkwionym daleko przed siebie. Jadwiga i Zofia trzymały się za ręce. Krystyna trzymała za ramię Balonika, który szedł wyprostowany i dumny jak dawniej, gdy sprawował rządy w tym mieście. Natalinianie, których doszły wieści o zabitych w Natalinku, wychodzili na ulice i znakiem krzyża żegnali umarłych Walichradów. Trwali w milczeniu, aż kondukt odszedł dalej.

Niemiecki wartownik, który stał obok wejścia do ratusza, widząc pogrzeb podobny do tych, jakie były w jego rodzinnym miasteczku w Górach Schwarzwald, bezwiednie wyprężył się na baczność. Popatrzył na dwie trumny, dużą i małą, które jechały na wozie ciągniętym przez siwego konia. Dłużej zatrzymał spojrzenie na Lucjanie, który co kilka kroków upadał na ręce i powstawał. Po chwili wartownika zastanowiła cisza, jaka zapanowała

na rynku. Słysząc było tylko powolny stukot kopyt końskich. Ponadto wartownik spostrzegł, że ludzie idący za trumną nie płaczą – mają wrogie zacięte twarze. Nagle opamiętał się i przyjął lekceważącą postawę „spocznij”; zapalił papierosa. Ale zrobił to za późno. Jego honory oddane Polakom dostrzegł SS-Sturmbannführer Buchholz, który akurat z Dziakiem wyszedł z ratusza. Dziak chciał pokazać komendantowi, że nie bez powodu mówił o posiłkach żołnierzy.

– Rzeczywiście. To mi się nie podoba – powiedział Buchholz wodząc spojrzeniem po ludziach stojących wokół rynku, którzy przyszedli zobaczyć pogrzeb Walichradów; wyczuł u nich tak mocną nienawiść do siebie, że przez chwilę, mimo uzbrojonych żołnierzy kwaterujących w ratuszu, ogarnięty był lękiem i bezradnością wobec tej nienawiści. – Jutro zlikwidować! – rozkazał, głową wskazując na odchodzący kondukt.

– Tak jest, Herr Sturmbannführer – odrzekł Dziak i w asyście dwu granatowych policjantów poszedł na cmentarz.

Od policjantów w cywilu, rozstawionych wokół cmentarza, dowiedział się, że nikogo podejrzanego, kto chciałby dostać się na cmentarz, nie zauważono.

Ledwie grabarze skończyli uklepywać dwie pryzmy ziemi, pod którymi spoczęły zwłoki Kuby i Zosi, Dziak podszedł do stojących nad grobami. Po kolei, z ironicznym uśmiechem, patrzył na Balonika, swego dawnego zwierzchnika, na Jadwigę w czarnym welonie opuszczonym na twarz, na Zofię bardzo postarzałą w ostatnich tygodniach i na najmłodszych mieszkańców Natalinka, pośród których jeden bardzo mu przypominał Józefa zabitego w czasie demonstracji w Natalinie. Na końcu spojrzał na Feliksa – i z jego oczu wyczytał wyrok śmierci. Było to tak wyraźne, jakby Feliks powiedział wprost: „Zabiję cię” Dziak, mimo że pamiętał o policjantach rozstawionych na cmentarzu, stracił poczucie bezpieczeństwa. Poraziła go pewność spojrzenia Feliksa, pewność, że zginie on, Dziak, jak gdyby od wyroku nie było już odwołania. Zrobił krok do tyłu i w popłochu, niby w zasadzce, wyjął pistolet z pochwy. Ale w tejże samej chwili instynkt podpowiedział mu, że naprawdę zginie, jeśli natychmiast nie schowa broni z powrotem do pochwy. Zrobił to i po kilku sekundach, głęboko oddychając, z nienawiścią powiedział do Feliksa, że to jeszcze nie koniec porachunków.

Po kilku minutach Dziak zagwizdał na policjantów i wyszedł z cmentarza. Wówczas zniknął wystający ze szczeliny jednego z grobowców czarny wylot lufy sztucera.

Dziak jeszcze tego samego dnia kazał przygotować obwieszczenia dla ludności Natalina, że za bandyckie napady na Niemców i Polaków znajdujących się w służbie niemieckiej zostali rozstrzelani: Walichrad Feliks, Walichrad Zofia, Walichrad Lucjan, Walichrad Kuba, Walichrad Władysław, Walichrad Józef, Walichrad Artur, Walichrad Tomasz, Walichrad Jadwiga, Balonik Korneliusz, Balonik Krystyna, Balonik Jeremiasz, Balonik Augustyn, Balonik Andrzej, Bysała Marek, Bysała Marta, Bysała Antoni, Bysała Florian, Bysała Maria, Bysała Joanna.

O świcie, gdy wrony cicho jak nietoperze przelatywały nad polami, pod Natalinek zajechała ciężarówka, a w niej Dziak, sześciu żołnierzy i dwóch aresztantów, którzy byli łańcuchami przykuci do boków auta. Dziak, uzbrojony w pistolet maszynowy, spojrzał na słabo widoczne kontury dworu i pomyślał, że najchętniej to widziałby go spalony. Lecz SS-Sturmbannführer kazał mu oszczędzać dom, gdyż chce go przeznaczyć na ośrodek wypoczynkowy dla oficerów rekonwalescentów.

Z Natalinka nie dochodziły żadne głosy czy szmery. Jego mieszkańcy zdawali się spać mocno, skoro nie obudził ich nawet hałas silnika samochodowego. Dziakowi coś jednak podpowiadało, że spokój tego domu jest nienaturalny, i ogarnął go taki sam lęk jak na cmentarzu pod spojrzeniem Feliksa. Dość tego, nakazał sobie i wystrzelił kilka pocisków w drzwi. Wrony, które przelatywały nad orzechem, uleciały nagle do góry niby wyniesione

gwałtownym podmuchem powietrza. Drzwi, uwolnione od zamka, otworzyły się pod własnym ciężarem. Dziak ostrożnie, z pistoletem maszynowym wycelowanym przed siebie, wszedł do sieni. Natrafiwszy w półmroku na drugie drzwi, pchnął je i wbiegł do środka, do salonu. Nikogo nie zobaczył. Miedziane wahadło zegara, które odbijało światło wpadające przez okna, nie napędzało wskazówek, krzesła stały równo dokoła stołu, obicie kanapy było równo naciągnięte, jakby mieszkańcy tego domu wyprowadzili się. Dziak, myśląc o tym, wrócił do sieni i tam uderzeniem kolby sztucera został przez Feliksa powalony na podłogę. Gdy leżał, Feliks uderzył go jeszcze raz, mocniej, i ze sztucercem podszedł do okna, które wychodziło na ogród. Dwaj Niemcy stojący pod jabłonią zapalali papierosy. Feliks strzelił przez szybę. Zapalony papieros wyleciał z ręki jednego żołnierza. Drugi, strzelając z karabinu w okna, cofał się w głąb ogrodu, aż podszedł blisko leżącego za drzewem Józefa. Józef z kilku metrów strzelił mu w plecy. Wówczas Feliks podbiegł do okien wychodzących na powozownię, obok której, wpatrując się z napięciem w dom, stało dwóch następnych Niemców. Jeden z nich chował się za ścianą powozowni, widać było tylko jego hełm i ręce trzymające karabin. Feliks zaczekał, aż Niemiec bardziej wychylił się, i strzelił. Tymczasem drugi hitlerowiec chciał skryć się w powozowni, ale tylko otworzył drzwi – rzucił karabin i podniósł ręce do góry. Stanisław przystawił lufę do jego piersi i pociągnął za spust.

Dwóch ostatnich hitlerowców zajęło stanowiska za autem. Nim zostali zastrzeleni przez Bysałę i Jeremiasza, którzy leżeli w trawie po drugiej stronie drogi, zdążyli rzucić na oślep po jednym granacie.

Kiedy umilkły strzały, Stanisław wyszedł z powozowni i zapytał:

– Gdzie jest Dziak?

– Mam go tutaj – z ganku odpowiedział Feliks.

– Zabiłeś go?

– Nie – odrzekł Feliks i w tej samej chwili rozległy się wołania z auta:

– Pomocy! Uwolnijcie nas!

Bysała i Jeremiasz podeszli do ciężarówki i zobaczyli na niej dwóch przykutych mężczyzn. Stanisław poznał młodszego z nich – Wąsala, który pochodził z Kamionki i był czeladnikiem zegarmistrzowskim.

– Znam ich. Uwolnijcie – powiedział Stanisław i poszedł Feliksowi pomóc wynieść Dziaka z domu.

Dziak odzyskał przytomność. Wtedy Feliks założył mu powróż na szyję. Dziak krzyknął, usiłując wstać. Feliks mocniej zacisnął pętlę na jego szyi i, jak gdyby miał do czynienia z manekinem albo trupem, odwrócił go na brzuch i związał ręce z tyłu.

– Szybciej – ponaglił Stanisław, patrząc bez przerwy na drogę do miasta.

Oplątujący szyję Dziaka koniec powroza Feliks przywiązał do siodła siwka, którego przyprowadził Józef.

– Co robicie! – wychrypiał Dziak.

– Gotowe – powiedział Feliks i wówczas Józef batem smagnął konia.

– Wio, wio! – pogonili siwka kilkanaście kroków, patrząc jednocześnie na włączonego przez konia Dziaka.

Pościg za Walichradami wyruszył dopiero po dwóch godzinach, gdyż tyle czasu trwało, nim w nagich, odartych do kości zwłokach ze zmasakrowaną twarzą, które zostały przywleczone do miasta przez siwego konia, rozpoznano inspektora kryminalnego Dziaka.

Po trzech dniach przeczesywania lasów wokół Natalina i po drugiej stronie Wisły SS-Sturmbannführer Buchholz odwołał pościg za Walichradami. Niemcy znaleźli tylko pustelnię Juliusza, a w niej ślady, że ktoś tam niedawno mieszkał. Nic więcej.

Po pół roku, gdy w Natalinku, przerobionym na dom wypoczynkowy dla oficerów rannych na froncie rosyjskim, przebywało kilkudziesięciu Niemców, partyzanci z oddziału Feliksa, i on sam podpalili Natalinek. Hitlerowców usiłujących wydostać się z płonącego domu

ostrzelali z karabinów, zabijając lub raniąc kilkunastu z nich. Nazajutrz po napadzie dowódca SS i policji w Natalinie SS-Sturmbannführer Buchholz wyznaczył nagrodę stu tysięcy marek za głowę Feliksa Walichrada.

## PARTYZANCI

Feliks i jego partyzancki oddział byli nieuchwytni. SS-Sturmbannführer Buchholz i następnicy po nim komendanci wojskowi Natalina bezskutecznie organizowali obławy na oddział Feliksa. Niemcy nie poznali nawet miejsca postoju oddziału.

Buchholz po wysadzeniu przez Feliksa pociągu i ostrzeleniu przeprawy na Wiśle został skierowany na front wschodni. Następcę Buchholza, kiedy nie zlikwidował grup partyzanckich na swoim terenie, spotkał ten sam los. Kolejny komendant Natalina już na drugi dzień, gdy Feliks zaatakował więzienie w pobliskim Miałcu, z którego uciekło wówczas stu dwudziestu więźniów, sam poprosił o przeniesienie na front.

Czwartym komendantem Natalina został SS-Obersturmbannführer Berndt, w cywilu dyrektor muzeum etnograficznego w Berlinie. Zawodowi oficerowie wrogo przyjęli nowego komendanta. Berndt nosił mundur, jakby to było cywilne ubranie, ręce trzymał w kieszeniach i czasami zapominał o pasie z pistoletem. Ponadto nie potrafił porządnie po żołniersku wydać rozkazu. Zawsze mówił cicho i niemal proszącym tonem. Po kilku tygodniach pobytu w Natalinie Berndt kazał przyprowadzić do ratusza kilkunastu najstarszych mieszkańców miasta. Ku zdumieniu podwładnych poczęstował Polaków koniakiem, poprosił o wysłuchanie z płyty „Geschichten aus dem Wienerwald” Johanna Straussa, jego, jak powiedział, ulubionego kompozytora niemieckiego, i zaczął z nimi rozmawiać o Feliksie Walichradzie. Ale nie dowiedział się od natalinian niczego więcej prócz tego, co już wiedział od oficerów zajmujących się tropieniem oddziału Feliksa. I to Berndta ucieszyło. Następnego dnia, w czasie odprawy, powiedział swym oficerom, że Feliks Walichrad jest dla miejscowej ludności czymś więcej aniżeli dowódcą partyzanckim, że jest mścicielem i wybawcą, karzącym Archaniołem, Wilhelmem Tellem i że tę legendę należy obrócić przeciwko Feliksowi.

W tym celu Berndt kazał obwieścić w mieście, że za każdego policjanta lub żołnierza niemieckiego, który zostanie ugodzony kulą bandyty z oddziału Feliksa, zostanie natychmiast rozstrzelanych dwustu Polaków z Natalina, a za każdy wysadzony pociąg, pięciuset Polaków. Oficerowie niemieccy złoścąc się mówili między sobą, że takimi sposobami komendant nie zlikwiduje partyzantów, a Polaków tak czy inaczej można rozstrzelać. Lecz byli zdziwieni, kiedy przez dwa miesiące partyzanci nie zaatakowali ani jednego posterunku policji, a pociągi przejeżdżały przez powiat nataliński jeszcze bezpieczniej niż przez Berlin, coraz częściej bombardowany przez aliantów. Poza tym Berndt nie zrezygnował z tropienia oddziału Feliksa. Do pracy w okolicznych lasach wysłał folksdojców, których w tajemnicy sprowadził z sąsiednich powiatów. Mieli oni obserwować, gdzie miejscowi ludzie najczęściej zbierają grzyby i chrust, i które ścieżki są najbardziej wydeptane. Po miesiącu Berndt otrzymał raport, z którego wynikało, że największy ruch panuje w Białym Lesie – lesie z wądołami, a bardziej na północ z topielami, który wyśmienicie nadawał się do ukrycia i obrony.

SS-Obersturmbannführer Berndt, jak tylko przyjechał do Natalina, oprócz służby wojskowej zajmował się pracą naukową. Fotografując kościoły i ruiny zamków, konfiskując

w kościołach obrazy i stare księgi, zbierał materiały do pracy, w której chciał udowodnić, że wszystko co jest najlepsze w architekturze na byłych polskich ziemiach, wywodzi się bezpośrednio ze sztuki germańskiej. W przyszłości, gdy znajdzie się z powrotem w swoim muzeum, Berndt zamierzał rozwinąć tę myśl, ale w odniesieniu do innych krajów europejskich.

Na kilka dni przed odprawą oficerów SS, na której Niemcy mieli ostatecznie, według posiadanych informacji, ustalić dokładne miejsce pobytu oddziału Feliksa. SS-Obersturmbannführer Berndt dostał list bez podpisu z wiadomością, że w połowie drogi pomiędzy Natalinem a spalonym Natalinkiem, w pobliżu rosnącej przy drodze dzikiej gruszy, znajdują się resztki murów niewiadomego pochodzenia. Berndt wietrząc zasadzkę, którą mogli urządzać partyzanci Feliksa, kazał żołnierzom dokładnie sprawdzić teren wokół drogi z Natalina do Natalinka. Żołnierze nie znaleźli niczego podejrzanego. Berndt wsiadł więc do opla i pojechał pod dziką gruszę. Żołnierze dwie godziny kłuli ziemię metalowymi prętami, aż natknęli się na fundamenty muru cmentarnego i grobowców. Gdy odsłaniali kawałek fundamentu, rozradowany Berndt zrobił im zdjęcie, i wtedy wybuchła mina. Ocalał tylko siedzący w opalu kierowca.

Ostatni komendant Natalina, bez ręki, którą stracił w bitwie pod Stalingradem, nie zamierzał bawić się w żadną psychologiczną wojnę. Otrzymał wyraźny rozkaz: lasy wokół Natalina mają być w ciągu miesiąca oczyszczone z grup bandyckich. Rosjanie podchodzili coraz bliżej i w takiej sytuacji obecność partyzantów stawała się podwójnie groźna dla wojsk niemieckich. Ale bezręki komendant miał trudniejsze zadanie od swych poprzedników, gdyż wraz ze zbliżającym się frontem do lasów wokół Natalina podchodziło coraz więcej oddziałów partyzanckich. Były to ugrupowania Armii Krajowej, Armii Ludowej, Batalionów Chłopskich i oddziały radzieckie.

Do niedawna w lasach natalińskich stacjonował tylko oddział Feliksa, do którego uciekali przed Niemcami natalinianie i chłopci z okolicznych wsi, tak że oddział szybko rozrósł się do pięciuset osób. Partyzanci Feliksa uzbrojeni byli w zdobyczną broń automatyczną i kilka pancernych karabinów. Dla innych grup partyzanckich, mniej liczebnych i słabiej uzbrojonych, rejon Natalina stanowił duże zagrożenie. Hitlerowcy tropiąc oddział Feliksa nieustannie przeczesywali lasy. Odkąd dwudziestoosobowy oddział Batalionów Chłopskich, utworzony przez chłopów ze Skowierzyna, został jako grupa Feliksa obrzucony bombami z samolotów, inni partyzanci uciekali jak najdalej od Natalina.

Dopiero wraz ze zbliżającym się frontem rosyjskim w lasy natalińskie zaczęły coraz częściej zapuszczać się oddziały akowców i alowców, a wówczas jedni i drudzy chcieli sobie podporządkować Feliksa, który wśród miejscowej ludności zrobił się jak głośnym dowódcą partyzanckim, że wszystkie akcje przeciwko hitlerowcom, jakie miały miejsce w promieniu dwustu kilometrów, przypisywano wyłącznie jego oddziałowi.

Akowcy sądzili, że Feliks jako właściciel ziemski zwiąże się z nimi, a nie z alowcami, znajdującymi się pod rozkazami tych, którzy po wojnie chcieli odebrać ziemie takim jak Walichradowie. Zaś alowcy byli przekonani, że skoro w oddziale Feliksa walczy Stanisław, znany przed wojną działacz robotniczy, to bez trudu zdoła on nakłonić ojca-dowódcę, aby się podporządkował kierownictwu wojskowemu Polskiej Partii Robotniczej.

Feliks jednak stanowczo odprawił wysłanników obu ugrupowań mówiąc, że jemu jest obojętne, kto w co wierzy i czego chce, byle walczył z Niemcami. To samo powiedział Stanisławowi, który usiłował mu wytłumaczyć, że walka z hitlerowcami nie jest już celem samym w sobie, że nadszedł czas, aby myśleć o tym, co po wojnie. W końcu, kiedy akowcy i alowcy nie dawali Feliksowi spokoju, coraz bezwzględniej żądając opowiedzenia się po jednej ze stron, Feliks przekazał dowódcom innych ugrupowań, że lasy natalińskie należą do niego i odtąd każdego, kto bez porozumienia z nim zapyści się w te lasy, będzie traktował jako wroga.

Dowódcy AK i AL mieli wcześniej wiele okazji, aby się przekonać, że Feliks nie rzuca słów na wiatr, i nie chcąc, żeby doszło do bratobójczych walk, przestrzegali zakazu Feliksa. Nie weszli na jego teren aż do ostatnich tygodni wojny, kiedy to po raz pierwszy trzy ugrupowania przeprowadziły wspólną akcję bojową przeciwko Niemcom. Zaproponowali ją akowcy, którzy otrzymali wiadomość z Krakowa, że przez Natalin przejedzie pociąg z cysternami oleju napędowego do czołgów.

## BITWA W PONIATOWIE

Dowódcy partyzancy postanowili zasadzić się na pociąg w odległym o trzydzieści kilometrów od Natalina Poniatowie, gdyż sądząc po wzmocnionych patrolach Bahnschutzów na torach Niemcy spodziewali się ataku partyzantów w pobliżu Natalina. Po wyznaczeniu miejsca zasadzki z różnych stron wyruszyło do Poniatowa tysiąc dwustu partyzantów.

Część oddziału Feliksa, z dwoma bezodrzutowymi działami przeciwpancernymi, miała zająć pozycje w klasztorze franciszkanów, który stał na wzniesieniu nad stacją kolejową w Poniatowie. Zadaniem tej grupy było wysadzić cysterny. Druga część oddziału miała obstawić drogę w kierunku Natalina, żeby w czasie akcji nie dopuścić do Poniatowa posiłków niemieckich.

Zadaniem akowców było nocą przekraść się do ogrodów po drugiej stronie stacji, aby w razie niepowodzenia osłaniać odwrót grupy Feliksa i alowców, którzy mieli zająć pozycje przed jednostką żandarmerii na dworcu.

Partyzanci od Feliksa, z bronią ukrytą pod płaszczami, po dwóch lub pojedynczo, w odstępach kilkunastominutowych, wchodzili do kościoła Franciszkanów. W południe dwudziestu mężczyzn w zabłoconych butach klęczało przed konfesjonalami, ołtarzem Matki Boskiej i świętego Franciszka, aż stare kobiety, które wysiadywały w kościele od rana do wieczora, zaniepokoiły się, czy nie przegapiły święta jakiegoś ważnego patrona. Tymczasem Stanisław, który do klasztoru przyszedł najwcześniej, nie mógł uzyskać zgody księdza przeora na ukrycie partyzantów w podziemiach klasztoru. Przeor powiedział, że jako młody człowiek przysięgł na imię Jezusa Chrystusa, iż nie będzie zadawał się ze zbrojnymi, gdyż oni są sprawcami najcięższego grzechu, i nawet nie słuchał Stanisława, który mówił, że tamta przysięga jest nieważna, bo kiedy przeor przysięgał, nie było hitlerowców mordujących księży, grabiących i bezczeszczących kościoły.

Gdy o drugiej po południu do kościoła wszedł Feliks, zobaczył wewnątrz zapełnione swoimi partyzantami. Widział, jak baby w czarnych chustach na głowie ze zdumieniem patrzą na mężczyzn, którzy ledwie się wypowiedzieli, znowu szli na koniec kolejki do konfesjonau.

– Gdzie Stanisław? – zapytał stojącego przy drzwiach kościoła Jedynaka w kolejarским mundurze.

– W zakrystii. Przeor nie chce się...

Feliks nie dosłuchał. Klnąc cicho, pobiegł do zakrystii.

– Co robisz! – krzyknął z gniewem do Stanisława, który stał naprzeciwko przeora.

– Kiedy przeor nie chce nas wpuścić – odrzekł Stanisław.

– Widziałeś, co dzieje się w kościele? Niech tylko wejdzie pierwszy lepszy szkop, i koniec. Ty, księżulku – Feliks wyjął pistolet i wycelował w przeora – albo się zgodzisz, albo ci wpakuję kulę w łeb.

– Strzelaj, synu – przeor przeżegnał się i zamknął oczy – i niech Bóg wybaczy, ale ja swojej przysięgi nie złamię.

– A niech cię... – Feliks uderzył przeora ręką pistoletu.

– Boże! – przestraszył się wchodzący do zakrystii zakonnik.

– Nic mu nie będzie, stracił przytomność tylko – powiedział Feliks, układając przeora na podłodze, i zaraz zwrócił się do zakonnika: – Niech ksiądz słucha. Dzisiaj w nocy będzie w klasztorze pięćdziesięciu mężczyzn.

– Partyzanci?

– Tak. Niech ksiądz wyprowadzi ich z kościoła do piwnic, ale natychmiast!

– Co potem będzie z nami? Niemcy nas...

– Nie martwcie się. Zwiążemy was i pobijemy. Powiecie, żeśmy was przymusili. Idźcie ksiądz szybko. Tylko ostrzegam, w razie zdrady kula w łeb, jemu pierwszemu – Feliks pokazał na przeora.

– To święty człowiek – rzekł zakonnik. – Do niego nawet nie dochodzi, że jest wojna.

– To głupi, a nie święty.

Partyzanci do świtu siedzieli w krypcie. O świcie związali zakonników, zamknęli ich w jednej celi i wyszli do sadu ogrodzonego wysokim murem. Feliks stanął na ramionach kowala Dymka i osłoniwszy twarz gałęzią jabłoni wyjrzał ponad mur. Pierwsze, co zobaczył, to stojące na torach szesnaście cystern. Światło latarni odbijało się od zacieków na jednej z nich. Cysterny znajdowały się na lewo od klasztoru, niedaleko przejazdu kolejowego. Pociągu pilnowało kilkunastu żołnierzy. Stali po jednej i po drugiej stronie plecami zwrócenii do cystern. Około dwustu metrów od cystern, naprzeciwko klasztoru, stał pociąg pancerny z dwoma studwudziestomilimetroowymi działami. Po prawej stronie, blisko dworca, dwa pociągi towarowe i jeden osobowy, wokół którego także znajdowali się wartownicy.

– Niedobrze – szepnął Feliks, zeskakując z ramion Dymka. – Cysterny są, ale pod nami siedzi pancernka. Może nas tu pogrzebać dwoma strzałami z dział.

– To nie ma co czekać – powiedział Dymek, wyjmując z torby pocisk do działa bezodrzutowego.

– Tamci nie są przygotowani. Jeszcze dwadzieścia osiem minut – Feliks spojrzął na zegarek.

W tym samym czasie na mur wspiął się Jedynek, syn kolejarza i specjalista od wysadzania pociągów. Po zejściu z muru powiedział, że trzeba zrobić tak, aby pancernka nie mogła odjechać od cystern, inaczej nie odejdą żywi z sadu.

– Ale jak to zrobić?

– Trzeba przed pancerką wykoleić lokomotywę.

– Nie pleć bzdur – rozłościł się Feliks. – Na stacji jest pełno Niemców.

– Znam tę stację dobrze. Widziałem, że pod pompą stoi parowóz, jakby go dobrze rozpędzić na pancerkę... – powiedział Jedynek, spoglądając z wyczekiwaniem na Feliksa.

– Ma rację – wtrącił Józef. – Wtedy pancernka nie ruszy się.

– Dobrze – zgodził się Feliks. – Ale pamiętaj, masz dwadzieścia sześć minut czasu. Jeśli nie uciekniesz z torowiska...

– Rozumiem. Dajcie mi pistolet.

Jedynek odłożył karabin. Pistolet, który dostał od Stanisława, włożył za pas spodni, pod kolejarską kurtkę, i wyszedł na drogę przed kościołem.

Po kilku minutach partyzanci z klasztornej ogrodu zobaczyli Jedynaka na torowisku, jak obojętnie, z usmolonym wiaderkiem w ręku i pakułami pod pachą idzie w kierunku parowozu stojącego pod pompą. Gdy przechodził obok pociągu pancernego, wartownicy przyjrzeni mu się uważnie. Wówczas Jedynek uśmiechnął się do nich i pomachał pakułami.

– Sukinsyn! – z podziwem szepnął Józef, trzymając na muszce karabinu wartownika niemieckiego, który znajdował się najbliżej Jedynaka.



Józef mierząc w wartownika mimo woli i po raz kolejny zdziwił się, że ten, w którego celu, nie wyczuwa, że za chwilę nie będzie żył. Od kiedy zastrzelił pierwszego żandarma niemieckiego, który wracał rowerem z Golejówka, było dla niego niepojęte, że śmierć bliska i nieuchronna zawsze jest zaskoczeniem. Często podczas walk z Niemcami jego samego nachodziła myśl, że ktoś mierzy w niego, i wówczas odruchowo krył się za drzewo lub chronił w zagłębieniu ziemi, i nie wiedział, czy było to przestyszenie, ale wtedy niejedną raz słyszał szelest przelatującej obok kuli.

Gdy Jedynek dochodził do upatrzonego parowozu, partyzanci musieli zeskoczyć z muru, na którym już przygotowali sobie stanowiska strzeleckie, gdyż drogą przed kościołem jechał patrol na motorach. Po ich odjeździe, kiedy znowu spojrzeli na stację, parowóz znajdował się w innym miejscu, a Jedynek przestawiał zwrotnicę przed parowozem.

– Osiem minut – szepnęła Feliks.

Po chwili Jedynek wsiadł do parowozu, z którego zaczęły buchać czarne kłęby dymu, i wolno odjechał w kierunku stacji. Tam znowu przestawił zwrotnicę i już będąc na tym samym torze co pociąg pancerny ruszył z powrotem. Lokomotywa szybko nabierała rozpędu. Jedynek wyskoczył z niej sto metrów przed pancerką. Jeden z wartowników, który stał przy cysternach, złożył się do strzału. Ale szybszy był Józef. Wartownik wypuścił pistolet maszynowy i runął na tory. Gdy Feliks zobaczył, że parowóz uderza w pociąg pancerny i wyskakuje z torów, rozkazał Dymkowi:

– Strzelaj!

Dymek, napinając mięśnie całego ciała, pociągnął za spust działa bezodrzutowego. Wybuchła jedna z cystern pośrodku składu pociągu i ogień w sekundzie zalał wartowników niemieckich, a podmuch powietrza strącił partyzantów z klasztornego muru.

Wybuchy następowały jedno po drugim. Ziemia drżała, aż partyzanci bali się, że mur, pod którym nagle się znaleźli, runie na nich. Z klasztoru i wieży kościelnej leciały szyby. Robiło się coraz cieplej. Na jabłoniach pokurczyły się liście. Po wybuchu ostatniej cysterny, gdy czarny dym wtargnął na ogród. Feliks krzyknął:

– Wycofujemy się!

## JESZCZE POLSKA NIE ZGINEŁA

Dwa tygodnie po wysadzeniu cystern na stacji w Poniatowie, co oddział Feliksa okupił śmiercią Jedyneka, do Natalina niespodziewanie wjechały cztery czołgi radzieckie. Rosjanie rozbroili zaskoczonych Niemców, którzy nie zdążyli uciec z miasta, a bezrękiego komendanta zabrali z sobą i pojechali dalej.

Feliks, dowiadując się o wkroczeniu Armii Czerwonej do Natalina, zarządził swoim partyzantom ostatnią zbiórkę. Po oddaniu salw za poległych Feliks rozwiązał oddział, dodając na końcu, że od tej chwili każdy sam decyduje, do jakiego wojska wstąpi. Na pożegnanie wystawił kilka kanistrów wódki i gdy partyzanci opijali zwycięstwo nad hitlerowcami, Feliks niezauważenie osiodłał konia i odjechał, nie powiadamiając nikogo, dokąd jedzie. Ale Stanisław domyślił się. Wsiadł na konia i pognął do Natalinka, nie chcąc, żeby ojciec w takiej chwili pozostał sam. Przyjechał za późno. Feliks leżał martwy na pogorzelnisku domu, w miejscu, gdzie dawniej był salon z portretami Walichradów. W prawej ręce trzymał pistolet, a obok walały się „Manifesty” ludowego rządu polskiego z dekretem o reformie rolnej.

W dniu pogrzebu Feliksa Walichrada w kościele i na ulicy przed kościołem zebrały się tysiące ludzi. Byli wszyscy mieszkańcy Natalina. Przyszli partyzanci z Armii Krajowej, alowcy i pułkownik Leonow z kilkoma oficerami radzieckimi, którzy osobiście chcieli Feliksowi podziękować za wysadzenie transportu z olejem napędowym. Wysadzenie tego transportu miało wówczas wielkie znaczenie, gdyż wiele czołgów niemieckich zostało unieruchomionych w polu.

Gdy księża odprawili mszę nad ciałem Feliksa, w tłumie, który od kościoła ciągnął się po zamkniętą od lat bożnicę, zapanowała niezwykła cisza. Tak cicho nie było pośrodku nocy podczas godziny policyjnej, ani po wymordowaniu Żydów. Z żyjących natalinian tylko stary Cwyngier pamiętał taką ciszę, ale to było przed wieloma laty, kiedy zabicie dwóch ludzi naraz określano bestialstwem, zwyrodnieniem, odczłowieniem; to było, gdy Natalin usypiał i Cwyngier spotkał na rynku Dwojrę. Natalinianie wstając z kolan myśleli z żalem, że odszedł ten, który teraz mógłby im podpowiedzieć, za jaką Polską mają stać: za Polską z orłem z koroną na głowie, czy za Polską z orłem bez korony?

Po mszy partyzanci z oddziału Feliksa wynieśli trumnę z ciałem swojego dowódcy. Ulica natychmiast wypełniła się gwarem i chrzęstem broni, gdyż wszyscy partyzanci: od Feliksa, z Armii Krajowej i Armii Ludowej przyszli uzbrojeni.

Kondukt wyszedł z miasta i drogą obok złamanej przez czołg radziecki dzikiej gruszy zmierzał do spalonego Natalinka. Zaraz za murami miasta akowcy zaczęli śpiewać „Boże, coś Polskę”. Idący z tyłu natalinianie i chłopcy z okolicznych wsi natychmiast podchwycili pieśń i poleciała ona nad polami i wzdłuż Wisły, płosząc ze starorzeczy stada dzikich kaczek. Gdy przebrzmiało „Ojczyznę wolną pobłogosław, Panie”, partyzanci z AL na znak swojego dowódcy, zaśpiewali „Wyklęty powstań ludu ziemi, powstańcie których dręczy głód”. Ta pieśń, głośniejsza, poleciała jeszcze dalej i w powietrze wzbily się następne stada cyranek i krzyżówek. I tak kondukt szedł raz szybciej, do rytmu „Międzynarodówki”, raz wolniej, dostosowując krok do „Boże, coś Polskę”. Pułkownika Leonowa zaniepokoiło dziwne zachowanie się Polaków. Nie podobały mu się zacięte twarze partyzantów, jakby za chwilę miało dojść pomiędzy nimi do zadawnionych porachunków. Pod dziką gruszą, której pień był w połowie ucięty, pułkownik Leonow i oficerowie radzieccy wyszli z konduktu. Stanęli z boku drogi i oddali wojskowe honory zmarłemu Feliksowi. Pogrzeb poszedł dalej.

Przed spalonym dworem, gdy trumnę postawiono w cieniu nadpalonego orzecha, śpiewy umilkły. Zapanowała cisza. Stanisław stanął obok trumny. Wszyscy myśleli, że będzie przemawiał, ale on, patrząc ponad głowami partyzantów na widoczną za Wisłą wieżę kościoła Cystersów, zaczął śpiewać czystym, doniosłym głosem:

*Jeszcze Polska nie zginęła,  
póki my żyjemy.  
Co nam obca przemoc wzięła,  
szablą odbierzemy.  
Marsz, marsz, Dąbrowski,  
z ziemi włoskiej do Polski,  
za twoim przewodem  
złączym się z narodem.*

Z głosem Stanisława zespoliły się głosy wszystkich partyzantów i natalinian. Śpiew zabrzmiał tak mocno, aż z okolicznych lasów i zagajników wyfrunęły stada ptaków i jak burzowa chmura przesłoniły niebo nad Natalinkiem.

Korekta: Joanna Bednarek